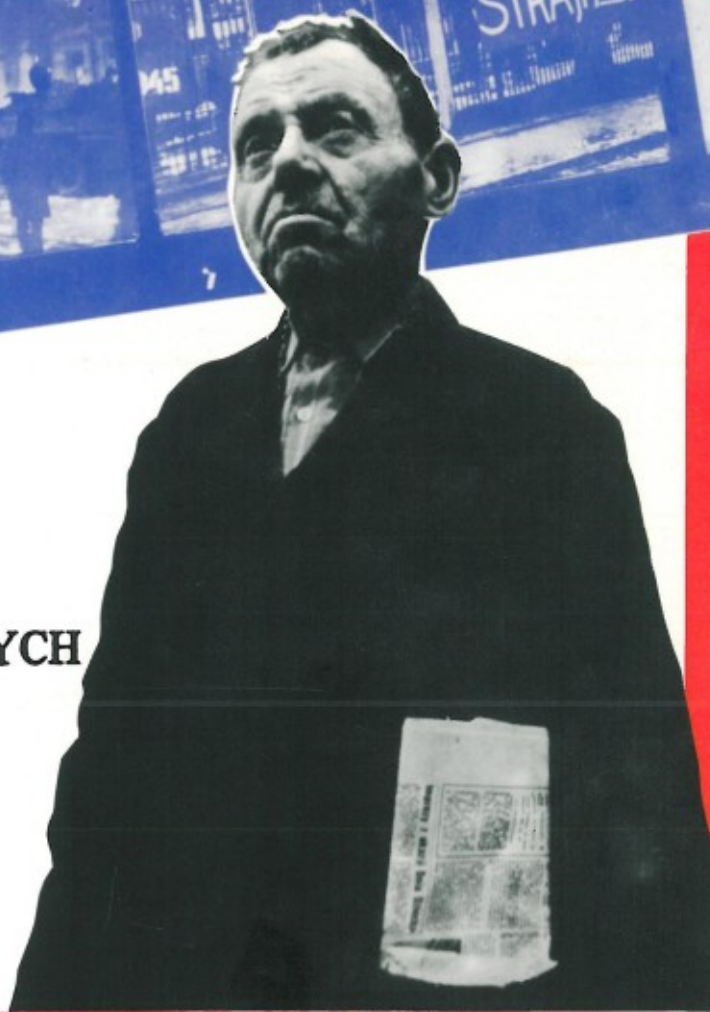


Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd



**W numerze:
ROBOTNICY
POŁOWY
LAT
OSIEMDZIESIĄTYCH**



Grzegorz Ziętkiewicz
„Gwiezdne wojny” 1
Nie widać końca spłąt..... 6

Maciej Radwan-Rybicki
Prywatne rozmyślenia 13

Robotnicy lat osiemdziesiątych 16
Szkolnictwo wyższe... 21
Nie samym teatrem 26
Krzysztof Kasprzyk
Zemsta na Terleckim 30
Człowiek w sytuacjach skrajnych
Rozmowa z R. Bugajskim 31
Janusz Rudnicki
Panopticum 35

**RECENZJE, OMÓWIENIA
POLEMIKI**

Adam Wojna
Widowisko 39
Jakub Jahn
Postawa obserwacyjna 42
Jerzy Hoffmann
Mordercy i sędziowie... 44

Andrzej Zwanecki
**Szwedzka Republika
Sowiecka?** 52
Pavel Kohout
W hołdzie Henrykowi 55
Opozycja na Węgrzech
Rozmowa
z Gaborem Demaszky 59
Gdzie Dali spotyka Drakulę 62
Pieczeń rzymska 64

Jerzy Hoffmann
Sprawy polskie... 66

Notatki 67

Listy do redakcji 68

KRONIKA EMIGRACYJNA ... 70

Oddano do druku dn. 11.04.1986

Okładka: Jacek Klonowski

Asekuranctwo, strach, ignorancja? Takie określenia nasuwają się często przy spojrzeniu na politykę państw Zachodu wobec Związku Sowieckiego. Sowieckie łodzie podwodne niemal bez przeszkód naruszające wody terytorialne Szwecji, mnożące się przypadki szpiegostwa na rzecz Sowieców, obawy polityków i intelektualistów przed działaniami mogącymi zakłócić "atmosferę odprężenia"...

O niefrasobliwości szwedzkiej polityki zagranicznej - w artykule Andrzeja Zwaneckiego "Szwedzka republika sowiecka".

Niemiecka mentalność zdaje się odgrywać szczególną rolę w procesie postępującej ignorancji wobec "realnego" komunizmu - taką stawia diagnozę czeski pisarz emigracyjny Pavel Kohout. Jednak i jemu nieobce jest pojęcie "świetlanej przeszłości" Związku Sowieckiego i idea "socjalizmu z ludzką twarzą".

Finlandyzacja więc czy "choroba wieku"?

Grzegorz Ziętkiewicz

„Gwiezdne wojny”

27 marca br. minister gospodarki RFN Martin Bangemann i minister obrony USA Caspar Weinberger podpisali w Waszyngtonie dwa porozumienia. Pierwsze dotyczy udziału RFN w programie obronnym pod nazwą SDI, drugie określa warunki dalszego rozwoju wzajemnej wymiany doświadczeń na polu technologii. Tekstów obu porozumień, nad którymi prace trwały 9 miesięcy nie opublikowano. Takie było bowiem – jak podały agencje prasowe – *życzenie strony amerykańskiej.*

SDI – Strategic Defense Initiative (Inicjatywa Obrony Strategicznej), nazywana popularnie „gwiazdnymi wojnami” to program prac badawczych nad systemem przeciw-rakiet zdolnym – jak twierdzą Amerykanie – do ochrony całego terytorium Europy Zachodniej przed pociskami sowieckimi, także średniego i bliskiego zasięgu. SDI wyznacza więc zupełnie nowy kierunek badań kosmicznych, wymagający znacznego nakładu kosztów. Z wielu względów, w tym również z uwagi na pewne próby krajów Europy Zachodniej, zmierzające do utrzymania względnej niezależności od USA, problem współpracy europejsko-amerykańskiej nad programem „gwiazdnych wojen” był przez obie strony bardzo szczegółowo analizowany. W niektórych krajach alianckich podnosiły się głosy, że należy zbudować własny, europejski system obrony przeciwrakietowej w kosmosie. Jednakże po konferencji grupy planowania nuklearnego NATO w Wuerzburgu (RFN), która odbyła się w drugiej połowie marca br., projekty te uznano za nieaktualne. Sekretarz generalny NATO lord Carrington, stwierdził, że odrębny program europejski oznaczałby jedynie dublowanie wysiłku badawczego i znacznych nakładów finansowych. Korzystniej więc będzie zastosować zdobyte technicznie programu amerykańskiego do usprawnionego systemu obrony powietrznej NATO.

Program SDI narzuca ogromne tempo podejmowanych obecnie prac badawczych. Cały system ma zostać rozmieszczony w kosmosie w początkach lat 90-tych, a być może nawet wcześniej. Do inicjatywy amerykańskiej pierwsza przystąpiła na początku br. Wielka Brytania, w ślad za nią RFN, zaś Włochy i Japonia mają wkrótce podjąć odpowiednie decyzje. Zainteresowanie nowym systemem obronnym wykazują ponadto Kanada oraz Izrael; z kolei Belgia zgodziła się już na udział firm prywatnych w badaniach amerykańskich. Również podpisane obecnie porozumienie amerykańsko-niemieckie zakłada, że w programie SDI wezmą udział poszczególne firmy, nie zaś rząd. Jak podkreślił minister spraw zagranicznych RFN Genscher (początkowo sam bardzo przeciwny tej inicjatywie), porozumienie to ma charakter czysto cywilny, ekonomiczny i naukowy (i nie przewiduje udziału rządu RFN i wydatkowania żadnych środków państwowych) nie zaś polityczny, ani nawet strategiczny. Minister Bangemann wyraźnie podkreślił, że podpisany właśnie układ nie stanowi zobowiązania politycznego, gdyż takie podejmować może jedynie Bundestag. Jednakże mimo wielokrotnych zapewnień rządu RFN o tym, że „sprawa SDI” ma charakter wyłącznie cywilno-gospodarczy, nie wszyscy są o tym do końca przekonani. I tak np. przedstawiciel CSU w parlamencie Theo Weigel powiedział, iż *niemiecki udział w programie SDI jest nadzwyczajny*

Z prasy podziemnej



I TY ZOSTANIESZ PASOŻYTEM

Ustawa o pasożytach znów na tapecie. Na zebraniach w zakładach pracy towarzysze z dyrekcji i egzekutyw, wspomagani przez miejskie urzędy zatrudnienia i urzędy spraw wewnętrznych, referują nowy projekt, przy którym obecna wersja wydaje się wręcz łagodna.

Jak dotąd ustawie podlegają tylko mężczyźni w wieku 18 do 45 lat. Najnowszy projekt chce tu dodać dziesięć dalszych męskich roczników (do 55 lat), a także niezamężne kobiety poniżej 40-ki, które nie są w ciąży i nie wychowują niepełnoletnich dzieci. Kiedy stracisz pracę, masz o tym zameldować w wydziale zatrudnienia w ciągu miesiąca zamiast dotychczasowych trzech, gdy zaś porzucisz naukę – w ciągu 14 dni. Projekt zresztą nakazuje, by zakład pracy lub szkoła natychmiast informowały organy zatrudnienia, że przestałeś być pracownikiem bądź uczniem. Kandydatem na pasożyta zostaniesz więc łatwiej i szybciej.

Odtąd musisz meldować o każdej, choćby czasowej zmianie pobytu, a także miesiąc w miesiąc składać na piśmie oświadczenia o źródłach utrzymania. Już pierwsze zaniebdanie tego obowiązku uprawnia do uznania cię za „uporczywie uchylającego się od pracy”. Wtedy mogą cię wystać na roboty przymusowe: dla mężczyzn 120 dni w roku, zamiast dotychczasowych 60, dla kobiet – 60 dni. Gdybyś jeszcze próbował się uchylać, w miejsce grzywny projekt przewiduje teraz karę 2 lat ograniczenia wolności.

W średniowieczu mówiono: „Stadtluft macht frei”. Znalazłszy się w ograbie murów miejskich uciekinier ze wsi przestawał być podda-

nym swego pana. Dziś nadzieje rokuje kierunek odwrotny - jeśli masz szwagra na wsi, zawsze się przydasz w gospodarstwie i zyskasz papierek, skąd bierzesz chleb. Przynajmniej tak długo, dopóki reforma nie zlikwiduje rolnictwa.

K. Pajka
(„Tygodnik Mazowsze”, nr 155,
23 I 1986)

NIERZECZNI WYDAWCY

W środowisku wydawców książek wrzało od pogłosek na temat „afery granicznej”, której bohaterami byli dyrektorzy głównych oficyn wydawniczych. Przecieki ze źródeł dość miarodajnych pozwalała na następującą rekonstrukcję wydarzeń: dyrektorzy wyjechali na Międzynarodowe Targi Książki do Frankfurtu nad Menem w październiku 1985 r. jako oficjalna delegacja Ministerstwa Kultury i Sztuki (nota bene pewien dygnitarz powiedział w TV, że głównym celem wyjazdu polskiej ekipy na Targi była promocja książek Jaruzelskiego i Rakowskiego w języku angielskim). We Frankfurcie byli dyskretnie inwigilowani, w efekcie w drodze powrotnej mimo energicznych protestów i powoływania się na przyjaźń z tow. Świrgoniem - służba graniczna zrobiła im „kipsis” w bagażach i rewizję osobistą. Podobno znaleziono sporą ilość wydawnictw emigracyjnych oraz video-kasety z filmami o stanie wojennym - i rzecz ludzka - z pornosami.

Minister Żygulski wpadł we wściekłość i chciał wszystkich natychmiast zdjąć ze stanowisk. Gdy próbowali się stawiać, do akcji wkroczył pułkownik MSW prezentując dowody rzeczowe - zdjęcia z Targów ze stoiska „Kontakt”, gdzie delikwenci kordialnie rozmawiają z Mirostawem Chojcekim.

Rychło okazało się, że wśród „szmuglerów” jest jedna osoba (nie ustalono kto), którą najwyższe czynniki chciały uchronić przed pogromem. Sprawę więc zaczęto dyskretnie tuszować, a po jakimś czasie zdecydowano się na represje ograniczone i zakamuflowane. Do natychmiastowego przejścia na emeryturę zmuszeni zostali: dyrektor Wydawnictw Naukowo-Technicznych, Jerzy Kulesza i szef Stowarzyszenia Księgarzy, Kazimierz Majerowicz. Inni dostali nagany od ministra oraz publiczną, lecz anonimową przyganę od kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Witolda Nawrockiego na naradzie z wydawcami: „Warto poinformować zebranych o nieprzyjemnym i godnym ubolewania fakcie, że niektórzy uczestnicy Targów Książki we Frank-

waży i to zarówno ze względów militarnych, politycznych, jak i ze względu na bezpieczeństwo kraju. Z kolei jeden z rzeczników frakcji parlamentarnej CDU/CSU Seitera stwierdził, że jest to największy program badawczy, w jakim weźmie udział RFN od czasów rozpoczęcia badań kosmicznych.

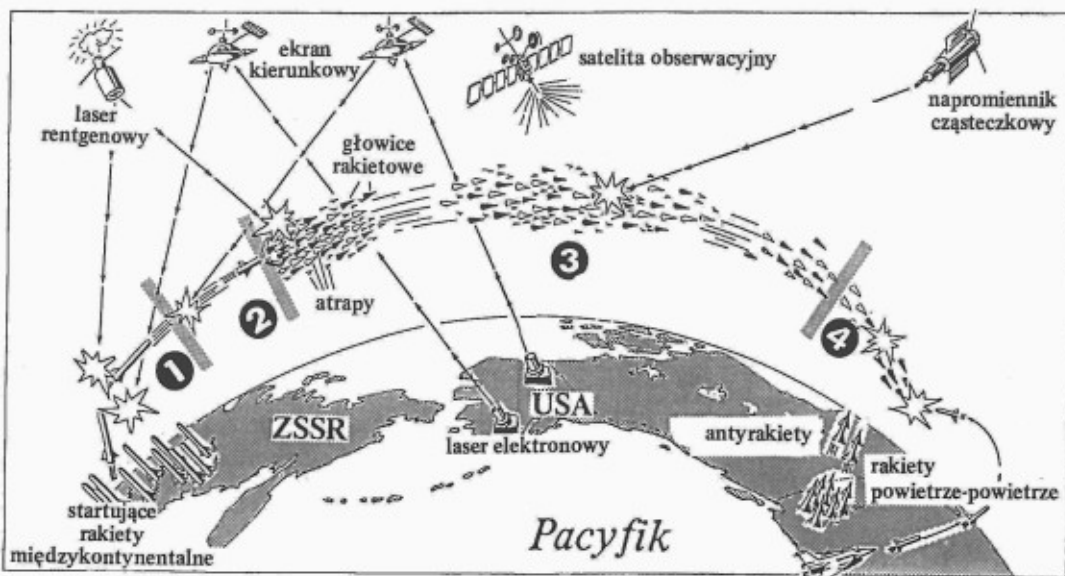
Tak więc apolityczność podpisanego właśnie porozumienia amerykańsko-niemieckiego jest nieco wątpliwa i wydaje się raczej pewnym zabiegom formalnym, mającym być może na celu uspokojenie części rozgorączkowanej nieco opinii publicznej. Mielibyśmy tu więc do czynienia z paradoksem demokracji, który każe kamuflować przed opinią społeczną pewne posunięcia w zasadzie dla niej korzystne i to zarówno z uwagi na odległy cel militarny, jak i doraźnie, z przyczyn czysto ekonomicznych. Jak powszechnie bowiem wiadomo, przemysł zbrojeniowy jest potężną sprężyną nakręcającą koniunkturę gospodarczą. Z tego też względu porozumienie zostało natychmiast bardzo przychylnie przyjęte przez Niemiecki Związek Przemysłu (BDI - Der Bundesverband der deutschen Industrie).

Mimo to zachodniemieckie partie opozycyjne zdecydowanie zaprotestowały przeciwko porozumieniu w sprawie SDI, twierdząc iż tak istotna umowa między państwowa nie powinna być zostać podpisana bez akceptacji parlamentu. Premier rządu Nadrenii-Westfalii i kandydat na kanclerza RFN z ramienia SPD Johannes Rau określił podpisanie przez Bangemanna porozumienie jako *wręcz fałszywe i nie do przyjęcia*. Przedstawicielka Partii Zielonych w parlamencie Annemarie Borgmann stwierdziła, że RFN poparła tym aktem prawnym *prowojenny kurs polityki zagranicznej*. Uczestnicy wszystkich tradycyjnie organizowanych z okazji Wielkanocy marszy pokojowych (inspirowanych przez Partię Zielonych) protestowali więc ostro przeciwko przystąpieniu RFN do programu „gwiazdnych wojen”. Prasa z kolei wyraziła wątpliwości, czy wymiana doświadczeń naukowych i technologii z USA nie będzie miała w przyszłości jednostronnego charakteru. Jednocześnie nawet liberalni dziennikarze przyznając, iż program SDI ma znaczenie militarne piszą: *Można się skarżyć na tę sytuację, ale trzeba się też obawiać dnia, w którym tych osiągnięć militarnych mogłoby zabraknąć*.

Dyskusja parlamentarno-dziennikarska trwa dalej, ale już dziś wiadomo, że co najmniej 60 firm zachodniemieckich zgłosiło swój akces do programu SDI. Jest on dla nich niesłychanie korzystny, gdyż od momentu podpisania umów mogą one działać na terenie USA na tych samych prawach, co przedsiębiorstwa amerykańskie. Do współpracy przystąpią też firmy zachodniobermberskie, które zasadniczo, z uwagi na specjalny status miasta, nie mają prawa podejmować żadnej produkcji czy badań o charakterze militarnym. Minister gospodarki RFN podkreślił jednak, że SDI obejmuje również działania pozamilitarne, a w ogóle i charakter polityczny, i militarny nie jest jeszcze do końca określony zaś pewne szczegółowe problemy zostaną - jak zapewnił - rozwiązane później na roboczych posiedzeniach niemieckiego ministerstwa gospodarki i Pentagonu.

Podpisanie porozumienia niemiecko-amerykańskiego odbiło się szerokim echem w polityce międzynarodowej. Moskwa oczywiście pospiesznie skrytykowała całe przedsięwzięcie, zarzucając RFN imperializm, rewizjonizm i rewizjonizm. Minister Bangemann stwierdził wprawdzie po powrocie z USA, że podpisanie porozumienia żadną miarą nie może wpłynąć na stosunki sowiecko-niemieckie, a jeżeli przystąpienie RFN do SDI budzi jakieś wątpliwości w ZSSR, to postara się wyjaśnić je podczas swej najbliższej wizyty w Mos-

CZTERY FAZY ZWALCZANIA RAKIET NIEPRZYJACIELSKICH



1. FAZA STARTU RAKIET NIEPRZYJACIELSKICH (czas trwania fazy 2-5 minut).

Start rakiety nieprzyjacielskiej. Ładunek głowic nuklearnych umieszczony jest w przedniej części rakiety; w fazie tej rakieta znajduje się jeszcze nad terytorium ZSSR i może zostać zniszczona wraz z całym zestawem głowic, bomb raketowych oraz ich atrapy. W tej fazie wystarczającym przeciwdziałaniem jest wystrzelenie ze stacji naziemnych strumienia energii przez tzw. „laser wolnych elektronów”, który odbiwszy się od ekranu satelity kierunkowego trafia w raketę nieprzyjaciela. Jest ona w tej fazie jeszcze mało zwrotna, powolna, a przez to łatwa do zestrzelenia.

2. FAZA PO STARCIU (czas trwania 6-9 minut).

W tej fazie rakieta nośna wystrzeliła już ładunek bomb i ich atrapy promieniując jednocześnie znaczne ilości energii cieplnej. Głowice raketowe samodzielnie kierują się do celu. Również w tej fazie najlepszą bronią zwalczającą jest laser elektronowy. Może on zostać nakierowany na cel przez laser rentgenowy umieszczony na satelicie w przestrzeni kosmicznej.

3. FAZA POŚREDNIA (czas trwania 16 minut).

Głowice raketowe znajdują się wciąż jeszcze w chmurze osłaniających je atrapy (wypełnionych np. balonami, opiłkami metalu, kulkami z lekkich metali itp.), których zadaniem jest zmylenie systemów obronnych na kosmicznej trasie ku Ameryce. Jest to najtrudniejsza faza walki, w której jedyną skuteczną bronią jest napromiennik cząsteczkowy, wysyłający fale laserowe i strumienie neutronów. Zadaniem promieniowania laserowego jest rozróżnienie, na podstawie masy, atrapy od bomb raketowych właściwych. Aby więc zmylić amerykański detektor laserowy, rakiety sowieckie musiałyby zostać wyposażone w atrapy o ciężarze równym wadze samych bomb. Obecnie z uwagi na możliwości nośne wystrzelenie w przestrzeń kosmiczną raket tak poważnie obciążonych jest niemożliwe.

4. FAZA OSIĄGANIA CELU (czas trwania 2 minuty).

Głowice raketowe, którym udało się przejść bez przeszkód przez trzy poprzednie fazy zbliżają się do warstwy atmosferycznej i wchodzi w nią. W tym momencie zniszczenie ich jest możliwe przy użyciu broni raketowej samosterującej (rakiety wystrzelane z ziemi, morza lub powietrza), która podąża w ślad za raketami nieprzyjaciela.

furcie, miał zajmować się promocją polskich książek, znaleźli czas na nie-dopuszczalne kontakty z przedstawicielami ośrodków dywersyjnych, a wracając do kraju naruszyli przepisy celne. Takie postępowanie uznajemy za naganne i przynoszące ujemny polskiemu edytorstwu". („Tygodnik Mazowski”, nr 155, 23 I 1986)

SPRAWA NIE DO ZAŁATWIENIA

W 16 miesięcy po uprowadzeniu i zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki, w rok po procesie toruńskim, w 10 miesięcy po wydaniu ostatecznego wyroku przez Sąd Najwyższy – Sąd Wojewódzki w Toruniu odmawia rodzinie ks. Jerzego wydania z depozytu sutanny, odzieży i pozostałych przedmiotów, które książd miał przy sobie.

O wydaniu z depozytu osobistych rzeczy ks. Jerzego winien orzec z urzędu Sąd Wojewódzki w Toruniu wydając wyrok w sprawie, w tymże procesie. Nie zrobił tego ani sąd toruński, ani sąd drugiej instancji. Po uprawomocnieniu się wyroku pełnomocnik rodziny mec. B. Wende niezwłocznie złożył stosowny wniosek (było to w kwietniu ub. roku), domagając się wydania postanowienia w tej sprawie. Przez ponad 8 miesięcy zwlekano z wydaniem postanowienia, żądając coraz to innych załączników (np. stwierdzenia praw do spadku wyrokami sądu cywilnego, poświadczonych upoważnień rodziny itp.).

W styczniu br. sędzia Sądu Wojewódzkiego J. Maciejewski postanowienie wydał. Aby było ono prawomocne, należy je doręczyć wszystkim oskarżonym (mordercom ks. Jerzego) i ich obrońcom. Przystępuje im zażalenie na to postanowienie. Od ponad trzech tygodni Sąd Wojewódzki w Toruniu ma kłopot z doręczeniem postanowienia skazanemu A. Pietruszczemu i jednemu z obrońców. Prezes Sądu Kujawa obarcza winą pocztę.

Zgłaszającemu się w tym samym czasie po odbiór swoich osobistych rzeczy Waldemarowi Chrostowskiemu (odzież, w którą był ubrany w dniu 19 X 1984) – również odmówiono ich wydania, uzasadniając to brakiem stosownego postanowienia.

Prezes Sądu kategorycznie odmówił potwierdzenia na piśmie przedstawionych ustnie przyczyn zwłoki i przeszkód proceduralnych.

Wydaje się, iż sprawa zwrotu rzeczy pozostających w depozycie jest najbardziej kłopotliwą spośród spraw, które kiedykolwiek znalazły

kwie. Wizyta ministra Bangemanna już się odbyła i – jak się zdaje – nie udało mu się rozwiązać kremlowskich wątpliwości. Ministra gospodarki RFN przyjął w Moskwie tylko wiceminister równorzędnego sowieckiego resortu, a przewidywanej do podpisania dwustronnej umowy gospodarczej ostatecznie nie podpisano. *Strona sowiecka okazała się – jak podała prasa zachodnoniemiecka cytując dzienniki moskiewskie – nie w pełni przygotowana.*

Obecny rząd RFN stoi – jak się zdaje – w obliczu dość skomplikowanej sytuacji polityczno-prawnej. Z jednej bowiem strony RFN jest militarnie i politycznie niewątpliwie najsilniej związana z USA i stąd jej akces do programu SDI. Z drugiej jednak strony na terenie samej Europy owo porozumienie przysparza pewnych kłopotów i to zarówno w polityce wewnętrznej, jak i w polityce zagranicznej w stosunku do innych partnerów zachodnioeuropejskich. I wreszcie powoduje także trudności w kwestiach gospodarczych, gdyż handel z ZSSR jest czynnikiem dość znaczącym w gospodarce RFN. ■

JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM

■ **Chiny.** Jako czwarty niemiecki bank, Bayerische Vereinsbank AG Munchen otworzył swoją filię w Pekinie.

■ **Panama.** Rząd tego kraju odmówił udzielenia azylu politycznego obalonemu dyktatorowi Filipin Marcosowi.

■ **Włochy.** Po aferach w związku z chemiczną produkcją win w Austrii i RFN tym razem beczki z zatrutym winem „pękły” w północnych Włoszech, gdzie w wyniku degustacji podrabianego alkoholem metylowym wina zmarło już kilkanaście osób.

■ **Filipiny.** W ciągu pierwszych 26 dni prezydentury pani Corazon Aquino komunistyczni „partyzanci” zamordowali 130 osób.

■ **Libia.** W odpowiedzi na atak raketowy Libijczyków na amerykańskie samoloty w Zatoce Wielkiej Syrti u wybrzeży Libii amerykańskie lotnictwo zaaprobowało libijski począgowiec raketowy oraz zaatakowało przybrzeżne wyrzutnie raketowe.

■ **RFN.** Sekretarz stanu Hennig z Ministerstwa Stosunków Wewnętrznych zwrócił się z apelem do rządu PRL o przyznanie Niemcom mieszkającym w Polsce praw mniejszości narodowej.

■ **Watykan.** 20 marca przybył do Rzymu Prymas Józef Glemp, aby omówić trzecią wizytę Ojca Świętego w Polsce, mającą się odbyć w 1987 roku.

■ **Berlin Zachodni.** Berliński dziennik TAZ (22. 03) przedstawił życiorys Bałuki w związku z jego podróżą po RFN (patrz *Polgłd* nr 103/104).

■ **USA.** *Neue Zuercher Zeitung* donosi, żezydent Reagan proklamował 21 maja jako ogólnonarodowy „dzień Sacharowa”. W dniu tym Sacharow ukończył 65 lat.

■ **Waszyngton.** Przebywająca na leczeniu w USA sowiecka dysydentka Jelena Bonner (żona laureata Nagrody Nobla Sacharowa) została przyjęta przez doradcę prezydenta d/s bezpieczeństwa Poindextera.

■ **Jelena Bonner oświadczyła**, że rozpowszechniany przez KGB wideofilm, w którym pokazuje się filmowanego z ukrycia Sacharowa w dobrej kondycji fizycznej, jest dowodem na to, że stan zdrowia jej męża się pogorszył.

Waszyngton. Sowiecka ambasada w USA zapłaciła po co najmniej 30 tys. dolarów USA za całostronicowe ogłoszenia w *Washington Post* i *New York Times* zawierające obszerne fragmenty z przemówień Gorbaczowa i Szewardnadze na na zjeździe KPZS w lutym br.

■ **Austria.** Światowy Kongres Żydów ostro zaatakował Austrię ostrzegając przed wyborem byłego sekretarza generalnego ONZ Kurta Waldheima na prezydenta państwa z powodu jego – ostatnio ujawnionej – nazistowskiej przeszłości.

■ **RFN.** Boński dziennik *Die Welt* podał, że przy obśłudze urzędzeń radarowych zapewniających bezpieczeństwo powietrzne Libii rząd Kadafiego zatrudnia techników z Niemiec Zachodnich; ogólna ilość zachodnoniemieckich ekspertów w tym państwie wynosi kilka tysięcy osób.

JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM

JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM

- **PRL.** Również prasa niemiecka (28.03) donosiła, że trzech obywateli Republiki Federalnej (nazwisk nie podano) zostało aresztowanych w Świnoujściu pod zarzutem przewożenia w bagażniku samochodu o podwojnym dnie 256 książek i 157 kaset o „wrogię państwu treści”.
- **Praga.** Gorbaczow pogratulował Gustawowi Husakowi ponownego wyboru na I sekretarza na XVII zjeździe KPCz, który zatwierdził również wszystkich dotychczasowych członków Politbiura na ich stanowiskach.
- **Meksyk.** Rząd meksykański zarządził prywatyzację 59 zakładów państwowych kontynuując tym samym rozpoczętą w roku 1982 politykę zmniejszania wydatków poprzez oddawanie przedsiębiorstw w ręce prywatne (dotychczas 570 firm).
- **Moskwa.** Córka Stalina Swietłana Allitujewa, która wraz z córką Olgą (mającą za ojca Amerykanina) w 1984 roku powróciła do Związku Sowieckiego, oświadczyła w amerykańskiej ambasadzie w Moskwie, iż chce ponownie wyjechać do USA.
- **1 kwietnia** – RFN. Sąd we Frankfurcie nad Menem uznał skargę policji przeciwko redakcji pewnej gazety wydając wyrok zakazujący publikacji zdjęć psów policyjnych, o ile mają one charakter portretu. W przyszłości portrety psów policyjnych w niemieckich gazetach mogą być drukowane, jeżeli portretowany będzie miał czarny pasek na oczach.
- **Moskwa.** Delegacja zachodnoniemieckiej Partii Zielonych podczas oficjalnych spotkań z przedstawicielami rządu sowieckiego w Moskwie poruszyła m. in. sprawę Afganistanu domagając się od Sowietów wycofania wojsk z tego kraju.
- **Libia.** Władze libijskie dokonały likwidacji dwóch instytutów na uniwersytecie w Trypolisie: zamknięto instytuty anglistyki i romanistyki oraz dokonano spalania francusko- i angielskojęzycznych książek.
- **Moskwa.** Podczas budowy stacji metra w Moskwie – podaje *Neue Zürcher Zeitung* (3.04) – naruszono fundamenty biblioteki im. Lenina, co doprowadziło do powstania potężnych rys w dwóch częściach budynku, grożących jego zawaleniem.
- **Lublin.** Boński dziennik *Die Welt* (3.04) podał, że na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim studiuje ponad 3 tys. studentów, wykłady prowadzi ponad 350 wykładowców, a uniwersytet współpracuje z dwoma zachodnimi uczelniami: uniwersytetami w miejscowości Loewen w Belgii oraz Nimwegen w Holandii.
- **Belgrad.** W petycji do parlamentu 76 jugosłowiańskich intelektualistów zażądało wprowadzenia ustawy zabraniającej poddawania leczeniu psychiatrycznemu osób krytykujących rząd.
- **Ankara.** Turecki sąd wojskowy skazał każdego trzech policjantów oskarżonych o stosowanie tortur wobec członków zakazanej Tureckiej Partii Komunistycznej na na karę 10 lat i 8 miesięcy więzienia.
- **Libia.** Według informacji *New York Times* (3.04) niedawne manewry floty amerykańskiej w wybrzeży Libii miały m. in. na celu przekonanie generałów armii libijskiej o konieczności puczu przeciwko Kaddafiemu.
- **RFN.** W Niemczech Zachodnich jest obecnie 117 tys. bezrobotnych posiadających dyplom szkoły wyższej, zaś, do roku 2000 ilość ich zwiększy się bowiem uczelnie wyższe opuści 3,5 mln osób, które będą miały do dyspozycji jedynie 1 mln miejsc pracy, informuje *Tagesspiegel*.
- **Praga.** Znany amerykański pisarz John Updike spotkał się na znak solidarności z zakazanymi czeskimimi pisarzami i sygnatariuszami Charty 77. Vaclav Havel, Ivan Klima, Karel Pecka, Zdenek Urbanek, i Ludvík Vaculík poinformowali go o trudnościach „drugiego obiegu kulturalnego”.
- **Berlin Zach.** W wyniku zamachu bombowego w odwiedzanej przez amerykańskich żołnierzy berlińskiej dyskotekę, dokonanej 5 kwietnia prawdopodobnie przez libijskich terrorystów, zginęły 2 osoby, a ponad 150 odniosło poważne obrażenia.
- **Sofia.** XIII zjazd Bułgarskiej Partii Komunistycznej, który zakończył się w niedzielę 6 kwietnia wybrał ponownie 74-letniego Todora Żiwkova szefem partii, jak również zatwierdził 10 dotychczasowych członków Politbiura na swoich stanowiskach dokooptowując do nich nowego, 52-letniego premiera Georgi Atanasowa.

JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM * JEDNYM ZDANIEM

się na wokandzie sądu toruńskiego i wydaje się ona przekraczać kompetencje Sądu Wojewódzkiego w Toruniu.

(„Wiadomości”, nr 183, 2 III 86)

BYWA I TAK

Bożena Woronko wystąpiła do Sądu Wojewódzkiego w Olsztynie o odszkodowanie za bezpodstawne aresztowanie.

Pani Woronko została aresztowana 25 grudnia 1984 r., zaś 27 lutego 1985 – postanowienie umorzono. Prokurator, który przetrzymywał p. Woronko postawił jej zarzut „sporządzania, a następnie kolportowania na ulicach miasta Kętrzyna ulotek o treści łżące i wyszydzającej ustroj PRL”.

Dowody winy były zdaniem prokuratora przytaczające.

1. Fakt, że jest siostrą więźnia politycznego Stanisława Woronko (Polacy lubią żyć i wyszydzają całymimi rodzinami).

2. W czasie rewizji w mieszkaniu p. Woronko wykryto czerwony flamaster i kartki papieru. Flamaster pisał w tym samym kolorze, w jakim SB-cy miasta Kętrzyna widzieli ulotki. Kartki były niezapisane z powodu szatańskiej przebiegłości podejrzanej.

3. Na jednej ulotce znaleziono odcisk palca podejrzanej. Bożena Woronko stwierdziła, że prowadzący śledztwo dał jej tę ulotkę do obejrzenia. Rękawiczek akurat przy sobie nie miała.

Wobec przetrzymywania B. Woronko w areszcie przez z górą dwa miesiące na podstawie takich „dowodów”, olsztyński sąd nakazał wypłacenie jej odszkodowania w wysokości 40 tysięcy złotych.

Sąd Najwyższy, do którego wniósł rewizję prokurator Bogusław Płoński, też widocznie ma w domu kartki i flamastry, bo wyrok utrzymał w mocy.

Dodajemy, że nie jest również prawdą, jakoby „z milicją nikt nie wygrał”. 21-letnia Agata Michalik z Krakowa uzyskała 5 tysięcy złotych odszkodowania za bezprawne zatrzymanie i niewłaściwe traktowanie podczas 48-godzinnego pobytu w areszcie. Krakowski sąd nakazał również panom pałkarzom przeproszenie dziewczyny na piśmie oraz przekazanie 5 tysięcy złotych na PCK.

No cóż, raz się wygra, raz się przegra.

(„Wiadomości”, nr 180, 9 II 86)

Kraj w prasie zachodniej



POLACY ŻYJĄ
CORAZ KRÓCEJ

Warszawski korespondent
Frankfurter Allgemeine Zeitung
(20. 03) opierając się na wypowiadaniach demografa z GUS-u, Zbigniewa Smolińskiego podaje, że przeciętna wieku kobiet obniżyła się również i wyniosła w roku 1984 do 66,8 lat (w roku 1975 - 67,3 lat). Przeciętna wieku mężczyzn w Polsce spadła w roku 1984 do 66,8 lat (w roku 1975 - 67,3 lat). Przeciętna wieku kobiet obniżyła się również i wyniosła w roku ubiegłym 75,4 lat (w 1980 r. - 75 lat). Polska zajmuje więc w europejskiej statystyce ostatnie miejsce wraz z Rumunią i Węgrami, gdzie średnia wieku mężczyzn jest jeszcze niższa - 65,5 lat. Według Smolińskiego spadek przeciętnej wieku jest „charakterystyczny dla krajów socjalistycznych”.

Na Zachodzie - pisze *FAZ* - jest odwrotnie: np. przeciętna wieku mężczyzna wynosi w Islandii 73,6 lat, a kobiet 80,5, co jest europejskim rekordem.

Według prof. Magdaleny Sokołowskiej z PAN-u przyczyną spadku średniej wieku w Polsce jest uprzemysłowienie kraju, urbanizacja, a oprócz tego nieodpowiednie odżywianie społeczeństwa, zwiększone spożycie alkoholu oraz nadużywanie nikotyny. W latach 70-tych coraz częstszą przyczyną zgonów były choroby serca i układu krążenia. Tempo wzrostu zachorowań na raka płuc wynoszące 10 % pobito wszelkie rekordy w Europie. Według Światowej Organizacji Zdrowia Polska ma największą liczbę zachorowań na choroby zakaźne, również niepokojąca jest śmiertelność wśród niemowląt. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy - według prof. Sokołowskiej - jest niewystarczająca ochrona zdrowia, na którą przeznaczają się zbyt mało pieniędzy oraz lekceważenie

Nie widać końca spłat polskich długów

Renomowana szwajcarska gazeta *Neue Zuercher Zeitung* dokonała analizy polskich długów. Według bawiącego niedawno w Wiedniu prezesa NBP prof. Władysława Baki, PRL przyjęła nową strategię spłaty zadłużenia. Według Baki długi nie będą jak w przeszłości spłacane „za wszelką cenę” oraz za cenę rozwoju gospodarki. Przy okazji Baka podkreślił sukcesy PRL w zwalczaniu inflacji. Tak np. wzrost cen w roku 1982 wyniósł 106 %, podczas gdy wzrost zarobków 65 %. Według Baki w roku 1983 nastąpił 25-procentowy wzrost obu tych wskaźników, zaś w roku 1984 płace nominalne wzrosły o 25 %, podwyżki zaś tylko o 15 %. Rząd PRL przepowiada na rok bieżący inflację w wysokości 12-13 %, a wzrost zarobków o 15 %. W roku 1989 podwyżki cen mają osiągnąć nie więcej niż 5-7 %.

Neue Zuercher Zeitung uważa, że w PRL został zahamowany regres w gospodarce. W roku 1984 globalny dochód narodowy był mniejszy o 13 %, a import nawet o 15 % w stosunku do rekordowego roku 1978. W latach 1979-82 dochód narodowy miał tendencję malejącą, rocznie o 5,4 %. W roku 1983 osiągnięto 6-procentowy wzrost dochodu narodowego, zaś w roku 1984 dochód ten zwiększył się o 5,6 %, a w roku ubiegłym tylko o 3 %. W bieżącym roku należy liczyć się ze wzrostem dochodu o 3,4 %.

Według Huberta Gabrischa, eksperta od gospodarki polskiej z wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównawczych Badań Gospodarki (Wiener Institut fuer internationale Wirtschaftsvergleiche) Polacy tak jak przedtem żyją na kredyt, zaś zadłużenie PRL za granicą wzrasta nieprzerwanie od 1980 roku. Do roku 1985 zwiększyło się o 27 %, aczkolwiek standard życia spadł o 15 %. Tu różni się PRL od „bratniej Rumunii”: również tam następuje obniżka standardu życia, jednakże z powodu spłacania kredytów. W Polsce jednak istnieją mniejsze możliwości społeczno-polityczne do prowadzenia drastycznej polityki cięć budżetowych, co jest ciągle podkreślane przez rząd w Warszawie, lecz również - twierdzi Hubert Gabrisch - z powodu poważnych błędów w polityce gospodarczej na przestrzeni ostatnich czterech lat.

Długi PRL rosną nie tylko na Zachodzie, lecz również na Wschodzie. Według Gabrischa wzrosły one z 4,8 mln rubli transferowych w końcu 1984 roku do 5,6 mld w końcu roku 1985. Zachodnie zobowiązania płatnicze wzrosły z 25,2 mld w końcu 1984 roku do 28,9 mld w końcu roku ubiegłego. 16 % wzrostu zostało spowodowane deficytowym bilansem produkcyjnym, zaś 84 % dewaluacją dolara, która sprawiła, że kredyty udzielone w innych walutach, a jest ich połowa, automatycznie się zwiększyły. Wysoki kurs dolara wcześniej powodował mniejsze tempo wzrostu zadłużenia.

Gabrisch uważa, że rząd PRL może pochwalić się również sukcesami: w latach 1977-79 bilans handlu zagranicznego był ujemny i wynosił ok. 3 mld dolarów rocznie. W roku 1983 odnotowano po raz pierwszy aktywa w wysokości 1 mld dolarów, które zwiększyły się w roku 1984 do 1,5 mld. W roku ubiegłym osiągnięto nadwyżki w wysokości 1,1 mld, ponieważ PRL zwiększył

import o 5,6% do sumy 5,1 mld dolarów, podczas gdy eksport zmniejszył się o 2,9% do 6,2 mld dolarów. Tak np. zmniejszył się eksport węgla kamiennego do krajów zachodnich o 18,5% tzn. do 23,8 mln ton rocznie. Gabrisch nie potrafi wyjaśnić tego spadku, któremu się dziwi, bowiem ogólny import węgla kamiennego z krajów RWPG wzrósł, co kaže przypuszczać, że istniała chłonność rynku. Rządowi PRL udało się zmniejszyć negatywny bilans handlowy na produkty spożywcze i rolne do 170 mln dolarów w roku ubiegłym.

Również w handlu z krajami nie posiadającymi walut wymiennalnych PRL w roku 1985 miał negatywny bilans handlowy wynoszący 684 mln rubli transferowych (wobec 668 mln w roku 1984). Eksport do tych krajów wzrósł o 9,8% do sumy 9,4 mld rubli transferowych. Import z tych krajów wzrósł o 8,9% do 10,1 mld rubli transferowych.

Hubert Gabrisch uważa, że w bieżącym roku w krajach RWPG będzie utrzymywała się dobra koniunktura pozwalająca PRL na zbyt swoich towarów. Najważniejszym artykułem eksportowym PRL na Zachodzie jest węgiel kamienny, którego cena zależy od - obecnie niskich - cen ropy naftowej, co automatycznie spowoduje spadek wpływów. Z drugiej zaś strony, z powodu nowych cen ropy naftowej w krajach RWPG, PRL będzie musiała płacić za sowiecką ropę dużo więcej. Może to doprowadzić do zwiększenia eksportu PRL do kraju „wielkiego brata” za cenę towarów dotąd wysyłanych na rynki zachodnie.

W stosunku do krajów RWPG rząd w Warszawie zobowiązał się do wyrównania bilansu handlowego do połowy obecnego planu pięcioletniego 1986-90 oraz do spłacania długów od roku 1990. Rząd w PRL stanie więc przed dylematem, jakich wierzycieli najpierw spłacić - zachodnich czy wschodnich.

Zachód nie udziela już tak ochocho kredytów PRL. Tylko Austria w roku ubiegłym podzyrowała Polsce kredyt w wysokości 40 mln dolarów, a niedawno również Niemcy Federalne udzieliły kredytów eksportowych w wysokości 100 mln marek. Zachodnie rządy zajmują pozycję wyczekującą nie udzielając kredytów, dopóki nie zobaczą oznak wprowadzania reformy gospodarczej.

Ponieważ Polska nie zmniejszyła importu, nie spłacono pozostałości procentów, które pod koniec 1985 roku wynosiły 550 mln dolarów. Suma ta została przełożona do spłaty do końca 1986 roku. W roku 1985 PRL spłaciła jednak procenty tylko od kredytów z banków prywatnych. Po raz pierwszy od roku 1981 spłacała również kredyty. Zachodnie rządy negatywnie odnotowały uprzywilejowywanie przez PRL prywatnych banków. Według danych Huberta Gabrischa sytuacja PRL jest w tym roku bardzo ciężka. Ogólna suma spłat kredytowych wynosi 3,7 mld dolarów, w tym 550 mln dolarów z roku 1985 i 1,8 mld dolarów przełożonych długów z 1981-82. Obciążenia od procentów wynoszą około 2,6 mld dolarów. Wobec tych sum oczekuje się podwyżek z handlu zagranicznego w wysokości 1,3 mld, jak również innych wpływów dewizowych w wysokości 450 mln dolarów. Tak więc w roku przyszłym na spłatę długów potrzeba będzie 5,6 mld dolarów. Połowa z tego przypada na procenty, druga połowa to rzeczywiste spłaty kredytowe. Dlatego też konieczne jest kolejne przeniesienie spłat na lata następne.

(tłum. ked)

problemów ochrony środowiska naturalnego.

URBAN PRZECIWKO KOŚCIOŁOWI

Sueddeutsche Zeitung (20.03) donosi o kolejnej konferencji prasowej Urbana, który zarzucił Kościołowi „beprzykładny atak” na laicki charakter szkół. Jeśli kontynuowana będzie „klerykalizacja szkół”, wówczas dojdzie do „zasadniczego konfliktu Kościoła z państwem” - powiedziały rzecznik rządu PRL.

POLSCY PACYFIŚCI W PRASIE RFN

Boński dziennik *Die Welt* (22.03) w korespondencji Rudolfa Canne z Warszawy zwraca uwagę na represje władz w stosunku do przywódców polskiej organizacji pacyfistycznej „Wolność i Pokój”. Według nieoficjalnych danych w więzieniach w Polsce przebywa obecnie około stu rekrutów, którzy z przyczyn sumienia odmówili złożenia przysięgi wojskowej i otrzymali kary do 3,5 roku więzienia. W Podkowie Leśnej koło Warszawy osiem polskich dziewcząt podjęło tygodniowy strajk głodowy w obronie siedmiu aresztowanych przywódców grupy „Wolność i Pokój”. Wobec zachodniego dziennikarza wyrażono obawy, że zostanie aresztowanych dalszych dwanaście osób.

Die Welt zwraca uwagę, iż dwóch założycieli grupy - studenci Jacek Czaputowicz i Piotr Niemczyk (*Polgłąd* nr 3/101) znajdują się w więzieniu na Rakowieckiej oraz na to, że grozi im proces za „przynależność do nielegalnej organizacji”. Za genezę ruchu Rudolf Canne uważa akcję solidarnościową studentów w związku z szykanami władz wobec Marka Adamkiewicza ze Szczecina, który w 1984 roku został skazany na 2,5 roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi, zawierającej formułę „braterstwa broni ze Związkiem Sowieckim”. Według *Die Welt* polski ruch pokojowy ma niewiele wspólnego z zachodnim. Jego żądania to: zmiana tekstu przysięgi, uznanie odmowy odbywania służby wojskowej z przyczyn sumienia, zagwarantowanie podstawowych praw człowieka oraz możliwości zakładania związków zawodowych, jak również „utworzenie zdemilitaryzowanej i bezatomowej strefy w Europie Wschodniej pod warunkiem wprowadzenia demokracji”. Podkreśla się, iż w oświadczeniu z 17 listopada 1985 roku organizacja wypowiedziała się za prowadzeniem walki bez użycia siły.

JAN KOSTECKI SKAZANY NA 1,5 ROKU WIĘZIENIA

Jak informuje *Tagesspiegel* jeden z założycieli Obywatelskiego Komitetu Obrony Praworządności w Szczecinie Jan Kostecki oświadczył wobec przedstawicieli agencji Reutersa, że został skazany na 1,5 roku więzienia za przynależność do „nielegalnej organizacji”. Sąd nie wyznaczył mu jeszcze terminu rozpoczęcia kary. Jak wiadomo, Jan Kostecki jest emerytowanym majorem Wojska Polskiego, który po zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki w 1984 roku wraz z Edmundem Bałuką rozpoczął jawną działalność przeciwko naruszeniu praw człowieka w PRL.

BIELECKI I WORONIECKI GŁODUJĄ NADAL

Jak podaje *Neue Zuercher Zeitung* (26. 03), więźniowie polityczni Edmund Krasowski i Andrzej Górski na prośbę sekretarza Episkopatu, arcybiskupa Dąbrowskiego przewalili trwającą od października ub. roku głodówkę. Wśród więźniów, którzy kontynuują strajk głodowy znajduje się wydawca „CDN” Czesław Bielecki oraz Włodzimierz Woroniecki, którego oskarża się o kradzież koparki. Bielecki – pisze *NZZ* – znajduje się w szpitalu i jest przymusowo odżywiany.

JUGOSŁAWIA ZACHĘCA PRL DO WŁASNEGO KURSU

Szef partii jugosłowiańskiej Vidoje Zarkovic – podaje *Die Welt* (26. 03) – w przemówieniu wygłoszonym na przyjęciu u Jaruzelskiego wykazał zrozumienie dla „własnych form demokratycznego umacniania socjalizmu” oraz stwierdził, że każda partia musi być niezależna i działać samodzielnie. Poniosi ona odpowiedzialność jedynie przed klasą robotniczą i własnym narodem. W odpowiedzi Jaruzelski podkreślił z naciskiem przewodnią rolę Związku Sowieckiego i zapewnił, że rezultaty zjazdu KPZS są „ważnym wkładem do teorii i praktyki budownictwa socjalizmu we współczesnym świecie”.

BISKUP TOKARCZUK KRYTYKUJE RZĄD

Boński dziennik *Die Welt* (26. 03) zwraca uwagę na kazanie biskupa Tokarczuka, który w Przemysłu wobec trzech tysięcy wiernych, m. in. powiedział: „środki podejmowane przeciwko religii, prze-

ciwko Bogu i wiernym są największym bezsenssem i w żaden sposób nie przyczyniają się do rozwoju naszego kraju”. Biskup wypowiedział się również przeciwko likwidacji krzyży w pomieszczeniach szkolnych oświadczając, że niestuszne jest „zwalczanie przy pomocy ideologii marksistowskiej wszystkich, którzy chwalił imię Chrystusa. Jak destrukcyjna jest ta ideologia, dowodzi fakt, że 40 lat po zakończeniu wojny ciągle jeszcze artykuły spożywcze są na kartki, zaś poziom życia wciąż się obniża”.

ŻYDZI NIE CHCĄ KLASZTORU W OŚWIĘCIMIU

Jak donosi *Sueddeutsche Zeitung* (27/28. 03) przedstawiciele Świątobowego Kongresu Żydów oraz innych organizacji żydowskich zaprezentowali przeciwko projektowi budowy klasztoru Karmelitów na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W liście do Papieża oświadczają rabini, że „święta ziemia”, na której przelano krew milionów ofiar największego ludobójstwa w historii ludzkości zostanie w ten sposób „pozbawiona świętości i przekłta”. Rząd PRL ocenił apel Żydów jako „mieszanie się w sprawę wewnętrzną kraju”. Arcybiskup Krakowa, kardynał Macharski zwrócił uwagę na to, iż nie wolno zapominać, że oprócz Żydów w Oświęcimiu zamordowano setki tysięcy katolików. Jedną z ofiar był kanonizowany niedawno O. Maksymilian Kolbe.

PRYMAS GLEMP O PRZERYWANIU CIĄŻY

Warszawski korespondent *Die Welt* (1. 04) dość obszernie omawia wielkanocny list pasterski kardynała Glempla, w którym zajął się on przede wszystkim sprawami odnowy moralnej człowieka krytykując wprowadzoną w 1956 roku ustawę o przerywaniu ciąży. Ułatwia ona „naruszanie prawa do życia”. Jak podają statystyki, w roku ubiegłym w Polsce dokonano ponad 500 tys. zabiegów przerywania ciąży.

Warszawski korespondent podkreśla, iż wkrótce dojdzie do kolejnego spotkania między Prymasem Glępem i generałem Jaruzelskim. Wiadomość ta została podana po powrocie Glempla z Rzymu. Nie wiadomo, czy na spotkaniu z rządem zostanie poruszona sprawa funduszu kościelnego dla rolnictwa.

ZŁY STAN ZDROWIA FRASYNIUKA

Neue Zuercher Zeitung powołując się na informacje z kręgów opozycji w Warszawie podaje, że stan zdrowia Frasyniuka znacznie się pogorszył. Od 26 marca znajduje się on w „karcerze”. Żyryski dziennik podkreśla, że Frasyniuk był jednym z przywódców podziemnej „Solidarności” i w czerwcu ub. roku za członkostwo zakazanej organizacji został skazany na 3,5 roku więzienia. Początkowo przebywał w więzieniu w Łęczycu, a w październiku ub. roku został przeniesiony do Zakładu Karnego w Lubsku, gdzie jest jedynym więźniem politycznym.

Berliński dziennik *Tagesspiegel* (4. 04) podkreśla, że Frasyniukowi zabrania się udziału w nabożeństwach i otrzymywania paczek od rodziny. Władze więzienia zarzucają mu naruszenie w 70 wypadkach regulaminu więziennego.

PRZED WIZYTĄ PAPIEŻA

Jeden z wiodących niemieckich publicystów Carl Gustaw Stroehm analizując sytuację polityczną w Polsce w momencie ogłoszenia wiadomości o trzeciej podróży Papieża do Polski stwierdził, że jest ona korzystniejsza dla komunistów niż przed pierwszą wizytą papieską: „dlatego też rzecznik rządu uważa, że może domagać się od Kościoła rekompensat”. Kościół powinien więc wspólnie z komunistami „wykorzystać” wszystko, co prowadzi do konfliktów z państwem. Działalność religijna nie powinna służyć „walce przeciwko państwu”. „Wojujący klerykalizm” niektórych księży powinien zostać przez Kościół stłumiony. Również strajki głodowe będące wyrazem walki o prawa człowieka czy rozumiane jako pomoc więźniom politycznym nie powinny być tolerowane wewnątrz kościołów.”

FRASYNIUKA NIE TORTUROWANO!?

Pułkownik Wrona z Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Warszawie stwierdził, że wobec Frasyniuka nie stosowano siły fizycznej. Zaprzeczył tym samym przedstawionym zachodniej prasie doniesieniom żony Frasyniuka, Krystyny, która mówiła o pobiciu byłego członka TKK przez personel więzienny. Wrona potwierdził jednakże, że Frasyniuk znajduje się w pojedynczej celi z powodu przekroczenia regulaminu więziennego.

NOWY MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH PRL W BONN

Mianowany po wyborach w ubiegłym roku na miejsce Olszowskiego nowy minister spraw zagranicznych PRL Marian Orzechowski podjął w dniu 7. 04 pierwsze od 6 lat oficjalne kontakty między rządem PRL i rządem Republiki Federalnej Niemiec. Przypuszcza się, że tematem rozmów Orzechowskiego z kanclerzem Kohlem i ministrem spraw zagranicznych Genscherem są sprawy gospodarcze. Strona niemiecka, na co zwraca uwagę tutejsza prasa, przedłożyła życzenia odnośnie przyznania mieszkającym w Polsce Niemcom praw mniejszości narodowej oraz możliwości prowadzenia przez nich działalności kulturalnej. Oto, co na temat wizyty Orzechowskiego w Bonn pisze liberalno-prawicowy dziennik *Tagesspiegel* z 9 kwietnia: „Po sześćdziesięciu stłagnięciach w stosunkach polsko-niemieckich wraz z wizytą polskiego ministra spraw zagranicznych Orzechowskiego w Bonn nastąpiło podjęcie przerwanej dialogu oraz pojawiły się nadzieje na jego rozwój. Minister spraw zagranicznych Genscher ma złożyć wniośną następnego roku rewizytę w Warszawie, co może stworzyć podstawy „do dialogu na najwyższej płaszczyźnie”.

Stosunki niemiecko-polskie są ciągle obciążane tragiczną przeszłością, co widoczne jest bardziej podczas oficjalnych spotkań. Z jednej

strony żywo pamięta się krwawą politykę wyniszczania prowadzoną przez nazistów, z drugiej zaś strony przedstawia się temu bolesne doświadczenia przesiedleńców, których przedstawiciele dziś jeszcze dają o sobie znać poprzez zmasowaną krytykę wyważonej polityki ministra spraw zagranicznych.

Bez wątpliwości strona niemiecka ma prawo nie akceptować wmwawianej jej konieczności rezygnacji na zawsze z prawa do samostanowienia, tym bardziej, kiedy sugestie takie przychodzą z kraju, który sam ponad 100 lat cierpiał pod zaborami, zanim osiągnął narodowe zjednoczenie. Kto jednak stara się propagować „tymczasowość” granicy na Odrze i Nysie, ten cementuje nie tylko podział Niemiec, lecz również daje reżymowi w Warszawie po raz któryś do ręki straszak niemieckiego „rewanżyzmu” po to, aby ów mógł dławić polski naród i jego dążenia do niepodległości i trzymać go w szachu zgodnie z komunistyczną ideologią.

Żądania wywierania nacisku gospodarczego na Polskę mogłyby zniszczyć rozsądną politykę niemiecką, która od chwili podpisania układu PRL-RFN przed 15 laty nie pozwoliła na realizację wielkich marzeń, odniosła jednakże bezspeszne sukcesy w postaci zezwolenia na wyjazd dla wielu osób pochodzenia niemieckiego w Bonn zdecydował się na ostrożne udzielanie pomocy, aby ułatwić Polsce Jaruzelskiego po odwołaniu stanu wojennego wyjście

z izolacji w świecie zachodnim: Warszawa z wdzięcznością ocenia gotowość do żyrowania kredytów. Dążenie do poprawienia klimatu politycznego mogłoby pomóc w realizacji wniosków emigracyjnych osób pochodzenia niemieckiego oraz doprowadzić do przełamania dyskryminacji kulturalnej i językowej, o ile ta grupa narodowościowa nie będzie traktowana przez Polaków jako potencjalny przyczółek żądań terytorialnych, lecz jako pomost porozumienia między sąsiednimi narodami”.

PROTEST W BONN

Grupa Robocza „Solidarność” w Bonn wraz z Towarzystwem „Kontynent” zorganizowała w dniu 7 kwietnia zbieranie podpisów pod listem do Przewodniczącego Rady Państwa Jaruzelskiego, w którym domagano się zwolnienia więźniów politycznych oraz przestrzegania praw człowieka w PRL. Organizatorem akcji byli Krzysztof Hyla („Kontynent”) oraz J. Wyrwiak i A. Baranowski (Grupa Robocza „Solidarność”).

DEMONSTRACJA W GDAŃSKU

Frankfurter Allgemeine Zeitung podaje, że w Gdańsku około 1000 osób protestowało przeciwko nowym podwyżkom cen. Demonstranci przemarszerowali od pomnika króla Jana Sobieskiego do centrum miasta.

EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA

POLSKA - CZŁONKIEM MFV

(20 marca) *Frankfurter Allgemeine Zeitung* powtórzyła za rzecznikiem rządu PRL Urbanem, iż w roku 1986 Polska będzie mogła zostać przyjęta do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Podpisano już odpowiednie porozumienie określające kwotę funduszu PRL w wysokości 680 mln dolarów USA. 22 % tego wkładu muszą stanowić waluty wymienialne, resztę zaś złotych. Wysokość wkładu Węgier w MFV wynosi 530,7 mln, a Jugosławii 613 mln.

INFLACJA NA ZACHODZIE

(20 marca) Ceny w handlu detalicznym w Anglii wzrosły w lutym br. w stosunku do lutego ubiegłego roku o 5,1 %, a w RFN o... 1,1 %, co jest najniższą stopą inflacji od roku 1957.

POLSKIE DŁUGI...

(20 marca) *Neue Zuercher Zeitung* donosi, że w Zurychu odbyła się kolejna runda rozmów przedstawicieli banków zachodnioeuropejskich z wysłannikami zadłużonego PRL-u, którzy wyrazili życzenie otrzymania kredytów w wysokości 1,1 miliardów dolarów w celu uregulo-

wania spłat w wysokości 800 milionów dolarów pochodzących z przesunięcia spłaty długów z roku 1981 i 1982. Przedstawiciele banków gotowi byli udzielić pożyczek w wysokości 75 % żądanych sum. NZZ przypuszcza, że polskie żądania nie zostaną spełnione.

POLSKIE DŁUGI NA ZACHODZIE

(24 marca) Jak podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* prezes NBP - Władysław Baka oświadczył w Zurychu, że zadłużenia PRL na Zachodzie przestaną wzrastać dopiero za 5 lat. Według Baki należy nadal inwestować we własny przemysł ze środków uzyskanych z eksportu. Dlatego też tylko 1/4 dochodów z eksportu przeznaczona zostanie na spłaty długów za granicą.

„TOYOTY” I „HONDY” NADAL POPULARNE W RFN

Udział japońskiego przemysłu samochodowego na wewnętrznym rynku RFN wzrósł w ub. roku do 13,9 %. Całkowity udział zagranicznych producentów na rynku niemieckim wzrósł w roku ub. do 33,3 % (1984 - 30,1 %). I oczywiście japoński przemysł motoryzacyjny zajmuje tutaj I miejsce. Wśród producentów nie-

mieckich I miejsce na rynku wewnętrznym zajmuje Volkswagen - 21,4 % (21,3 %), udział zaś zakładów Mercedesa spadł do 12,3 % (13,5 %).

**HANDEL
NIEMIECKO-SOWIECKI**

Jak informuje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (2.04) minister gospodarki RFN Bangemann podjął w Moskwie rozmowy odnośnie udziału niemieckich firm w realizacji projektów wielkich fabryk w Związku Sowieckim. RFN jest najważniejszym partnerem handlowym ZSSR na Zachodzie. W roku ubiegłym zmniejszył się jednak niemiecki eksport do Związku Sowieckiego o 2,2 % tzn. do sumy 10,5 mld DM, a import wzrósł o 5,2 % tzn.

do 13,6 mld DM, co daje ZSSR dodatni bilans handlowy w wysokości 3 mld DM.

PRZEŁOŻONE SPŁATY

Jak podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (7.04), rząd PRL wystąpił do rządu RFN z propozycją oprocentowania niespłaconych procentów od kredytów zaciągniętych jeszcze w roku 1975 w wysokości 2,5 %. Przedmiotem rokowań jest suma 320 mln DM. Rząd niemiecki, jak przypuszcza *FAZ*, domaga się oprocentowania w wysokości 6 %, które jest przyjęte w takich wypadkach. Problemy spłaty polskich długów zaciągniętych w RFN - przypuszcza *FAZ* - będą jednym z głównych tematów rozmów ministra spraw zagranicznych PRL Orzechowskiego w Bonn.

KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA

„TRZECIA DROGA” POLSKI

(21 marca) Renomowany szwajcarski dziennik *Neue Zurcher Zeitung* zamieszcza interesujący esej pod tytułem „Polen und der ‚dritte Weg’” (Polska i „trzecia droga”) piera Jeannine Luczak-Wild, traktujący o próbach Polaków znalezienia na przestrzeni dziejów „trzeciej drogi”, „trzeciego” modelu życia społecznego na różnych płaszczyznach, modelu różniącego się zasadniczo od aktualnych przeciwstawnych sobie systemów. Polska w XV i XVI w. przez swoją otwartość na zewnątrz i tolerancję w życiu wewnętrznym zdecydowanie różniła się od duchowo i politycznie zwaśnionej zachodniej Europy stając się swoistym „asylum haereticorum”, gdy wówczas w zachodniej Europie prowadzono wojny religijne. Konstytucja 3 Maja jest dowodem poszukiwań *via media* między skrajnościami francuskiego absolutyzmu i francuskiej rewolucji oraz próbą połączenia kresu anarchizującym wynaturzeniem rzeszpospolitej szlacheckiej. Podobnie można ocenić dziewiętnastowieczny mesjanizm polskich filozofów i poetów, czy też filozofię „pracy pozytywnej”. „Solidarność” jako synteza dotychczasowych tradycji i doświadczeń społeczno-politycznych była również próbą znalezienia „trzeciej drogi”, choć nie da się tego ruchu sprowadzić do formuły „ani kapitalizm ani socjalizm”, którą tak łatwo szafowano. „Solidarność” będąc ruchem o szerokim spektrum społeczno-politycznym często była obiektem „przywłaszczania” go sobie przez zachodnich intelektualistów czy też ugrupowań politycznych.

Oto kilka głównych myśli, przekazanych w nieadekwatnym skrócie, jednego z najbardziej interesujących esejów o historii Polski i o „Solidarności”, jakie ukazały się w niemieckojęzycznych dziennikach w ostatnich latach.

**FILMY KAWALEROWICZA
W RFN**

Wśród 50 filmów (z których 20 pochodzi z krajów bloku wschodniego) przedstawianych na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Selb (Bawaria) znajduje się kilka filmów Jerzego Kawalerowicza. *Die Welt* (2.04) pisze, iż jest to właściwie przegląd twórczości polskiego reżysera, którego dzieła są głównym punktem programu.

ZJAZD ZLP

Z dużym opóźnieniem *Frankfurter Allgemeine Zeitung* publikuje sprawozdanie ze zjazdu ZLP, który odbył

się w trzeciej dekadzie lutego br. Podkreśla się, że nowo wybrany przewodniczący Wojciech Żukrowski skarżył się w swoim przemówieniu na „powolność oficjalnego aparatu wydawniczego”. *FAZ* podkreśla, że wydawnictwa poza cenzurą są szybsze: „W kręgach opozycyjnych mówi się, że w roku 1984 poza cenzurą wydano 4-5 tys. tytułów książek, w tym pozycje tak renomowanych pisarzy, jak Tadeusz Konwicki, Zbigniew Herbert, Marian Brandys i Marek Nowakowski”.

**KRÓTKOMETRAŻÓWKI
Z ŁODZI W ZDF**

(20 marca) Kilka niemieckich dzienników zwróciło uwagę na pokazane w nocnym programie niemieckiej telewizji ZDF 11 krótkometrażowych filmów, które były pracami dyplomowymi absolwentów łódzkiej szkoły filmowej. W recenzjach zwraca się uwagę, iż filmowi dyplomanci są mistrzami swojego fachu, świadomie operują dostępnymi im środkami ekspresji, choć z filmów widać, że mocno ograniczani byli skromnym budżetem. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* wyróżnia dwa filmy: „Pojedynek” Antonia Mitricskiego oraz „Domokrączę” Łukasza Wylęgała.

**PRL WYRÓŻNIA
NIEMIECKICH TEATROLOGÓW**

Jak podaje berliński *Tagesspiegel* (23.03) siedmiu niemieckich teatrologów i działaczy kultury otrzymało od władz PRL wyróżnienia za zasługi dla polskiej kultury w Republice Federalnej. Order „Merite en Faveur de la Culture Polonaise”, najwyższe odznaczenie PRL za działalność kulturalną otrzymali: dyrektor teatru w Fuerth, Kraft Alexander książę Hohenlohe zu Oehringen, jak również dyrektorzy Deutsches Theater w Getyndze, Gunther Fleckenstein i Norbert Baensch. Ceremonia wręczenia odznaczeń odbyła się w ambasadzie PRL w Kolonii. Oprócz wyżej wymienionych orderami odznaczono: Christophera Grosera (dyrektora Staatstheater w Hesji), Sigfrieda Koehlera (Staatstheater w Wiesbaden) oraz Georga Hertnagela i Lotahra Wolfganga (menadżerów koncertowych).

* * *

Warszawski korespondent *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (1.04), Joerg Bremer przedstawił niemieckiemu czytelnikowi na łamach swojego czasopisma niewielki szkic o twórczości i osobowości Tadeusza Konwickiego.

- Kroniki na podstawie prasy niemieckiej opracował Stanisław Gałęziowski.

Kraj w prasie PRL



X ZJAZD

Trybuna Ludu w wydaniu z 15-16 marca br. opublikowała tekst *Uchwały KC w sprawie daty zwołania i porządku obrad X Zjazdu*. Zjazd postanowiono zwołać w dniu 29 czerwca 1986 r. w Warszawie. Ramowy porządek obrad obejmuje punktów dziesięć i zarządza, co następuje: referat KC PZPR o zadaniach partii w socjalistycznym rozwoju PRL, referat Rady Ministrów w sprawie założeń społeczno-gospodarczego rozwoju kraju do roku 1995, sprawozdania KC PZPR, Centralnej Komisji Rewizyjnej i Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, dyskusję, przyjęcie programu PZPR, przyjęcie uchwał, przyjęcie zmian i uzupełnień w Statucie oraz wybory.

Z dziesięciu punktów programu pięć stanowią więc sprawozdania, jeden wybory, trzy zaś... przyjęcie rozmaitych uchwał, zmian i programu. Pozostaje jednak tajemnicą, kto i kiedy owe programy i zmiany zgłosi i sformułuje, *ramowy porządek* bowiem żadnej takiej aktywności nie przewiduje.

DURA LEX SED LEX

Dziennik Łódzki z dnia 22 stycznia 1986 przyniósł informację w pełni potwierdzającą starą łącińską maksymę, że prawo choć surowe jednak jest prawem. Otóż *Sąd Rejonowy w Łodzi ukarał Piotra Siutę (...)* karą 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności i utratę mienia w całości (podkr. red.). *Jako karę dodatkową sąd orzekł podanie wyroku do publicznej wiadomości.*

I za cóż to Piotr Siuta poszedł nie tylko siedzieć, ale stracił jeszcze

cały majątek (pocieszające może być tylko to, że skazany ma 18 lat, zapewne nie dorobił się jeszcze, więc też niezbyt intensywnie zasilł skarb państwa)?

Oskarżony (...) działając w *zamiarze* (podkr. red) *kradzieży pieniędzy włamał się do samochodu (...), lecz zamierzonego celu nie osiągnął, gdyż został spłoszony...*

Polityka z 22 lutego 1986 przyniosła w dziale *Listy i polemiki* więcej podobnych rewelacji:

10 miesięcy więzienia i 60 tys. grzywny za sprzedaż butelki wódki; trzy i pół roku pozbawienia wolności i grzywna za kradzież kartonu wina; dwa lata pozbawienia wolności, 30 tysięcy grzywny i przepadek mienia w całości za kradzież (z włamaniem)... 20 stółków z przetworami. Tę ostatnią informację skomentował czytelnik *Polityki*: *Skazany ma lat 71. Czy nie powinno się go raczej umieścić w domu opieki?*

I tak dalej, i tak dalej...

Dziennikarz Polityki, S. Podemski opatrzył nadesłane przez czytelników przykłady drastycznie surowych wyroków komentarzem, z którego przebija przede wszystkim bezradność.

Dyrektor Z. Jankowski z Ministerstwa Sprawiedliwości (...) przyznaje, że *niekiedy bywają jeszcze dysproporcje, ale zapowiada, że kiedyś wszystko to przemienie, ułożą się, gdy nowe prawo obrośnie orzecznictwem, poglądami doktryny i doświadczeniem.*

Ciekawe, że przedstawiciel polskiego sądownictwa widzi ratunek w tym, że prawo przestanie funkcjonować w zgodzie ze swą surową literą, nie zaś po prostu w ludzkim wymiarze sprawiedliwości.

ROCZNICA

Trybuna Ludu 21 lutego przypomina, że 40 lat temu - 21 lutego 1946 r. powołana została *Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej. ORMO* - pisze dalej *Trybuna* - *jest dziś masową organizacją społeczną na terenie miast i wsi, działają w niej zarówno członkowie partii, jak i stronnictw politycznych, organizacji młodzieżowych oraz bezpartyjni. Podstawowy trzon ORMO nadal stanowią robotnicy i chłopi.*

Kiedyś wydawało się nam, że masową organizacją skupiającą wszystkie stany i klasy była „Solidarność”. Okazuje się, że było to błędem. Masową organizacją społeczną jest dziś ORMO.

POLITYCZNA DEPRAWACJA

Tak wstrząsającym tytułem, podkreślonym jeszcze dodatkowo równie rozpaczliwym pytaniem: *Skazani na życiową kłeskę? opatrzyła Trybuna Ludu* z 21 lutego artykuł poświęcony prasie podziemnej publikowanej w liceach gdańskich.

Zagadnienie to nie stanowi, jak twierdzi dziennikarz *Trybuny* - Marek Rudnicki, *problemu ogólnopolskiego, niemniej w lokalnej, środowiskowej skali wydawnictwa te krążą, potwierdzając informację z rozgłośni antypolskich, przynosząc nienawistne materiały antyrządzieckie, bądź atakując tych nauczycieli, którzy nie są nastawieni opozycyjnie. (...) Ulotki, gazetki, ciche przerwy itp. to tylko zewnętrzne przejawy zjawiska, które znając można polityczną manipulację młodzieżą.*

Dalszego ciągu obszernego artykułu przytoczać nie warto, wszyscy bowiem na pamięć już znamy żelazny repertuar ataków, inwektyw i postulatów. Warto natomiast z całą pewnością podziękować niestrudzonemu dziennikarzowi *Trybuny*, który na łamach swego poczytnego pisma podał wcale niezłą instrukcję, jak zorganizować opór uczniowski w szkole średniej i miejmy nadzieję, że taki właśnie był prawdziwy cel napisania tego artykułu.

ŚRODOWISKO

Mapę ekologicznych zagrożeń omówił w *Rzeczpospolitej* z 13 marca 1986 niejaki (Jota). Mapa powstała w Departamencie Inspekcji Sanitarnej Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej i *obejmuje aktualne skażenia środowiska wg pomiarów dokonanych w laboratoriach w poszczególnych województwach*. Laboratoria badają *przede wszystkim to, co może mieć bezpośredni wpływ na zdrowie ludzi (...), a więc wodę do picia i potrzeb gospodarczych (...), powietrze i (...)* stan gleby.

Na użytek czytelników *Rzeczpospolitej* mapę omówił (choć nie pokazał) dr Suchowiak, dyrektor Departamentu Inspekcji Sanitarnej.

Cóż więc widać na naszej mapie? W 20 województwach stwierdzamy duże zanieczyszczenie wód powierzchniowych (...). W 14 województwach notujemy bardzo duże zapylenie powietrza. Ołów i kadm występują w dość wysokim stężeniu na terenie 22 województw.

No tak, nie jest - zdaniem *Rzeczpospolitej* - najlepiej, a *niekorzystne warunki ekologiczne występują w 12 województwach: szczeciń-*

skim, poznańskim, jeleniogórskim, legnickim, wrocławskim, wałbrzyskim, katowickim, krakowskim, tarnowskim, rzeszowskim i nowosądeckim.

Tym niemniej takie na przykład Mazury, gdzie zanieczyszono już wody 80 procent jezior okazują się jeszcze rajem natury w porównaniu z resztą kraju.

POLSKA WYWIĄZUJE SIĘ Z KONWENCJI HELSIŃSKIEJ

Tak zatytułowała swą informację *Trybuna Ludu* z dnia 17 lutego 1986 r. Konwencja Helsińska zobowiązuje do eliminowania lub znacznego ograniczenia wszystkich przedsięwzięć zanieczyszczających Bałtyk. Sygnatariusze konwencji zobowiązani są m.in. do dbałości o czystość wód lądowych spływających do morza. I z tego to zadania – jak głosi dumnie *Trybuna* – Polska się wywiązuje. I tylko w tytule notatki, bo z jej treści dość jasno wynika, że jest to niemożliwe. W Polsce przywrócenie równowagi ekologicznej w strefie nadmorskiej wymaga od zaraz inwestycji wartości przekraczających 100 mld. zł. (...) Z oczywistych względów ekonomicznych i technicznych taka skala inwestycji jest niemożliwa do natychmiastowego zrealizowania. W strefie przybrzeżnej (...) trwa obecnie budowa 46 oczyszczalni ścieków. Ich przekazanie do eksploatacji

umożliwi zwiększenie utylizacji ścieków o 710 tys. metrów sześciennych na dobę.

Ze zobowiązań Konwencji wywiązuje się więc Polska na razie tylko na papierze *Trybuny*, przez dokonywanie przeliczeń miliardów złotych na metry sześciennie ekskrementów.

NARESZCIE SPŁACAMY DŁUGI

13 marca br. *Rzeczpospolita* podała do publicznej wiadomości tekst rozporządzenia Rady Ministrów z 13 stycznia 1986. Rozporządzenie zaś wydano na podstawie art. 2 ustawy z 23 grudnia 1985 i weszło ono w życie z dniem ogłoszenia z mocą od 1 stycznia 1986 r.

Jest to więc, jak się zdaje, kolejny przykład świadczący o tym, że prawo może funkcjonować nie tylko w przód, ale i wstecz. Nie należy jednak mieć o to pretensji, albowiem cel uświęca środki, a celem jest sprawa, która na pewno leży na sercu każdemu obywatelowi PRL, mianowicie spłata zadłużenia zagranicznego, które wynosi obecnie około 30 miliardów dolarów USA.

Pełen tytuł powyższego artykułu prawnego brzmi – *Rozporządzenie w sprawie wysokości wpłat na Fundusz Obsługi Zadłużeń Zagranicznych od posiadanych środków trwałych oraz zwolnienie od tych wpłat*. Zarządza się tam co następuje:

§1. 1. Jednostki gospodarki uspołecznionej (...) są zobowiązane dokonywać wpłat na Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego od posiadanych środków trwałych.

2. Wpłaty (...) są dokonywane na fundusz rozwoju (...) w wys. 2% wartości środków trwałych netto...

3. Zwalnia się z wpłat (...)

Z wpłat mianowicie zwalnia się (kolejność wg rozporządzenia): PKP, przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, spółdzielnie mieszkaniowe, PPGR, PGR, rolnicze spółdzielnie produkcyjne i SKR, przedsiębiorstwa produkcji leśnej, przedsiębiorstwa zaopatrujące handel rynkowy, spółdzielnie niewidomych i ich związki oraz inwalidów i ich związki, szkoly wyższe i placówki PAN, organizacje polityczne, społeczne i zawodowe, jednostki organizacyjne dróg publicznych, Bank Handlowy, Bank Gospodarki Żywnościowej i Bank PeKaO SA, przedsiębiorstwa międzynarodowe utworzone przez organ administracji państwowej i zagraniczne osoby prawne działające w Polsce na podstawie porozumienia między rządem PRL a rządami obcych państw.

Lista jest długa i czytelnikowi wydać się może nudna, ale jej bardziej szczegółowa analiza pozwala określić, kto więc tak naprawdę ma spłacić 30 miliardów dolarów. Kolejajarze – nie, ale tramwajarze już tak.

Od redakcji:

W numerze 24/25 „Poglądu” z 24 grudnia 1985 roku opublikowaliśmy list do przewodniczącego SPD Willy Brandta w związku z jego wizytą w PRL sygnowany nazwiskami przewodniczącego „Solidarności Walczącej” Kornela Morawieckiego i przedstawiciela „Solidarności Walczącej” na Zachodzie, Andrzeja Wirgi.

W związku z tym winni jesteśmy czytelnikom wyjaśnienie, które publikujemy dopiero teraz, ponieważ dotarły do nas grudniowe i styczniowe egzemplarze pisma „Solidarności Walczącej”. Oto w numerze z 12/26 stycznia br. czytamy, co następuje:

List do przewodniczącego SPD Willy Brandta, podpisany moim nazwiskiem i wydrukowany 7 grudnia 1985 r. w „Die Welt” trafił tam poprzez Andrzeja Wirgę, naszego przedstawiciela w RFN. Tekst ten powstał bez naszej wiedzy, jako wynik dyskusji członków „Solidarności Walczącej” przebywających w RFN i uważających, że taki tekst jest pilnie potrzebny. Sądził oni, że wcześ-

niejsza korespondencja z nami upoważnia ich do zajęcia stanowiska w imieniu całej Organizacji. Z powodów konspiracyjnych autorzy listu nie zdołali przekazać go do autorytari.

Treść listu, aczkolwiek ogólnie zgodna z naszym programem, nie dość jasno stwierdza stałość polskiej granicy zachodniej oraz kwestionuje, w świetle obecnej polityki Willy Brandta, jego zastąpienie na polu pojednania narodów polskiego i niemieckiego.

Chcę podkreślić raz jeszcze, że „Solidarność Walcząca” jest przeciwna wszelkim roszczeniom terytorialnym w Europie. Nasza organizacja uznaje prawo narodu niemieckiego do zjednoczenia się w obecnych granicach obu państw niemieckich.
29 grudnia 1985 r.

Przewodniczący „Solidarności Walczącej”
Kornel Morawiecki

Czytelników zminiaturyzowanych wydań „Poglądu” przepraszamy za złą jakość reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolic sobie nie możemy.

Redakcja

Prywatne rozmyślania

1.

Do każdej tony węgla sprzedawanego na rynku wewnętrznym PRL państwo dopłaca 1 500 złotych. Dowiedziałem się tego z *Polityki*, gdzie jako remedium jakiś węglowy specjalista zaproponował wyższą cenę energii, co i tak nie zrekompensuje strat ponoszonych przez państwo przy wydobyciu i transporcie. Oczywiście węgiel nie jest jedynym towarem, do którego się dokłada. Wszystkie podwyżki motywowane są koniecznością zmniejszenia dotacji. Dokłada się do komunikacji miejskiej, międzymiastowej i lotniczej, do mięsa, pieczywa, mleka, masła, gazet, książek. Lista jest długa. W praktyce oczywiście nie dopłaca się do mleka czy elektryczności, tylko do obywateli, którzy z tych luksusów korzystają bez opamiętania. Im więcej kto pije mleka czy ogląda dzienników telewizyjnych, tym bardziej jest dofinansowywany przez państwo. Najtańszy byłby Polak pijący wodę z Wisły i siedzący przy łuczynie, choć nie mam wcale pewności, czy i produkcja łuczyn nie jest deficytowa. Interesowałoby mnie bardzo odwrócenie statystyki – zamiast wiedzieć, ile państwo dopłaca do tony węgla, kilograma chleba czy litra mleka, wolałbym zostać poinformowany, ile to państwo dopłaca do przeciętnego, statystycznego obywatela. A przede wszystkim – z czego? Pytanie wcale nie bezzasadne. Czterdzieści lat gospodarowania bez kryteriów ekonomicznych, wyklęcie pojęcia zysku, ocenianie przedsiębiorstw na podstawie wymyślonych w gabinetach i wciąż zmienianych wskaźników, w publicystyce na tematy gospodarcze, a i w oficjalnych enuncjacjach władzy wytworzyło łatwy i efektywny obraz propagandowy – społeczeństwa nierobów i darmozjadów, żyjącego tylko dzięki łasce i dobrodziejstwu władzy z dotacji państwowych. Tymczasem państwo i rząd nie mogą do niczego dopłacać, ponieważ ani państwo, ani rząd nie wytwarzają dochodu narodowego, a tylko dzielą wytworzony przez obywateli. Nazywanie dotacjami, dobrodziejstwem i zdobyczą socjalną zarobakami pracownikowi prawa do decydowania o wydatkowaniu części jego dochodu, swobodnego wyboru, czy będzie on pił więcej mleka, czy dłużej palił światło, manipulowanie cenami i płacami jest tylko rozpaczliwą próbą pokrycia rzeczywistego deficytu, jedynego, jaki naprawdę mamy w PRL – deficytu wolnej od ponurego dok-

trynerstwa myśli ekonomicznej. Trwa w Polsce, także w tonie opozycji, dyskusja co robić z gospodarką. Odpowiedź, mnie przynajmniej, wydaje się prosta – nic nie robić, znieść bezsensowne instytucje państwa nadopiekuńczego, zajmującego się sprawiedliwym dzieleniem niedostatku i kryzysu i poczekać, co z tego wyniknie. Stworzyć prawdziwą opiekę społeczną dla rzeczywiście potrzebujących, a zrezygnować z traktowania całego narodu jak klienta urzędu socjalnego. Odebrać zapiekłym idealistom zza urzędowych biur przywilej decydowania jednym rozporządzeniem o zwiększeniu lub zmniejszeniu dotacji z budżetu państwa – co pracujący 8 godzin robotnik zje na śniadanie. A niech nic nie je przez trzy dni, tylko potem sobie kupi koszulę, albo parę butów. Co to wszystko obchodzi premiera, sejm i komisję planowania, którzy powinni mieć całkiem inne zamartwienia? Ale nie, oni się przede wszystkim martwią – wedle kryteriów marksistowskich – ile zabrać obywatelom wytwarzanej przez nich wartości dodatkowej, którą gdzie indziej zagarniają kapitaliści, i do czego ją dołożyć, aby było sprawiedliwie. Naturalnie chodzi o tę część wartości dodatkowej, która pozostaje po wydatkach na zbrojenia, ZOMO i Służbę Bezpieczeństwa.

2.

Zebrało mi się dziś na ekonomię. No cóż, człowiek czyta prasę krajową, przede wszystkim tę realizującą linię porozumienia i walki i ze smutkiem stwierdza, że coraz mniej w nim z homo faber, jeszcze mniej z homo ludens, a coraz więcej z homo oeconomicus. Żyjemy w ciekawych czasach eksperymentów gospodarczych. Pierwszy eksperyment, jaki osobiście przeżyłem, to były bodźce ekonomiczne, których wprowadzenie, jak zapewne wszyscy pamiętają, zakończyło się poławicznym sukcesem – przyniosły mianowicie rezultat oczekiwany, acz nie zamierzony. Potem był eksperyment z pożyczkami na warunkach samospłaty, z podobnym wynikiem, no ale pożyczki to rzecz zawsze ryzykowna: pożyczca się cudze, a oddaje własne, pożyczca na chwilę, a oddaje na zawsze. Teraz znów od kilku lat trwa cała seria eksperymentów pod wspólną nazwą reforma gospodarcza. Metodą doświadczalną odkryto dzięki niej kilka zasadniczych praw ekonomicznych. Jak choćby prawo chrupiących bułek profesora

Krasińskiego, które brzmi: jeżeli monopolista sprzedaje zakalec po 3 złote za sztukę, to po podwyższeniu ceny dwukrotnie w warunkach monopolu będzie dalej produkował zakalec. Otóż ja także bym sobie chętnie poeksperymentował na polu ekonomii, ale ponieważ nie posiadam odpowiednich uprawnień decyzyjnych, postanowiłem uczynić to teoretycznie, na papierze, z zachowaniem naturalnie szacunku dla ustawodawstwa, ideologii, zasad i zwyczajów obowiązujących w PRL.

Założenia tej gry ekonomicznej były następujące: w trzech województwach kraju, stołecznym, leszczyńskim i siedleckim postanowiono tytułem próby założyć domy publiczne. Eksperyment rokował najlepsze nadzieje, wedle bowiem ekspertyzy Zakładu Historii Partii prostytucja jest nie tylko najstarszym, ale i jednym z najbardziej dochodowych zawodów świata, a w dziejach nie było jeszcze przypadku, by burdel zbankrutował lub zanotował deficyt. Powołano komisję międzyresortową, w skład której weszli przedstawiciele resortów Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, Kultury i Sztuki, Zdrowia i Opieki Społecznej, Handlu i Usług, Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu. Komisja obradowała w permanencji, ustalając następujące zasady organizacji eksperymentu: organem założycielskim będzie Ministerstwo Handlu i Usług, administrować nim będzie nowo powołane Zjednoczenie Domów Rozrywki z siedzibą w Warszawie, przy którym powstanie Rada Programowa złożona z pracowników nauki i ludzi kultury. Na biura Zjednoczenia zajęto pomieszczenia Domu Chłopa w Warszawie, dyrektorem mianowano pułkownika Jerzego Lipińskiego, dotychczasowego głównego specjalistę w Komitecie Rady Ministrów d/s Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej. Przewodniczącą Rady Programowej wybrano jednogłośnie doc. dr Bożenę Krzywobłocką, publicystkę tygodnika *Rzeczywistość*. Eksperyment wszedł w fazę realizacji. Znalaziono odpowiednie lokale w Warszawie, Lesznie i Siedlcach i przystąpiono do werbowania personelu, na początku administracyjnego. Zgodnie z zasadą klucza, dyrektorem burdelu w Warszawie został członek PZPR, w Lesznie Stronnicstwa Demokratycznego, a w Siedlcach ZSL. PAX-owi obiecano równorzędne stanowisko, gdy tylko przedsięwzięcie wyjdzie z fazy wstępnej i rozszerzy się na inne województwa. Zatrudniono nadto księgowych, buchalterów, kasjerki, specjalistów do spraw socjalnych, osoby do rozdzielania kartek żywnościowych, kierowników pięt, sprzątaczkę, portierów, szwaczki, pomywaczki, kontrolerów ruchu, specjalistów do spraw planowania, inwestycji, innowacji i tak dalej. W sumie Zjednoczenie wraz z trzema podległy-

mi mu przedsiębiorstwami zatrudniało już w tej chwili około 1 500 osób.

I w tym momencie mój eksperyment stanął na rozdrożu. Zjednoczenie było bowiem już tak potężne, że aby przetrwać nie potrzebowało w ogóle prowadzić żadnej działalności usługowej. Było całkowie samowystarczalne. No, ale mamy wszak reformę gospodarczą i założmy, że jednak trzeba mieć jakieś wyniki finansowe, nie tylko sprawozdawcze. A więc kontynuujmy.

Podczas gdy w łonie Rady Programowej trwał spór, czy pensjonariuszki zaliczyć będzie trzeba do pracowników umysłowych, za czym obstawała doc. Krzywobłocka, czy też fizycznych, za czym optowali obaj wiceprzewodniczący – Bratny i Sokorski, dyrektor Lipiński, uzyskawszy z puli rezerwowej Ministerstwa Finansów stosowną kwotę dewiz wyjechał do przodujących krajów rozwiniętego kapitalizmu zbierać doświadczenia w myśl zasady, że uczyć się trzeba nawet od diabła. Kiedy wrócił po trzech miesiącach, Rada doszła już do niejakiej zgody, przedstawiając wniosek, by w kwestiach urlopowych pracownice Domów Rozrywki traktowane były jako umysłowe, a w kwestiach kart zaopatrzenia jako fizyczne. Odpowiednie zarządzenie Zjednoczenia zostało potem uchylone przez Trybunał Administracyjny na skutek skargi OPZZ mówiącej o nienależnych przywilejach i ostatecznie przyznano personelowi urlopy w wymiarach dla fizycznych, a kartki w wymiarze dla umysłowych. Rada przeforsowała jednak ośmiogodzinny dzień pracy i jedną wolną sobotę w miesiącu. Rozpoczął się werbunek personelu. Przyjęto zasadę, że w każdym z województw mogą pracować tylko jego mieszkanki. Ograniczenie wieku odrzucono jako sprzeczne z zasadami konstytucyjnymi. Także wysuwane przez niektóre czasopisma sugestie, iż do pracy powinno się przyjmować wedle kryteriów wyglądu zewnętrznego nie znalazły uznania. Znacznie ważniejsze jest – dowodził pułkownik Lipiński – aby kandydatki dawały gwarancje właściwej postawy ideologicznej, skoro stykając się z szerokimi rzeszami ludności będą miały możliwość kształtowania opinii publicznej. Dlatego warunkiem przyjęcia było przedstawienie opinii organizacji społecznej wraz z rekomendacją oraz podpisanie krótkiego oświadczenia w sprawie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie, trwałości sojuszków wojskowych i rozdziału Kościoła od państwa. Jednocześnie poufnymi kanałami komisja kwalifikacyjna zasięgnęła opinii o prowadzeniu się kandydatek w miejscu zamieszkania. Opinie wystawiali dzielnicowi. Ogółem na 40 wolnych miejsc zgłosiło się 137 kandydatek, z czego od razu odrzucono 23,

wobec niespełniania kryteriów moralności socjalistycznej. Zaszła jednak potrzeba dalszej selekcji, wobec czego wprowadzono dalsze punkty za pochodzenie społeczne, odznaczenia państwowe i resortowe. Docent Krzywobłocka chciała uprzywilejować matki wielodzietne i samotne, ale natopkała na ostry opór, że w końcu zrezygnowała i w zamian wysunęła propozycję premiowania przynależności partyjnej i ukończenia kursów marksizmu-leninizmu, co przyjęto. Ostatecznie przyjęto do pracy w Warszawie 20 pań, a w Siedlcach i Lesznie po 10. Uroczyste otwarcie z udziałem przedstawicieli władz partyjnych, administracyjnych, reprezentantów organizacji społecznych i młodzieżowych odbyte w dniu Święta Pracy zakończyło się bankietem. Następnego dnia już od rana przed nowymi placówkami ustawiły się kolejki czekających na godzinę otwarcia. Za 15 jedenasta wszystkie trzy budynki otoczyły lotne brygady MO i rozpoczęły sprawdzanie dokumentów, by wyłowić spośród pierwszych klientów osoby uparczywie uchylające się od pracy, pasyżów społecznych, posiadaczy zwolnień lekarskich i tych, którzy oddalili się z miejsca pracy bez pozwolenia. Po błyskawicznej akcji w kolejce pozostała nieliczna grupa cudzoziemców, głównie Arabów. Wpuszczono ich do środka, najpierw wszakże do biura, gdzie musieli, gdy chcieli płacić złotówkami, przedłożyć dowód wymiany w Narodowym Banku Polskim lub płać w dolarach. Następnego dnia kolejki już nie było. Natomiast w ciągu pierwszego miesiąca działalności placówki rozrywkowe poddano surowej kontroli — niespodziewanych nalotów dokonały Inspekcja Robotniczo-Chłopska, NIK, PIH, i kto tam jeszcze, sprawdzając kwalifikacje personelu i jakość usług. Z niespodziewaną gospodarską wizytą przybył do obiektu w Warszawie generał Jaruzelski, witany przez ubrane w białe sukienki pensjonariuszki kwiatami i szampanem. Pierwszy rachunek ekonomiczny wykazał jednak mimo wszystkich wysiłków administracji spory deficyt. Uznano, że ustalone ceny są zaniżone i postanowiono przejść na ceny umowne. Tymczasem eksperymentalne placówki odwiedzać zaczęły delegacje wysokiego szczebla z bratnich krajów socjalistycznych, pragnące skorzystać z polskich doświadczeń. Mimo wszystko wyniki ekonomiczne zjednoczenia wciąż się pogarszały. Wśród personelu bezpośrednio zatrudnionego w usługach wystąpiła znaczna fluktuacja kadr. Wysunięto dwie propozycje zapobieżenia niekorzystnym zjawiskom — militaryzację zakładu lub wprowadzenie systemu zachęt mate-

rialnych. Ostatecznie przedłużono czas pracy do 12 godzin dziennie, zlikwidowano wolną sobotę, wprowadzono Kartę Pensjonariuszki, uprawniającą do odzieży roboczej, 4 ton węgla rocznie i urlopu we własnym ośrodku wypoczynkowym w Kędzierzynie i ustalono system premii dla personelu administracyjnego. Frekwencja jednak wciąż spadała, zapewne wskutek wprowadzenia obowiązkowej rejestracji klientów na żądanie władz podatkowych. Jednocześnie system premii spowodował taki wzrost funduszu płac, że opłaty na Fundusz Aktywizacji Zawodowej powiększyły deficyt przedsiębiorstwa do kilkudziesięciu milionów złotych. Bank odmówił dalszych kredytów. Na naradzie w Urzędzie Rady Ministrów z udziałem ekspertów z Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego uznano, że eksperyment się nie udał, że mogłoby go uratować tylko stworzenie przedsiębiorstw mieszanych, polsko-zagranicznych lub polsko-polonijnych. Na razie postanowiono burdele zamknąć, by nie powiększać deficytu w budżecie państwa. Pozostało tylko Zjednoczenie, które zabiega o kapitały zagraniczne.

Jak Państwo widzicie, mój eksperyment gospodarczy na papierze zakończył się dokładnie tak samo jak eksperymenty Gorywody i Baki w życiu. Jedna różnica — mój był znacznie tańszy.

3.

Nie można się uwolnić od ekonomii? Ależ to nieprawda, można, trzeba tylko mieć właściwy stosunek do rzeczywistości. W gazecie codziennej Ludowego Wojska Polskiego *Żołnierz Wolności* pułkownik doktor Antoni Kowalski w artykule pod tytułem *Problemy współczesnego pola walki. Decydujące czynniki* pisze jak następuje:

Kreśląc wizję przyszłej wojny, należy mieć na względzie fakt, iż rozwój techniki uzbrojenia współczesnych armii zależy od wielu czynników, a przede wszystkim od stanu myśli technicznej, przyjętych założeń doktrynalnych oraz możliwości ekonomicznych kraju. Z uwagi na brak rozeznania co do ostatniego z wyżej wymienionych czynników, zostanie on pominięty w dalszych rozważaniach.

Przynajmniej uczciwie. Pułkownik Kowalski ze swoim stanem samoświadomości co do możliwości gospodarczych kraju stanowczo marnuje się w wojsku. Ale — z kolei — przeniesiony do Komisji Planowania mógłby tę świadomość utracić i puścić się na kolejne eksperymenty. Niech już lepiej pisze dla *Żołnierza Wolności*. ■

Robotnicy połowy lat osiemdziesiątych

Robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, główni autorzy Sierpnia, od 13 grudnia powoli wycofują się ze sceny politycznej. W jakim stopniu zachowali świadomość okresu „Solidarności”? Na ile identyfikują się z władzą, Kościołem, podziemną „Solidarnością”? Jak widzą obecną sytuację? Z kilkudziesięciu badań socjologicznych ostatnich lat najpełniejszą odpowiedź daje studium poznańskich socjologów z UAM, wykonane w IV kwartale 1984.

Badaniami objęto ponad 600 pracowników wielkich zakładów: Cegielskiego z Poznania, Huty Warszawa, szczylińskiej Stoczni im. Warskiego, „Polmo” w Koźuchowie (woj. zielonogórskie). Dobrano ich tak, by wśród ankietowanych znaleźli się w odpowiedniej proporcji przedstawiciele wszystkich grup pracowniczych. Przeważali oczywiście robotnicy, postawy kadry kierowniczej tylko w niewielkim stopniu wpływały na obraz całości. Tak więc można – za autorami badań – uznać, że przedstawione tu dane z dużym przybliżeniem odzwierciedlają świadomość robotników.

Niektóre wyniki były już publikowane w niezależnej prasie. Podajemy jednak najważniejsze rezultaty, by zachować wartość socjologicznego portretu, który – jak wynika z danych porównawczych – jest nadal aktualny. Ograniczenie komentarza na korzyść liczb i procentów może utrudnić czytanie, ale dla nas tzw. suche wyniki były fascynującą lekturą.

Z badań korzystamy bez wiedzy i zgody autorów.

UPRAGNIONA DEMOKRACJA

Pytani, co jest cechą dobrego ustroju, robotnicy wskazywali najczęściej na wolność słowa (75 %) oraz istnienie konkurencyjnych partii (62 %). Posłuszeństwo wobec władzy wybrało tylko 16 %, kierowniczą rolę partii 13 %, ograniczenie swobody przeciwników systemu 5 %. Poparcie zyskały też konkretne rozwiązania demokratyczne: kilka konkurencyjnych list wyborczych (82 %), pełna samorządność załogi (87 %).

Wizja idealnego ustroju nie uległa zmianie od czasów „Solidarności”. Stosunkowo niewielu badanych uważało, że świat powinien zmierzać w stronę realnego socjalizmu: takiego jak w Polsce (17 %) albo na Węgrzech (11 %). Model jugosłowiański – samorządność i niezaangażowanie – poparło 12 %, a dla 30 % socjalizm realizowany jest w Austrii i krajach skandynawskich. Reszta badanych w ogóle odrzuciła socjalizm jako wzorzec ustrojowy.

Robotnicy pozostają jednak pod znacznym wpływem ideologii socjalistycznej, zwłaszcza w sprawach gospodarczych. Wśród cech dobrego ustroju społeczną własność środków produkcji wybrało 57 %, a prywatną tylko 11 %, planową gospodarkę 57 %, a wolną konkurencję 40 %. Przekonania ekonomiczne nie są zresztą konsekwentne: 60 % wypowiedziało się przeciwko bezrobociu, ale 80 % za zwalnianiem niewydajnych; 51 % – za ograniczeniem najwyższych zarobków, ale 89 % – za ich zróżnicowaniem w zależności od kwalifikacji; 61 % – za rozwojem prywatnych przedsiębiorstw, ale tyle samo – za ograniczeniem ich dochodów. Natomiast prawie wszyscy (92 %)

okazali się zwolennikami indywidualnego rolnictwa.

DLACZEGO KRYZYS?

Robotnicy uważali, że kryzys spowodowany został głównie przez wady i błędy przywódców: łapownictwo i nadużywanie stanowisk (90 %), błędne decyzje ekipy Gierka (89 %) i Jaruzelskiego (62 %). *Ustrój nie ma nic do tego, tylko nie mamy szczęścia do przywódców* – zgodziło się z tym 2/3 badanych. Na drugim miejscu wskazywano wady systemu: brak samorządności i dobrej pracy związków zawodowych (61 %), zbyt duży wpływ partii (65 %), brak demokracji (65 %). Ostre sformułowanie *Całe zło tkwi w socjalizmie, który rujnuje gospodarkę* poparło jednak tylko 20 %. Za jeden z powodów kryzysu połowa badanych uznała wady narodowe: pijaństwo, upadek obyczajów, złą pracę; niespełna 1/5 obciążała odpowiedzialnością wrogów systemu (dywersję, siły antysocjalistyczne, opozycję); 12 % wskazało na klęski żywiołowe.

SCEPTYCZYM I NIEZADOWOLENIE

Pogrudniowa polityka władz nie zyskała aprobaty: 65 % przyznało, że stan wojenny zahamował proces demokratyzacji, a 74 % zaprzeczyło stwierdzeniu, że *dzięki PRON-owi i nowym związkom zawodowym tworzą się podstawy zgody narodowej*. Mniej sceptyczna była ocena gospodarki: 39 % było zdania, że reforma jest realizowana i gwarantuje wyjście z kryzysu. I tu jednak

połowa uznała, że w kraju panuje chaos powodujący nędzę.

Sytuacja w zakładach jest oceniana różnie – znaczne nasilenie konfliktów dostrzega w Warszawie 53 %, gdy w Koźuchowie 19 %. Ich główne powody to: zła organizacja pracy (62 %), różnice w zarobkach (56 %), niesprawiedliwy podział premii (51 %). Dopiero na siódmym miejscu znalazły się różnice przynależności partyjnej i związkowej (27 %). Warto dodać, że poznaniacy częściej podkreślali złą organizację pracy, warszawiacy przyczyny polityczne, a robotnicy z Koźuchowa różne formy niesprawiedliwości.

Blisko 3/4 badanych stwierdziło, że większość ludzi w Polsce jest niezadowolona. Niektóre grupy społeczne oceniono jednak inaczej – wskaźnik dodatni oznacza, że więcej osób uznało za zadowolonych: milicjantów (+72 %), wojskowych (+70 %), działaczy partyjnych (+66 %) oraz prywatną inicjatywę (+41 %). Inne grupy uzyskały wskaźnik ujemny; tj. częściej przypisywano im niezadowolenie niż zadowolenie: górnikom (-6 %), rolnikom (-21 %), urzędnikom (-27 %), naukowcom (-33 %), artystom (-39 %), inżynierom (-50 %), robotnikom (aż -83 %). Główne przyczyny niezadowolenia to: podwyżki cen (83 %), zła zaopatrzenie (68 %), spekulacja (45 %) oraz dwa powody polityczne: nieliczenie się władzy ze społeczeństwem (42 %) i utrata zdobyczy sierpniowych (34 %).

POSTULATY

W najbliższej przyszłości należałoby – zdaniem badanych – osiągnąć w kraju: równowagę rynkową i poprawę zaopatrzenia (33 %), wyjście z kryzysu (25 %), rozwój budownictwa mieszka-

niowego (18 %), demokratyzację systemu (15 %), podniesienie stopy życiowej (15 %). Niezależne związki zawodowe wymieniło tylko 2 %, a odkłamywanie mass-mediów 3 %. A w zakładzie? Podwyżki płac postuluje 52 %, poprawę organizacji pracy 32 %, lepsze warunki socjalne 11 %. Dopiero na dziesiątym miejscu znalazł się samorząd (7 %), o niezależne związki upomniało się zaledwie 3 % pracowników. Dziwi to tym bardziej, że w świadomości badanych okres „Solidarności” jest najbardziej pozytywnym wydarzeniem w historii Polski od 1918 r. wyprzedzając powojenną reformę rolną i nacjonalizację przemysłu oraz zwycięstwo nad faszysmem (wśród najbardziej negatywnych wydarzeń najczęściej wymieniany był stan wojenny).

Zarówno w sprawach kraju, jak i zakładu przeważały więc postulaty socjalno-bytowe (wybierało je odpowiednio 90 % i 96 %) oraz organizacyjno-gospodarcze (50 % i 64 %). Mniejsza liczba postulatów politycznych (40 % i 24 %) może wynikać z poczucia bezsilności: 60 % odpowiedziało przecząco na pytanie, czy może przyczynić się do tego, by w Polsce było lepiej, a 86 % uznało swój wpływ na sprawy zakładu za niezbyt duży lub żaden.

AUTORYTETY I ŹRÓDŁA INFORMACJI

Do kogo robotnicy mają zaufanie, czyje opinie uważają za słuszne? Badanym podano listę dziesięciu osób, prosząc dodatkowo o ocenę (od 1 do 5) ich wpływu na sytuację w Polsce. Oto wyniki, kolejno zaufanie i wpływ:

Jan Paweł II	4,6	3,4
Prymas Glemp	4,0	3,3
de Quellar	3,4	2,1
Lech Wałęsa	3,1	2,2

foto „r”



Jaruzelski	3,0	4,4
Dobraczyński	2,6	2,8
Zbigniew Bujak	2,3	1,9
Rakowski	2,3	3,5
Reagan	2,2	3,2
Czernienko	2,2	4,2

Skąd robotnicy czerpią potwierdzenie zastyszanych wiadomości i jakie mają zaufanie do źródeł informacji? Najczęściej korzystają z rozmów z przyjaciółmi lub rodziną – zawsze lub często robi tak 78 %, a zaufanie deklaruje 46 %. Dalsze pozycje to oficjalne mass-media (np. z telewizji korzysta 72 %, a zaufanie ma 31 %), radio zagraniczne (27 % i 30 %), źródła „nieoficjalne” (15 % i 14 %), biuletyny partyjne (7 % i 2 %). Duże są różnice między miastami: z TV w Koźuchowie korzysta 83 %, w Warszawie 46 % (zaufanie odpowiednio 36 % i 26 %), z prasy niezależnej – w Koźuchowie 7 %, w Warszawie 25 % (zaufanie: 2 % i 24 %)

JAK URATOWAĆ KRAJ

Za najważniejsze w obecnej sytuacji uznano: *dbałość o zachowanie narodowej tradycji wśród rodziny i przyjaciół* (90 %), domaganie się respektowania praw w ramach samorządów, sejmu, rad

narodowych (79 %), rzetelną pracę bez prób wpływania na sytuację polityczną (76 %), dbałość jedynie o dobrobyt swój i rodziny (55 %). Rządziej popierano zaangażowanie: skupienie wokół Kościoła (35 %), popieranie opozycji (27 %), przyjęcie programu partii (27 %). Wśród sposobów działania robotnicy wybierali raczej formy legalne: wystąpienie na zebraniu samorządu (72 %), skargę do dyrekcji (70 %), zbiorowy list do władz (67 %); ich skuteczność oceniła wysoko 1/3 badanych. Na czwartym miejscu znalazł się strajk – przyłączyłoby się do niego 52 %, a za skuteczny uznało go 21 % (z innych odpowiedzi wynika, że wskutek obaw liczby te mogą być zaniżone). Z kolei interwencje w partii i nowych związkach zawodowych oraz list do prasy oficjalnej poparłoby 36 %, 31 %, i 45 % (skuteczność 15 %, 11 % i 6 %). Wreszcie odejście z zakładu wybrałoby 26 %, opieszałą pracę 21 %, uchylanie się od poleceń 19 %. Bierny opór został jednak oceniony jako nieskuteczny (1 – 4 %).

Warto odnotować różnice terytorialne: w Koźuchowie przeważała pozycja petenta wobec dyrekcji i władz, Szczecin i Warszawa silniej podkreślały oddziaływanie przez samorząd. Wiązało się to z pozytywną oceną samorządów w tych zakładach (56 % robotników z Huty uważa, że zapew-



niąją one udział społeczeństwa w zarządzaniu krajem).

PARTYJNI, KIEROWNICY I NIWYKVALIFIKOWANI

Wśród badanych robotników wielkich zakładów wyraźnie wyodrębniła się grupa zwolenników władzy – członków PZPR i byłych branżowców. W odróżnieniu od większości opowiadali się oni za ustrojem jednopartyjnym, widzieli bardziej optymistycznie przyszłość swoją i kraju (urzędowy optymizm czy rzutowanie własnego uprzywilejowania?). Za kryzys obwiniali raczej społeczeństwo i „wrogów systemu”, a za konflikty w zakładzie – załogę. Oczywiście częściej korzystali z telewizji i rzadziej ze źródeł niezależnych. Mieli większe zaufanie do Jaruzelskiego, a mniejsze do przywódców „Solidarności”, natomiast nie było różnic wobec przedstawicieli Kościoła.

Kadra kierownicza przypominała partyjnych, choć wyraźnie zaznaczały się interesy menadżerskie, np. aż 80 % inżynierów popierało zwalnianie z pracy (robotników – 20 %). Jednocześnie kadra bardzo nisko oceniła swoje możliwości wpływu na sprawy zakładu oraz katastrofalnie nisko własne zadowolenie (-96 %).

Wśród robotników zróżnicowania związane były z wiekiem i wykształceniem. Starsi i niewykwalifikowani wyrażali mniej radykalnie opinię, częściej oglądali telewizję, widzieli większy wpływ wrogów systemu i klęsk żywiołowych na kryzys, deklarowali większe zaufanie do władz, popierali raczej Kościół i partię niż opozycję (40-50 lat) albo wręcz tylko partię (ponad 50 lat).

Najbardziej solidarnościowe przekonania mieli robotnicy w wieku 30-40 lat oraz – w nieco mniejszym stopniu – 20-30 lat, o wykształceniu średnim i zawodowym. Silniej odrzucali oni realny socjalizm i jego uzasadnienia ideologiczne, domagali się zmian politycznych obok gospodarczo-



organizacyjnych, wyraźniej widzieli systemowe uwarunkowania kryzysu, silniej popierali opozycję. Grupa 30-latków jako jedyna uznała za lepsze dla kraju działanie opozycji niż Kościoła i partii.

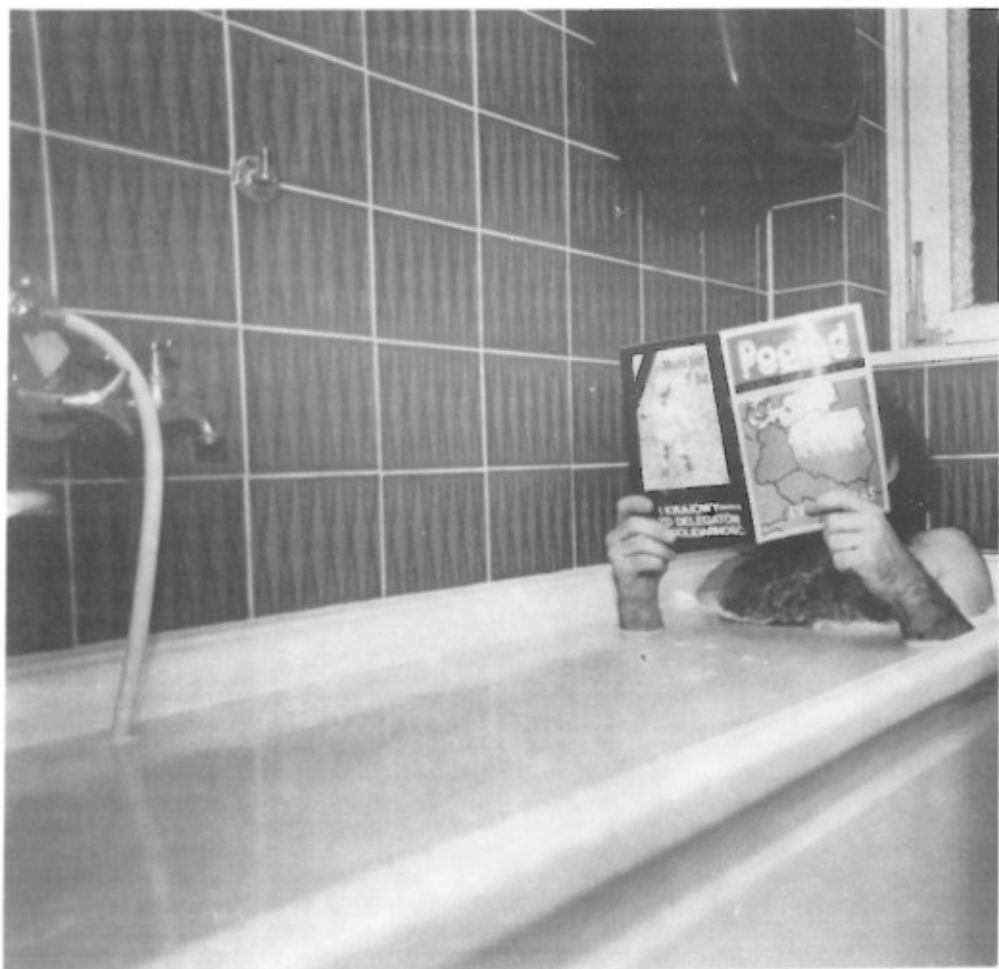
Różnice między ośrodkami potwierdziły stereotyp „gospodarskiego” Poznania, upolitycznionej Huty Warszawa i apolitycznej prowincji, cierpiącej niesprawiedliwość, ale trzymającej się „legalnych” działań.

* * *

Ludzie popierający władzę stanowią około 25 % pracowników wielkich zakładów, reszta nie

akceptuje systemu wprowadzonego 13 grudnia – konkludują autorzy badań. Stopień tej akceptacji wzrasta jednak, gdy przechodzimy z poziomu ogólnych ideałów na oceny konkretnych instytucji, a także osób sprawujących władzę. Odwrotnie rzecz ma się z poparciem dla „Solidarności”: wysokie na poziomie wartości i symboli, jest znacznie niższe wobec podziemnej „Solidarności”. Poparcie dla niej deklaruje 20-25 % robotników, ale uczestniczy w jej działaniach znacznie mniej (np. dostęp do prasy niezależnej ma tylko 15 %). Dominuje rezygnacja i wycofanie w prywatność, połączone z poczuciem bezsilności i pesymizmu.

Za: *Tygodnik Mazowski*, nr 157, 6. 02. 1986



Szkolnictwo wyższe przed i po nowelizacji ustawy

Uchwalona w dniu 4 maja 1982 roku ustawa o szkolnictwie wyższym była jednym z ostatnich akcentów przemian zapoczątkowanych w latach 1980-81, a przerwanym wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Choć bezpośrednio po 13 grudnia środowiska akademickie utraciły nadzieję na to, że ustawa w ogóle zostanie uchwalona, to jednak okazało się, że jeszcze w tym momencie władze nie były zdecydowane na ostrą walkę ze środowiskami akademickimi i wołały ją odłożyć w czasie. Liczono się oczywiście także z tym, że uchwalenie ustawy nieznacznie tylko zmienionej w stosunku do wersji społecznej przygotowanej przez tzw. „Komisję Rosicha”, zjedna środowiska akademickie do współpracy z władzą w nowych warunkach. Nie ulega wątpliwości, że przyjęte w ustawie rozwiązania były nowoczesne, przyznawały szkołom wyższemu bardzo szeroką, jak na warunki ustroju, autonomię i nie miały odpowiedników w żadnym z krajów obozu socjalistycznego. Podstawowym założeniem ustawy było podporządkowanie organów jednoosobowych szkół organom kolegialnemu, a więc rektora senatowi, dziekana — radzie wydziału, ograniczenie władzy ministra na rzecz Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz stworzenie autentycznego samorządu studenckiego i wreszcie znaczne niezależnienie pracowników przy dokonywanych ocenach wyników pracy: zatrudnianiu i zwalnianiu, od czynników politycznych. Wprowadzono także wybory, w drodze których obsadzano wszystkie stanowiska w szkole, przeprowadzane w myśl rzeczywistości postępowej ordynacji wyborczej. Szkoły wyższe miały ponadto prawo uchwalić swój własny statut, który rozstrzygał wiele kwestii szczegółowych przy uwzględnianiu specyfiki szkoły.

Nowe przepisy eliminowały w znacznym stopniu dotychczasowe układy, w ramach których mianowane przez ministra praktycznie bezterminowo władze (np. minister Miśkiewicz, członek Biura Politycznego KC PZPR Porębski piastowali funkcje rektorskie po 9 lat i odeszli dopiero po wydarzeniach sierpniowych) traktowały społeczność szkół wyższych jako adresatów poleceń, nie zaś grupę współdecydującą faktycznie o życiu szkoły wyższej. Podział na rządzących i rządzonych był zresztą prostym odbiciem układu ogólnospołecznego. Nie musi się oczywiście dodawać, że taki stan rzeczy sprzyjał tworzeniu w szkołach

wyższych klik i układów faworyzujących członków PZPR i innych lojalnych wobec władzy, zaś odmawiających sprawiedliwego traktowania przede wszystkim „niepokornych”. Tak więc należy dać wiarę tym, którzy twierdzili, że jeszcze w przeddzień uchwalenia ustawy z 4 maja 1982 r. toczyły się w Biurze Politycznym PZPR ostre walki frakcyjne o to, czy ustawę w ogóle należy w zaproponowanej wersji uchwaląć. Ostateczne jej uchwalenie stanowiło spory sukces skrzydła liberalnego w partii, do którego zaliczano Kubiaka i Rakowskiego, ludzi dzisiaj tracących wyraźnie swe wpływy. Mimo że ustawa o szkolnictwie wyższym z 4 maja 1982 r. weszła w życie formalnie od 1 września tego roku, to jednak nie było praktycznie takiego momentu, by obowiązywała ona w swym pełnym kształcie. Oprócz samego aktu ustawy, do pełnego wprowadzenia w życie niezbędne było wydanie przepisów wykonawczych i wreszcie uchwalenie statutów szkół. Zresztą i ustawa od razu wskoczyła w ograniczenia wynikające z przepisów stanu wojennego. Na przestrzeni tych paru lat okazało się w dodatku, że ustawodawstwo stanu wojennego i tak było w stosunku do szkolnictwa wyższego najłagodniejsze, jeśli obserwować to, co następowało później. Nie tylko wszystkie ograniczenia — niby przejściowe — wpisano do nowelizacji z 25 lipca 1985, ale je znacznie rozbudowano. Już 30 sierpnia 1982 roku Rada Ministrów wydała uchwałę nr 189 (Monitor Polski Nr 21 z 1982 r.) w sprawie zapewnienia ładu i porządku społecznego w szkołach wyższych. W § 2 stwierdzono tam, iż „w razie wszczęcia przeciwko studentowi szkoły wyższej, naruszającemu ślubowanie studenckie, postępowania karne lub postępowania w sprawach o wykroczenia za przekroczenie przepisów o stanie wojennym, rektor szkoły wyższej może zawiesić studenta w prawach studenckich na okres toczącego się postępowania”. Już następny przepis zobowiązywał rektora szkoły wyższej do usunięcia z uczelni studenta, skazanego prawomocnym orzeczeniem sądu lub kolegium d/s wykroczeń za przekroczenie przepisów o stanie wojennym. Usuniętemu studentowi przysługiwało jedynie prawo odwołania się od takiej decyzji do ministra nadzorującego szkołę wyższą, co skazywało go z góry na przegraną w walce o swoje prawo. Na szczęście rektorzy — którymi byli w znacznej części jeszcze wybrani w 1981 r. — nie stosowali się zbyt gorliwie do tego

przepisu, najczęściej kierując sprawy do komisji dyscyplinarnych szkół.

Kolejne obostrzenia wprowadzono ustawą z 18 grudnia 1982 r. o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego (Dz. U. Nr 41 z 1982 r.), a także wydanym na jej podstawie rozporządzeniem ministra nauki szkolnictwa wyższego i techniki z 14 stycznia 1983 r. (Dz. U. Nr 2 z 1983 r.) w sprawie szczegółowych zasad i trybu postępowania wobec pracowników szkół wyższych i studentów zakłócających ład i porządek w okresie zawieszenia stanu wojennego. W obu aktach prawnych uznano uczestniczenie w strajku, akcji protestacyjnej lub zgromadzeniu, przeprowadzonych wbrew postanowieniom obowiązujących przepisów prawa oraz działania zakłócające ład i porządek na terenie szkoły wyższej za ciężkie naruszenie obowiązków pracownika i studenta, które uzasadnia rozwiązanie z pracownikiem stosunku pracy w trybie natychmiastowym, w wypadku studenta zaś skreślenie go z listy studentów. Usunięcia ze szkoły wyższej i tu mieli możliwość odwołania się od decyzji do ministra nadzorującego szkołę, z wiadomym zresztą skutkiem. Zniesienie stanu wojennego związane było z dalszym udoskonaleniem przepisów ograniczających prawa środowisk akademickich. Oczywiście takie postępowanie władz było już wyraźnym symptomem odwetu za „front odmowy” środowisk akademickich. Ustawa o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego oraz o zmianie niektórych ustaw z 21 lipca 1983 r. (Dz. U. Nr 39 z 1983 r.) dawała ministrowi sprawującemu nadzór nad szkołą wyższą prawo do zmiany charakteru zatrudnienia pracownika szkoły. Profesorowie i docenci, normalnie mianowani na czas nieokreślony, mogli stać się zatrudnionymi tylko na określony przeciąg czasu, zaś pozostali — normalnie zatrudnieni w zależności od stanowiska na okres kilku lat — mogli stać się z woli ministra zatrudnionymi na podstawie umowy o pracę, a więc osobami, z którymi w każdej chwili można rozwiązać stosunek pracy. Oczekiwane przez władze efektu zastraszania nie udało się jednak osiągnąć i to mimo przywiązania środowisk akademickich do poczucia pewności zatrudnienia, które jest przecież niezbędne przy prowadzeniu jakiegś wymagającej nakładu czasu i wysiłku pracy naukowej. Ustawa przyznawała również Prezesowi Rady Ministrów prawo uchylania uchwał Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz innych rad resortowych. Minister nadzorujący szkołę uzyskał też prawo odwoływania rektora, prorektorów, dziekanów wydziałów i prodziekanów, mianowania na te stanowiska, a także zawieszania na okres 6 miesięcy uprawnień organów kolegialnych szkół i innych ciał kole-

gialnych (senat, rady wydziałów, komisje). To ostatnie uprawnienie wiązało się z tym, że organy kolegialne szkoły bardzo często zabierały głos w sprawach publicznych dotyczących szkolnictwa wyższego, zaś były to, stanowiska zdecydowanie krytyczne w stosunku do postępowania władz państwowych. Ponownie dano możliwość wyrzucenia ze studiów studentów przez rektora lub ministra, wprowadzono uprawnienie do zawieszania w pełnieniu obowiązków nauczycieli akademickich, a także zakazano tworzenia nowych organizacji i stowarzyszeń studenckich, poza już istniejącymi. Przepisy tej ustawy miały w założeniu obowiązywać tylko do 31 grudnia 1985 r. Niezależnie od tego dokonano w ustawie o szkolnictwie wyższym z 4 maja 1982 r. pierwszych istotniejszych stałych zmian. Przede wszystkim wprowadzono na stałe w skład rad wydziałowych — i to z głosem stanowiącym — przedstawicieli partii politycznych, a ponadto rozbudowano w ustawie przepis mówiący o możliwościach natychmiastowego rozwiązania stosunku pracy (np. w przypadku niewłaściwego „oddziaływania wychowawczego”).

Rok 1984 przyniósł pierwsze dokonane na podstawie ustawy z 4 maja 1982 r. wybory władz akademickich. Poprzedziła je ostra kampania partyjna na rzecz partyjnych kandydatów oraz godna postawa zdecydowanej większości środowisk, które nie poddawały się presji, wybierając osoby cieszące się rzeczywistym zaufaniem, wybitnym dorobkiem naukowym i niezależnością poglądów. Oczywiście tak było w dużych, liczących się uczelniach, tych tworzących markę szkolnictwa wyższego. Połowa partyjnych rektorów, którą wybrano, rekrutowała się ze szkół prowincjonalnych lub też nowo powstałych, bądź od dawna słabych, gdzie zawsze powiązania z władzą są żywsze, a pożądanie zaszczytów i awansów naukowych — przy miernym dorobku — większe. Mimo oczywistego niezadowolienia z wyborów władze zdecydowały się zgłosić sprzeciw tylko do wyborów w czterech uczelniach (Uniwersytet w Poznaniu, Uniwersytet we Wrocławiu, Uniwersytet Warszawski i Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych we Wrocławiu). Nie dopuszczono tam do objęcia przez wybranych rektorów stanowisk, w Uniwersytecie Warszawskim blokując w dodatku możliwość przeprowadzenia wyborów przez następne pół roku. Wynik wyborów — jak się dzisiaj wydaje — przesądził decyzję władz politycznych o dokonaniu poważniejszych zmian w ustawie o szkolnictwie wyższym uświadamiając im brak szerszych możliwości skolonizowania środowisk akademickich. Już w okresie wakacji, jak doniosła prasa na przełomie lipca i sierpnia, sejmowa komisja nauki i oświaty dokonała krytycznej oceny sytuacji

w szkołach wyższych. Wskazano na pozorne argumenty, mające przekonać zarówno członków komisji sejmowej jak i ogół społeczeństwa, że w szkołach wyższych dzieje się źle, a winę za to ponosi wadliwie ukształtowana, nadmierna samorządność uczelni. Takim szczególnie demagogicznym chwytym było określenie liczby doktoratów i habilitacji, która miała spadać tylko z tego powodu, że nauczyciele akademicki zajęci byli politykowaniem. Tymczasem każdy nawet średnio zorientowany w sytuacji szkół wyższych wie, że mamy do czynienia z procesem ich głębokiego niedoinwestowania, że brak jest podstawowej aparatury, że jest ona przestarzała, że komputery, którymi posługują się uczeni, mają na ogół wartość muzealną, brakuje odczynników, kserografów, ba, nawet papieru do pisania. Nie warto wręcz wspominać o braku niezbędnej fachowej literatury zagranicznej, czy też o tym, że na opublikowanie pracy naukowej złożonej do druku czekać trzeba po 2 do 3 lat.

Tuż po wakacjach 1984 roku pojawił się w szkołach wyższych tajemniczy projekt nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, który już zawierał konkretne drastyczne rozwiązania, likwidujące praktycznie samorządność szkół wyższych. Zapytany publicznie o pochodzenie projektu minister Miśkiewicz zaprzeczył, że projekt został przygotowany w ministerstwie, określając jego rozpowszechnienie jako prowokację. Było to oczywiście nieprawdą, gdyż ogłoszone wkrótce przez ministerstwo tezy do dyskusji nad zmianami w ustawie, dokładnie odpowiadały szczegółowym rozwiązaniom przewidzianym w „tajnym” projekcie. Z początkiem roku 1985 najpierw dziennik *Rzeczpospolita*, a za nim inne regionalne ukazały kierunki i rozmiary planowanej nowelizacji. Widać w niej było wyraźną tendencję do: podporządkowania – i to w sposób bezwzględny – szkół wyższych ministrowi i organizacjom partyjnym, uzyskania przez ministra decydującego wpływu na obsadzenie stanowisk rektorów, pozbawienia senatów i rad wydziałów większości ich uprawnień, zniesienia stabilizacji zatrudnienia w szkołach oraz zlikwidowania samorządu studenckiego i wzmocnienia przez to pozycji cherlawych organizacji studenckich, tzw. „socjalistycznych”. W komunikacie z obrad Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów, który obradował pod przewodnictwem Rakowskiego znalazło się wezwanie do ogólnospołecznej dyskusji nad tezami. Dyskusja, którą rzeczywiście wkrótce rozpoczęto, biegła wieloma torami. Przede wszystkim z niezwykłym zapałem przeprowadzono dyskusję w środowiskach akademickich. Ton tej dyskusji był zresztą jednoznaczny. Zgodnie twierdzono, że nie można krytykować i potępiać czegoś, co jeszcze nie miało możli-

wości sprawdzić się w działaniu w pełni. Odrzucono zarzuty władz co do środowisk akademickich jako nedoręczne, żądając przy tym odłożenia nowelizacji w czasie do zakończenia kadencji obecnych władz akademickich, tj. do roku 1987. Władze partyjne chcąc jednak zniwelować tę jedynomyślną stanowisk nakazały równocześnie przeprowadzenie akcji indoktrynacyjnej w zakładach pracy wśród „niby-robotników” i zebranie ich opinii na temat sytuacji w szkolnictwie wyższym, a także zajmowanie stanowisk przez komitety partyjne różnych szczebli oraz związki zawodowe i organizacje młodzieżowe. Specjalnie wyselekcjonowani partyjni profesorowie i docenci jeździli do dużych zakładów pracy, w kilkanaście minut przedstawiali jednoznacznie czarno sytuację w szkolnictwie wyższym i zarządzali głosowanie wśród partyjnych aktywistów. Wszyscy oczywiście byli za zmianami ustawy o szkolnictwie wyższym. Podobne stanowiska zajęły komitety wojewódzkie partii w dużych ośrodkach akademickich, komitety uczelniane partii, organizacje studenckie i związki zawodowe. Wypowiadając się zgodnie z życzeniem władz liczone na administracyjne wzmocnienie pozycji partii i innych organizacji w strukturze szkół wyższych, gdyż oczywiście o poprawie tej pozycji drogą naturalnego wzrostu autorytetu mowy być nie mogło. Charakterystyczne przy tym jest, że w wielu szkołach wyższych doszło do pewnego rozdźwięku między partiami politycznymi w tej sprawie i do niezgodnienia wspólnego stanowiska, gdy na ogół komitety Stronnictwa Demokratycznego podejmowały uchwały sprzeciwiające się nowelizacji. Wprawiony w ruch kołatorów nabierał jednak tempa i jasne stało się, że decyzji o nowelizacji odwrócić się nie da. Czynnikiem przyspieszającym było w dodatku bliskie zakończenie kadencji Sejmu, który miał dokonać zmian, by nienawiścią środowisk nie obciążyć nowego, jak też zbliżające się wakacje akademickie, będące szczególnie dogodnym okresem dla omawianej „operacji”. Ogłoszony w czerwcu rządowy projekt nowelizacji został niezwłocznie skierowany do Sejmu, a tam trafił do połączonych komisji sejmowych Nauki i Oświaty oraz Prac Ustawodawczych, którym współprzewodniczyli prof. Witold Zakrzewski (UJ) i Jerema Maciszewski (UW). Prace przebiegały na tyle szybko, że już 25 lipca 1985 roku mimo zdecydowanego sprzeciwu postów Osmańczyka i Zabłockiego, przy taktycznej nieobecności wielu mniej odważnych postów, Sejm uchwalił cały pakiet ustaw dotyczących zmian w szkolnictwie wyższym. Podstawową była nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym, a oprócz niej znowelizowano ustawę o stopniach i tytułach naukowych i wydano nową ustawę o uprawnieniach Ministerstwa Nauki

i Szkolnictwa Wyższego (Dz. U. Nr 36 z 1985 r). Ta ostatnia ustawa przyznawała ministrom nadzorującym szkoły wyższe uprawnienia, jakich jeszcze w powojennej historii Polski Ludowej nie mieli. Od tej pory przysługuje im prawo uchylenia lub wstrzymania uchwały lub decyzji organu szkoły, odwołania z funkcji rektora, prorektora, dziekana, prodziekana, dyrektora instytutu, kierownika katedry i zakładu oraz każdego członka senatu, rady wydziału lub innego ciała kolegialnego działającego w szkole, a więc także dowolnej komisji powołanej przez rektora czy dziekana. Ponadto minister może odebrać każdemu organowi kolegialnemu jego uprawnienia, bądź też rozwiązać taki organ. Może również zawiesić zajęcia dydaktyczne w szkole lub działalność jednostki organizacyjnej szkoły, bądź też rozwiązać taką jednostkę. Może wreszcie zawiesić stosowanie określonych przepisów statutu szkoły i to mimo tego, że wcześniej przepisy te zostały przez niego zatwierdzone. Ministrowi przysługuje również prawo kontrolowania działalności szkoły, żądania wyjaśnień od dowolnych organów i ciał kolegialnych szkoły i wydawania wiążących poleceń.

Praktyczną likwidację samorządności oznaczają zmiany w ustawie o szkolnictwie wyższym. Zmieniono zupełnie zasady wyboru władz akademickich. O ile do tej pory rektor i prorektorzy byli wybierani przez kolegium elektorów lub przez senat i po wyborze przedstawiani ministrowi do zatwierdzenia, to od tej pory minister już na etapie zgłaszania kandydatów może wyeliminować niewygodne dla siebie osoby, gdyż kandydaci muszą zostać z nim uzgodnieni, a do dokonania ostatecznego wyboru uprawniony jest wyłącznie senat. Senat działa jednak po nowelizacji w zmienionym składzie, przy zmniejszonej liczbie pomocniczych pracowników nauki i studentów, zaś rozbudowanej liczbie przedstawicieli socjalistycznych organizacji młodzieżowych. Zmienione zasady obowiązują przy wyborze dziekana, którego kandydatura także musi być uzgodniona z ministrem. Z kolei w składzie rady wydziału zmniejszono liczbę studentów i pomocniczych pracowników, wprowadzając w jej skład przedstawiciela studium wojskowego i rozbudowując udział socjalistycznych związków studenckich. Senat i rada wydziału utraciły większość swych uprawnień decyzyjnych, stając się ponownie — jak po nowelizacji z 1968 r. — organami przede wszystkim opiniodawczymi i doradczymi. Wprowadzono przymusowo w szkole tak zwane kolegium rektorskie, zdominowane przez organizacje partyjne, którego faktycznym zadaniem jest kontrolowanie posunięć rektora. W dodatku wymyślono przepis, który nakazuje rektorowi uzgadnianie decyzji w sprawach studenckich z partią, stronnictwami poli-

tycznymi i socjalistycznymi związkami młodzieży, zaś w sprawach dotyczących polityki kadrowej w szkole — z partią i stronnictwami politycznymi. Zatrudnienie w szkole uzależniono od złożenia ślubowania oraz przedstawienia wystawionego przez partię „świadectwa moralności politycznej”, w którym znalazłoby się stwierdzenie, że kandydat „w pełni akceptuje konstytucyjne zasady ustrojowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i kieruje się nimi w swojej działalności”. Odebrano uprawnienia samorządom studenckim i rozwiązano dotychczasowe, nowym nakazując współdziałanie ze związkami młodzieżowymi. Zmieniono charakter zatrudnienia nauczycieli akademickich, którzy mogą od momentu nowelizacji być zwalniani na ogólnych zasadach za trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Zniesiono możliwość zatrudnienia na czas nieokreślony adiunktów, a także odebrano dotychczasowe uprawnienia osobom posiadającym habilitację, które jednak nie zostały przez ministra powołane na stanowisko docenta. Minister uzyskał uprawnienia do przenoszenia nauczycieli akademickich bez ich zgody na okres do dwóch lat do innego ośrodka akademickiego. Wprowadzono faktyczny zakaz tworzenia nowych organizacji studenckich, obostrzono regulamin studiów. Zniesiono możliwość odwoływania się pracowników od decyzji zwalniających ich z pracy do sądów pracy. Zabawną wręcz zmianą jest odebranie większości uprawnień Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, przy „podniesieniu” jej rangi przez to, że członków będzie powoływał Prezes Rady Ministrów. W ustawie o stopniach naukowych wprowadzono wymóg, by kandydat do doktoratu czy habilitacji „wykazywał nienaganną postawę obywatelską”. Przepisy końcowe nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym dały również prawo ministrom do odwołania w okresie do 30 listopada 1985 r. rektorów, prorektorów lub dziekanów już pełniących funkcję. W ostatnich dniach listopada takie odwołania nastąpiły. Odwołano rektorów uniwersytetów w Gdańsku i Poznaniu, rektorów Politechniki Poznańskiej i Warszawskiej, AWF w Poznaniu i AR w Krakowie. Oprócz tego odwołano ok. 70 osób na niższych stanowiskach, mianując na opuszczone stanowiska partyjnych.

Powstaje oczywiście pytanie, jaki będzie dalszy rozwój sytuacji w szkolnictwie wyższym. Wydaje się, że środowiska te nie czeka nic dobrego. Już w samym Biurze Politycznym nastąpiło przesunięcie odpowiedzialności za sprawę nauki i przejął je „człowiek twardej ręki”, wieloletni rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Porębski. Przepuszczalnie z wiosną przyszłego roku — nie jest tylko wyjaśnione po czy przed wiecznie przekładanym II Kongresem Nauki Polskiej — nastąpi weryfikacja kadr akademickich. Zgodnie z brzmie-

niem ustawy tylko jednym z elementów oceny jest działalność naukowa. Elementem podstawowym jest ocena postawy etycznej i obywatelskiej, a także działalności organizacyjnej. W dodatku w komisjach oceniających należy się spodziewać dominującej roli czynnika politycznego. Mówi się już dzisiaj o listach osób przewidzianych do zwolnienia, a sporządzonych przez komitety uczelniane partii. Władze zdecydowały się na ostateczną rozprawę ze środowiskami akademickimi, choć rozłożoną w czasie. Jest to polityka małych, ale zdecydowanych „kroczków”. Nasuwa się analogia do rozprawy ze szkołami wyższymi w Czechosłowacji. Sądzić jednak należy, że w warunkach polskich nie ma szans na czechosłowackie „wyrzucanie na

bruk”, choć wyraźne jest dążenie do rozbicia i skłócenia, a także przestraszenia środowisk szkół wyższych. Mimo wszystkich działań władz uznać należy, że ostatecznego celu nie uda im się osiągnąć. Chodzi oczywiście o pełną dyspozycyjność i podporządkowanie środowisk akademickich, zmuszenie do wstępowania do PRON i związków zawodowych, zatracanie niezależności poglądów. Na wyprowadzenie takiego wniosku pozwalają doświadczenia historyczne. Skoro nie udało się to ani w czasach stalinowskich, ani po 1968 r., to dlaczego miałyby się udać teraz?.

(Za: *Paragraf*. Pismo Małopolskiego Komitetu Walki o Praworządność. Nr 1, 5 stycznia 1986) ■



Nie samym teatrem

„Po rozpatrzeniu wielu kandydatur, zgłoszonych przez środowiska twórcze i uczestników kultury, Komitet Kultury Niezależnej przyznał w styczniu 1986 Nagrody Kulturalne „Solidarności” za rok 1985. Nagrody są honorowe.”

Wśród nagrodzonych znalazł się zespół „Nie samym teatrem” – NST – z Wrocławia, wyróżniony za spektakl *Epitafium św. Kazimierzowi*. Poniżej drukujemy artykuł przysłany z kraju, poświęcony działalności NST.

NST czyli „Nie samym teatrem” – ta nazwa przylgnęła do teatru, chociaż sami jego twórcy wcale się do niej nie przyznają.

Aby powiedzieć coś więcej i o powstaniu, i o działalności tej grupy, trzeba najpierw uzmysłowić sobie, jak jawią się aktualnie w Polsce perspektywy kultury niezależnej.

Sytuacja dzisiejszej Polski jest związana z czymś, co można by nazwać wiarą w lepszą przyszłość. Bez tej wiary, bez wiary w pracę, w szanse niezależnego społeczeństwa w zasadzie nie można by już dziś funkcjonować. Żywe dawniej nadzieje rozwiały się i nikt rozsądnie myślący na porozumienie z władzą już nie liczy. Jesteśmy więc obecnie na etapie swego rodzaju walki, walki, która może zmusić władzę do ustąpienia w tym czy innym punkcie. Bo na to, że władza sama gdziekolwiek ustąpi, też już nikt nie liczy. Ustępstwa w kierunku liberalizacji zdarzają się tylko po swoistych „rewolucjach” wewnątrzsystemowych. Z punktu widzenia społeczeństwa są to zawsze rewolucje nieudane, ich efektem jest tylko zmiana ekipy trójpanów, ale okres przejściowy daje zawsze społeczeństwu pewien liberalny oddech.

W klasycznej sytuacji trójpanowania jedyne, co robić może społeczeństwo, to odzyskiwać utracone miejsca, walczyć o pozycje gwarantujące pewną chociażby swobodę twórczą. Uświadamiać ludziom ich prawa i, nawet przy takim ograniczeniu, ukazywać im możliwą sferę wolności. I ten właśnie cel decyduje też o pracy zespołu NST.

Jakie były początki NST? Nie zaczęło się ani od określonych wyraźnych celów, ani od konkretnego programu. Podobnie jak to miało miejsce w całym przecież społeczeństwie, początkiem był nieuświadomiony odruch, irracjonalna wręcz reakcja na to, co się stało 13 grudnia. Ludzie, którzy dziś pracują w zespole, nigdy przedtem nie zajmowali się żadną działalnością polityczną, przeciwnie – cechowali się intelektualnym eskapizmem. W tej chwili zaś ich aktywność społeczna jest zadziwiająca. Ich włączenie się w nurt, który umownie można by nazwać „nurtem odnowy” jest zjawiskiem bardzo pocieszającym. To, co robią, jest próbą walki o niezależność. I nieistotne jest, czy tę faktyczną niezależność uda im się uzyskać czy też może nie, liczy się dziś bowiem przede wszyst-

kim sam fakt dążenia, usiłowania i dokonywania prób. I to jest ta podstawowa wartość.

Wbrew pozorom zasady te nie są bynajmniej idealizmem, są praktyczne i pragmatyczne. Działanie jest wynikiem konkretnej oceny konkretnych sytuacji i możliwości, a opiera się w dużej mierze na szukaniu takich luk w przepisach prawnych i zarządzeniach, które pozwalają na dokonywanie czegoś bez zagrożenia np. oskarżeniem o działalność nielegalną. Taką luką – w przypadku teatru – jest możliwość występowania w domach prywatnych i kościołach. Ustawa o cenzurze, w swym obecnym kształcie, nie zabrania tego typu działalności.

Jednakże musimy sobie uświadomić, że Kościół ma nie tylko wynikające z ustawy prerogatywy, ale też coraz niechętniej spogląda na niezależną działalność, gdyż zagraża ona jego interesom. I hierarchia kościelna daje bardzo wyraźnie odczuć wszystkim twórcom, że są oni elementem niepożądanym, zagrażającym podstawom bytu instytucji Kościoła. Oczywiście nie oznacza to, że Kościół odciął się całkowicie od niezależnych aspiracji społeczeństwa. Jest wiele imprez kościelnych, które obrosły już w tradycję, które trwają i będą trwać nadal. Należą tu m. in. Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, zaakceptowane już formy aktywności, „rozsadzone” obecnie przez napór nowych pomysłów. Jest to jedna z tych „szczelin” – przestrzeni względnej wolności – które istnieją w dzisiejszej rzeczywistości. Kultura niezależna próbuje i tę przestrzeń zaanektować. Tyle tylko, że naszym hasłem nie jest przecież „tydzień kultury”, a – „rok kultury”. I to rok po roku. Rzeczywiście „Tygodnie” rozwijają się wspaniale. Są miasta, które wręcz szokują swoją aktywnością, a do niedawna uważane były za martwe. Bydgoszcz np. wydawała się głęboką prowincją, a tymczasem „Tydzień Kultury Chrześcijańskiej” ogarnął tam kilkadziesiąt kościołów. To tylko jeden przykład nowego funkcjonowania kultury – w kościele i niejako przy kościele, ale niezależnie, bo nie poprzez inicjatywę formalną, lecz poprzez inicjatywę wiernych, ludzi skądinąd nie zaangażowanych również politycznie. I o tym właśnie trzeba pamiętać, omawiając cele i działalność

takich inicjatyw społecznych jak NST. Łączy się ona jednak i z pewną specyfiką, charakterystyczną już nie dla całego kraju, lecz dla grupy zawodowej aktorów.

Działalność środowiska aktorskiego – poprzez bojkot oficjalnych środków przekazu – była niewątpliwie najbardziej spektakularnym elementem życia kulturalnego Polski po wprowadzeniu stanu wojennego. Nieobecność aktorów była znakiem dla wszystkich bardzo czytelnym. Jednocześnie musimy jednak pamiętać, że po – może – środowisku dziennikarskim, ludzie teatru są następną grupą niezwykle podatną na zniewolenie. Podatną na przekupienie. I mimo to środowisko teatralne dość długo trwało w oporze. Wpłynął na to na pewno również „sukces” aktorskiego bojkotu – powszechne uznanie pozwalało na utrwalanie postaw i konsolidację wewnątrzgrupową. Bojkot zapewniał etyczny splendor, aktorzy poczuli się nobilitowani. Była to zupełnie nowa jakość psychiczna, ten luksus etyczny, niemal nie znany przedtem, bo aktorzy byli nieludźko wręcz wykorzystywani do najróżniejszych manipulacji.

Usiłowano ich – najczęściej skutecznie – zeszmacić i sponiewierać. Nie uniknęli tego nawet ci najwięksi. Wynikało to z bardzo prostej zasady – aktor, by grać, potrzebował sceny, budynku teatralnego, kulis, scenografii, no i przede wszystkim widowni. Zakaz występowania był śmiercią cywilną, aktor bowiem nie może funkcjonować bez teatru. Takie przynajmniej było przekonanie. Tymczasem okres bojkotu ujawnił, że przekonanie to wcale nie było w stu procentach prawdziwe. Oczywiście u większości zaczęło dominować przekonanie, że powołaniem aktora jest grać, w związku z tym poczuli oni z wolna wracać do teatru, obejmując bojkotem tylko sferę pozateatralną, przede wszystkim zaś telewizję, w mniejszym nieco stopniu – film. Jednocześnie jednak pozostała pewna grupa ludzi, dla której związek aktora z budynkiem teatru przestał być oczywisty i konieczny. Zaczęli oni szukać innych miejsc pracy i znaleźli dwa – jak już wspominałem – nie do końca zagrożone możliwością ingerencji Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – mieszkania prywatne oraz kościoły. Zjawisko to było bardzo silne w dużych ośrodkach teatralnych – Gdańsku, Warszawie, Lublinie, Krakowie, Warszawie czy Wrocławiu.

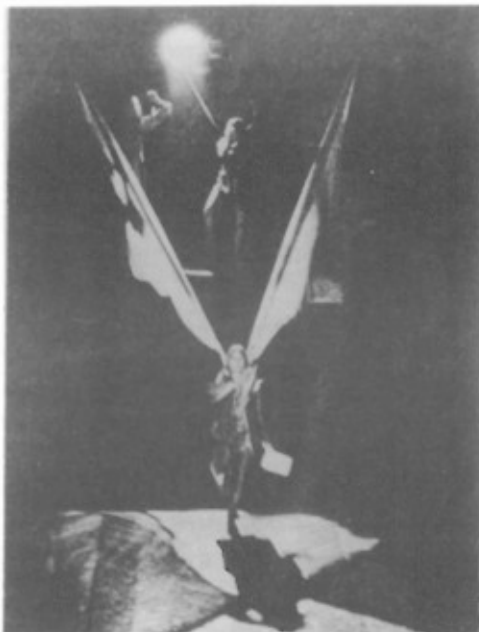
Początkowo ruch teatru ku Kościołowi budził duże nadzieje – było wielu chętnych do takiej współpracy, nawet znane grupy teatralne, jak np. poznański „Teatr Ósmego Dnia”, przeniosły się do kościołów, niestety cała akcja kulała organizacyjnie. Kościół okazał się instytucją całkowicie nie przygotowaną do mecenatu. Obserwaliśmy wręcz wyraźną niechęć do naszych ini-

cyjatyw, zwłaszcza ze strony hierarchii. Ostatnio przekroczyła ona wszelkie granice przyzwoitości. Bardzo ciężko i przykro o tym mówić czy pisać. Z jednej strony dlatego, że oczywiście Kościół ma jednak ogromne zasługi w popieraniu kultury niezależnej, nawet jeżeli udzielał tego poparcia czasem wbrew swej woli i niechętnie. Z drugiej zaś strony jakakolwiek krytyka tej instytucji może być zawsze poczytana za obrazę narodowych świętości. Może przysporzyć autorowi przykrości bądź obdarzyć go etykietką ubeckiego konfidenta. Tak nie jest. Nie zamierzam swym tekstem niczego szargać ani poniewierać, obiektywizm wszelako wymaga podkreślenia niezaprzeczonego faktu, że mimo iż mecenat kościelny funkcjonuje, to jednak wymaga on ze strony twórców niezależnej kultury siły woli i walki. Zaznaczam też od razu, że sytuacja ta jest różna nie tylko w różnych województwach czy miastach, ale często w poszczególnych kościołach. Oznacza to jednak zazwyczaj tyle, że to nie twórcy wdają się w spór z księżętami Kościoła, lecz przejmują na siebie te funkcje sami księża. I tak na pewno lepiej kształtuje się ten obraz w Warszawie, zupełnie nie najgorzej w Krakowie, niezbyt dobrze we Wrocławiu, a na przykład w Poznaniu jest wręcz fatalnie.

Różne więc czynniki składają się na to, że duża początkowo grupa chętnych do kontynuowania pracy aktorskiej poza oficjalnymi instytucjami, poczęła jednak maleć. Wpłynął na to również bodziec czysto praktyczny – konieczność utrzymania siebie i rodziny. Obecnie funkcjonujące grupy teatralne są więc niewielkie i ostali się w nich tylko najbardziej zdecydowani, wytrwali i silni. Pierwszym ich zadaniem pozateatralnym było samookreślenie się, wybranie statusu i formy istnienia. Jak istnieć w sposób zorganizowany i to na powierzchni życia, a nie w podziemiu, w sytuacji, gdy wszelkie formy organizowania się są prawnie zabronione? Powstały więc grupy nieformalne, oparte na przyjaźniach bądź znajomości, często o płynnym, zmiennym składzie, kojarzące się niekiedy dla wykonania jednego tylko, określonego zadania, a ich członkowie rekrutują się z niewielkiego kręgu środowiskowego.

W taki sposób w Krakowie ukształtował się teatr chrześcijański Piotra Paradowskiego, a we Wrocławiu powstało NST. NST grupuje aktorów, którzy odeszli z Teatru Współczesnego po odwołaniu Kazimierza Brauna ze stanowiska dyrektora, latem 1984. Grupa ta postanowiła zorganizować spektakl teatralny, co nie było łatwe, bo mecenas państwowy nie wchodził oczywiście w rachubę, a mecenas kościelny nie wyrażał zainteresowania inicjatywą. Pierwsze spektakle powstawały więc w próżni, bez zaplecza finansowego, bez miejsca, w którym można by dokonywać prób. Grupa po-

zbawiona jakiegokolwiek trwałego oparcia musiała się zdecydować na wędrowną formułę swego teatru. Kilka przedstawień wystawiano gościnnie wszędzie tam, gdzie ktoś wyraził zapotrzebowanie. Do końca 1985 r. NST dało w sumie ponad sto takich występów na terenie całego kraju.



Organizacja grupy i wybranie formuły funkcjonowania to jednak tylko część zadań, najważniejszy jest bowiem repertuar. Pierwszym wspólnym spektaklem NST przywitało Papieża podczas Jego wizyty we Wrocławiu. Było to duże przedsięwzięcie, które skupiło wielu aktorów, wówczas jeszcze pracowników Teatru Współczesnego. Było to jednak przedsięwzięcie jednorazowe, wywołane okolicznościami i początkowo — był przecież rok 1983 i Teatr Współczesny funkcjonował w miarę normalnie — nie zanosziło się na to, by taka dobrowolna współpraca pozainstytucjonalna miała trwać dalej. Do ponownego skupienia się aktorów w grupę nieformalną doszło więc dopiero ponad rok później.

Początkowo grupa podjęła swe działania przy Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, potem przy Duszpasterstwie Środowisk Pracowniczych.

Abstrahując od roli mecenatu kościelnego, przy którym NST zdołał wreszcie znaleźć jakiś trwały punkt oparcia, fakt związania teatru z Kościołem narzucił grupie szereg wymogów

i treściowych, i również formalnych. Stąd na przykład dominującą formą spektaklu jest misterium, a więc przedstawienie już z założenia przystosowane do zaistnienia w architekturze sakralnej. Trzeba bowiem pamiętać, że przejście z teatru do kościoła nie jest tylko prostą zmianą miejsca. Opuszczenie budynku teatru oznacza na przykład konieczność rezygnacji z wielu możliwości technicznych, z kolei zaś przejście w przestrzeń kościelną każe z większą uwagą operować teatralnymi odniesieniami do tejże przestrzeni, nie jest bowiem ona psychicznie obojętna. Są to dla aktorów obciążenia, niekiedy bardzo poważne; sakralna przestrzeń teatralna jest trudna do opanowania i wymaga nieraz dogłębnej zmiany aktorskiego warsztatu. Żadna z funkcjonujących przy kościołach grup teatralnych nie pokonała tego progu bezboleśnie, okazało się jednak, że są to trudności do przebycia. Z przedstawienia na przedstawienie musiały rozwijać się i dojrzewać nowe techniki i środki wyrazu. Początek był jednak trudny i skromny. Pierwszy spektakl NST we Wrocławiu operował nadzwyczaj uproszczonymi środkami realizacji. Ogromnego znaczenia nabrało na przykład — typowe dla przestrzeni kościelnej — operowanie dźwiękiem, tekst w istotny sposób łączył się z muzyką. Tylko bowiem muzyka była w stanie wypełnić ogromną przestrzeń kościoła. Ani elementy wizualne, ani mimika czy dramaturgia ruchu funkcji tej pełnić nie mogły. Przeciwnie — właśnie te typowe teatralne techniki komunikacji w przestrzeni kościoła tracą niemal swoje znaczenie. Również treściowo pierwsze spektakle, uwięzione niejako w religijnej funkcji miejsca, wykazywały bardzo silne związki ze sztuką sakralną. Tej bariery miejsca ani aktorzy, ani zapewne również widzowie nie byli w stanie pokonać od razu. Jednakże już *Anhelli* (zestaw tekstów historyzoficznych Słowackiego) był krokiem poza sakralne ograniczenia możliwości teatralnych, był próbą zaanektowania przestrzeni dla przekazów o odmiennej wymowie ideologicznej. Ale jednocześnie jest to spektakl organicznie związany z budynkiem kościelnym, którego z tej przestrzeni nie da się w ogóle wyrwać.

Anhelli jest — jak dotychczas — ukoronowaniem tych nowych możliwości teatralnych, jest spektaklem dojrzałym, efektem zmagania z oporną materią teatru, które zespół stoczył przygotowując wszystkie poprzednie spektakle, a więc m. in. *Epitafium św. Kazimierza*.

Epitafium jest z punktu widzenia teatralnego tworem nieco dziwnym, budowanym głównie w oparciu o kontrapunkt, o zderzenie tekstów poetyckich, ale jego podstawową wartością jest podjęta problematyka — obraca się mianowicie wokół tematu wciąż jeszcze drażliwego, wymaga-

jącego wyjaśnienia, naładowanego uprzedzeniami, mianowicie stosunków polsko-litewskich. W planach NST jest i miejsce na drugi zbliżony temat, tyle że jeszcze bardziej drażliwy i kontrowersyjny — na podobne potraktowanie sprawy Ukrainy. To jednak przyszłość. *Epitafium* jest zestawem tekstów poetyckich, od Adama Mickiewicza do Bogusława Kierca przez Słowackiego, Iłłakowiczównę, Konwickiego, Miłosza. Spektakl zyskał sobie uznanie. Za *Epitafium* właśnie nagrodził NST Komitet Kultury Niezależnej: tekst spektaklu nagrany na kasety przez niezależną firmę krąży po kraju, zyskując aplauz słuchaczy.

Następną pozycją programową NST był montaż tekstów Herberta; spektakl o bardzo prostym założeniu realizacyjnym, polegającym na rozdzielaniu głosu lirycznego na troje. Dramaturgię budowało tu śpiewie wypowiedzi kronikarza i narratora z głosem osobistym.

Ważnym elementem wszystkich przedsięwzięć realizatorskich wrocławskiego NST jest muzyka, której powierzono nie tylko zadanie organizowania przestrzeni i czasu teatralnego, ale również spoiwa budującego całą wewnętrzną kon-

strukcję spektaklu. Jest to muzyka komponowana i nagrywana przez Zbigniewa Karneckiego specjalnie dla NST i podczas spektakli odtwarzana z taśmy. Muzyka w swej formie i instrumentacji bardziej klasyczna niż nowatorska, choć wspomagana syntezatorem Mooga i innymi urządzeniami elektronicznymi.

Zbigniew Karnecki, kompozytor z dużym stażem, od lat związany z teatrem, należy do grupy tych osób, które opuściły Teatr Współczesny po dymisji dyrektora Brauna. Z tej samej grupy wywodzą się też dwaj reżyserzy NST — Andrzej Makowiecki i Bogusław Kierc.

W bogatej i różnorodnej formule kultury niezależnej w Polsce zespół NST z Wrocławia stanowi jeden z ciekawszych elementów. W przeciwieństwie do wielu innych przedsięwzięć kulturalnych, które ujawniły się po grudniu 1981, w tym również w przeciwieństwie do niezależnych grup teatralnych, NST może z dumą podkreślić, że jest grupą zbudowaną na surowym kamieniu, startującą od absolutnego zera, bez praktyki, tradycji i poparcia, a przecież swą działalnością udowadniającą, że wciąż jeszcze da się zrobić wiele... ■



Krzysztof Kasprzyk

Zemsta na Terleckim

Emigracja przypadkowa czy tzw. przyspieszona ma fatalną wadę – odcina od prywatnych archiwów zbieranych w kraju latami. Skazani jesteśmy na pamięć, z której rozpaczliwie wygrzebujemy daty i fakty z życia naszych kolegów lub przyjaciół. Odrzebujemy spod istniej nawały zdarzeń, które zwały się na nas 6 lat temu; 16 miesięcy gwałtownego i gorączkowego przyspieszenia, a potem pięćdziesiąt lat już prasowanie, rozmywanie woli oporu i życia po swojemu.

Chcę napisać o Marianie Terleckim, którego znam od paru lat, a nawet nie wiem, kiedy i gdzie się urodził, co przedtem robił, itp. Wiem natomiast dobrze, gdzie jest obecnie i jak jest traktowany. Czas uwięzienia ma tę paradoksalną „zalechę”, że nagle przybliża do więźnia wielu ludzi; staje się on osobą publiczną, znany jest niemal każdy miesiąc jego życia.

W latach 70-tych zbliżyły nas dwie rzeczy: pasja do „uprawiania” kultury: twórczość własna i organizowanie imprez kulturalnych, oraz uparta chęć życia po swojemu. Nie będę zarozumiała jeśli powiem, że także pewien rozsądek w ocenie ludzi, zdarzeń, a również swoich możliwości. Obaj byliśmy w Kole Młodych przy ZLP w Gdańsku, gdzie się nieźle w tamtych latach „gotowało”. Nie wymienię nazwisk innych osób z paru powodów, m. in. z tego, że obecnie część tych ludzi nie zna lub boi się znać Mariana.

W końcu lat 70-tych, Marian ze swoją pierwszą żoną prowadził teatr eksperymentalny w klubie „Zak” w Gdańsku, a także włączał się w inne imprezy kulturalne. Kiedyś, przy kieliszku – a obaj nie stroniłiśmy od niego – odbyliśmy długą, rozpaczliwą rozmowę. Bo z głośników, ekranów i murów lał się tonami optymizm, a my – zamiast nim oddychać i czerpać z niego energię i podniecie twórczą – powoli się w tym dusiliśmy. Był to czas szczególny, gdy na spotkaniach z młodzieżą studencką i nie tylko, pytano Mariana i innych „młodokolskich” twórców: *Czemu to takie smutne; ładny wiersz, ale taki pesymistyczny?*

Pod koniec lat 70-tych optymizm był tak dojmujący, że wlał się nawet w obręb gdańskiej grupy poetyckiej w postaci osądu niektórych, że stanowimy trzecią siłę – ani z partią, ani z opozy-

cją. W tym czasie Marian – ku zgrozie wielu osób trzeciosiłowych – zaczął pracować w TV gdańskiej. Jak wytrzymał w towarzystwie takich hien jak Andrzej Żurowski czy Elżbieta Domańska, do prawdy nie wiem. Może jego siła charakteru poparta uporem (niekiedy niemal osłim) i taką cichością, skrytością pozwoliła mu przetrwać kolejne lata. Tak się akurat składa, że większość z tych, którzy chcą być sobą, szczególnie w państwach „realnego socjalizmu”, wpada w spore tarapaty rodzinno-finansowo-społeczne. Nie ominęło to Mariana; czasem wyfaływałem w nim cichą rozpacz, gdy zwątpienie w słuszność postawy ku ludziom i do siebie, opadały go ze zdwojoną mocą.

Sierpień, strajk, podpisanie pierwszego w Polsce, publicznego oświadczenia popierającego robotników – rezolucja Koła Młodych z Gdańska z 19. 08. 1980, były swobodnym zacerpnieniem oddechu po wielu latach. Marian aktywnie działał w gdańskiej TV, był jednym z pierwszych, który optował za utworzeniem przy „Solidarności” komisji d/s środków masowego przekazu. Najpierw zetknęliśmy się w stoczni, potem w tej komisji. Trzeci raz na spotkaniu z Miłoszem w sali BHP, w stoczni. Marian kreślił dokument o jego pobycie na Wybrzeżu. Od listopada 1980 do maja 1981 był bardzo zajęty. Uczestniczył w realizacji filmów dokumentalnych o budowie pomnika, o grudniu 1970, o wydarzeniach związkowych. Został wiceprzewodniczącym Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Pracowników Radia i TV. Jego zajęcia literackie poszły w ką (wydał bodajże dwa tomiki i książkę); zaczął studiować w Łódzkiej Szkole Filmowej. W czasie Zjazdu kierował redakcją TV „Solidarność”. Po 13 grudnia ukrywał się, aż do września 1983, kiedy to został w Gdańsku ujęty i potraktowany na mocy amnestii jako jeden z tzw. ujawnionych.

Po przyznaniu Wałęsie pokojowego Nobla, wspólnie z Antkiem Pawlakiem, zabrali się za książkę-reportaż o Lechu. Ukazała się w 1984 r. w wydawnictwie *Spotkania* pod tytułem „Každy z was jest Wałęsą”. W tej interesującej książce, świetnie oddającej atmosferę wokół Wałęsy w tamtym czasie i stan umysłów, zarówno opozycji, jak i tzw. tłumu, napotkałem znajome nazwiska ludzi, z którymi miałem dość bliski kontakt w latach 60-tych; w latach naszych zadziornych, szczeniackich początków. Ostali się; lepiej – wypłynęli spod wala lat 70-tych we właściwym czasie i są tam, gdzie należało się ich spodziewać.

Marian rozpoczął pracę w ośrodku wideo księży Pallotynów. Ożenił się po raz drugi i oczekiwali z Hanką dziecka w maju 1985. 25 maja tegoż roku esbecy aresztują go na ulicy w Warszawie,

wraz z dwoma współpracownikami ośrodka wideo Pallotyńów. Tę dwójkę zwalniali po 48 godzinach. Marian otrzymuje trzymiesięczną sankcję prokuratorską. Jest oskarżony z art. 200 i 201 kk. o zagarnięcie mienia znacznej wartości. Jakie to mienie? Sprzęt telewizyjny „Solidarności”, o który go dość często wypytywano w 1984 i 1985, do chwili aresztowania. Istnieją podejrzenia, że jego aresztowanie było również jednym z elementów rozgrywki przeciwko Kościołowi.

Kościół przedłożył dowody, że sprzęt, którym Marian się posługiwał w dniu aresztowania, jest jego własnością. Nie doprowadziło to do uwolnienia, wdrożono śledztwo i zabroniono jakichkolwiek kontaktów na okres 3 miesięcy. W parę dni później Hanka urodziła córeczkę, której Marian nie widział do dzisiaj.

Od 25 maja 1985 minęło osiem miesięcy i trzy tygodnie, bez aktu oskarżenia, w więzieniu na Rakowieckiej. W tym czasie Marian miał jedno widzenie z ojcem (w połowie sierpnia 1985), poza tym całkowity zakaz kontaktów ze światem zewnętrznym. Ani listów, ani paczek, ani lekarstw. We wrześniu otrzymał kolejne trzy miesiące sank-

cji, mimo, że podstawy aktu oskarżenia upadły. Prokurator powiedział, że śledztwo trwa nadal i nie może Mariana zwolnić. W styczniu oznajmił mu, że sankcja będzie przedłużona do końca lutego, co jest już niezgodne nawet z wronim prawem. Ale co obchodzi właściciele PRL-u prawo i zasady traktowania więźniów politycznych. To coś na kształt pierwszej Rzeszy peelerowskiej; przypomnijmy — tylko hitlerowska Rzesza zaprottestowała przeciwko przyznaniu pokojowej nagrody Nobla von Ossietzky'emu w 1935 r., podobnie jak PRL w przypadku Wałęsy w 1983 r.

Marian ma cały czas blokadę na listy, odwiedziny, paczki, lekarstwa, itp. Wzmociono na niego naciski; zmusza się go do podpisania zobowiązania o współpracy z SB i straszy się śledztwem trzyletnim. Jest w złym stanie zdrowia — skorbut i zagrażająca parontoza.

Jego rodzina utrzymuje się dzięki pomocy znajomych. W przemyconym grypse (*Tygodnik Mazowsze* nr 158 z 13 lutego 1986) informuje, że od 1 lutego podejmuje protestacyjną głodówkę.

Toronto, 23 marca 1986

Człowiek w sytuacjach skrajnych (Rozmowa z Ryszardem Bugajskim)

Film Ryszarda Bugajskiego „Przestuchanie” miał wyjątkową, podwójną prapremierę. W październiku — na kasetach podziemnych w Polsce, a w listopadzie ubiegłego roku — dla Polonii w Toronto.¹ Polonia nowojorska zobaczyła film w grudniu. Niemalże w przerwach, pomiędzy licznymi podróżami Bugajskiego, udało mi się z nim porozmawiać.

RT: Jest Pan stale w rozjazdach. Czy przygotowuje Pan sobie grunt na szybkie wejście na rynek północnoamerykański?

RB: Tak, spieszę się; nie mam przed sobą dziesięcioleci. Mam parę pomysłów, które chciałbym możliwie szybko zrealizować. Ale, aby to zrobić, trzeba zbadać teren, wejść w pewne układy, odpowiednie układy...

— Ale przecież „Przestuchanie” daje Panu pewne fory. Nie tylko jest dobrym filmem; jest wreszcie czytelnym dla tutejszego widza, m.in. wskutek trwającej od paru lat demaskacji systemu komunistycznego. Kiedy odbędzie się premiera dla publiczności anglojęzycznej?

— „Przestuchanie” oglądano w studiu w Nowym Jorku. Jest to pomysł, by wyświetlić film jednocześnie z przedstawieniem kolaudacji, zainscenizowanej w formie teatru faktu...

— Czy to ta słynna kolaudacja, na której opisywali się Poręba, Waśkowski i inni? Ta opubli-

kowana w podziemnym piśmie „Wezwanie”, w nr 2/3 z 1982 roku?

— ...Tak, ta właśnie. Pełny jej zapis ukazał się w październiku 1982 w kwartalniku „New Criterion” i byłby podstawą do inscenizacji. Rozmawiałem również z pewnym dystrybutorem, który jest zainteresowany w rozpowszechnianiu filmu na kasetach. Ale muszę dać napisy w języku angielskim, a to sporo kosztuje. Szukam więc także mecenasów finansowych... Stąd podróże...

— A telewizja kanadyjska?

— Wątpię. Państwowa sieć CBC, jak już się zorientowałem na podstawie oceny ludzi będących tu dłużej, nie jest zainteresowana takim rodzajem filmów. Ponadto Kanada ma mały rynek, zaledwie 25 mln ludzi...

¹ W październiku 1985 roku Bugajski wyemigrował do Kanady i zamieszkał w Toronto

– Z tego 2/3 nie ma rozbudzonych potrzeb kulturalnych. Nie ma na kulturę ani pieniędzy, ani chęci...

– Nie ma też samowystarczalnej kinematografii. Bardzo przyjemnie się tutaj mieszka, chyba znacznie lepiej niż np. na Manhattanie, tym bardziej z rodziną (żona i 2-letni syn – przyp. RT). Każdemu filmowemu jest potrzebny duży rynek, publiczność rządu kilkudziesięciu milionów, a takim rynkiem są Stany. Niebagatelne znaczenie ma producent; inwestuje w to, co przyniesie mu spodziewany dochód.

– Z tego wynika, że Europa, a co za tym idzie Polonia europejska musi trochę poczekać na film Pana. Dostępna jest wspomniana kolaudacja w „Wezwaniu”, książka według scenariusza „Przesłuchania” wydana w Instytucie Literackim w Paryżu...

– Opublikowana najpierw w „NOWej” a film na kasecie...

– O, właśnie. Nastąpiło paradoksalne odwrócenie sytuacji. Dawniej słyszeliśmy o pewnych filmach nakręcanych na Zachodzie, o których mogliśmy tylko przeczytać w polskiej prasie filmowej albo znać je z opowiadań znajomych, osiadłych lub wizytujących Zachód. Natomiast filmy polskie, takie jak np. „Ręce do góry” Skolimowskiego wędrowały na półki. Teraz mamy podziemne kasety – z filmami zagranicznymi i polskimi. W przypadku „Przesłuchania” paradoks polega na tym, że jest lepiej znane w kraju niż za granicą.

– Istnieje całkiem nowa sytuacja – mój film poszedł na półkę, a jednak się ukazał, jest w obiegu... To jest fakt dokonany – niezależność od dystrybutora, którym jest państwo. Władza za późno się zorientowała i teraz już nie da się tego powstrzymać. W Warszawie istnieje wiele wypożyczalni prywatnych, jest ich bodajże sześć. Stale powstają nowe. Przeważnie mają filmy przygodowe lub softporno typu „Emmanuelle” ... Ale jest sporo filmów niebezpiecznych dla systemu. Filmy z Bondem, filmy Clinta Eastwooda czy też Rambo...

– Ależ te filmy są prymitywne, mogą być rozsądkiem złych gustów, czegoś, co otepia ludzi...

– Zaraz, zaraz. Są też takie filmy, jak „Łowca jeleni”. Ponadto bez tej bazy, sieci prywatnych sklepów, nie mogłaby istnieć podziemna dystrybucja. Przypuszczalnie mamy teraz w Polsce około 200 tys. magnetowidów. Oczywiście nie każde środowisko ma do tego dostęp. Moje środowisko, filmowo-dziennikarsko-intelektualne, nie ma trudności, ale np. uniwersyteckie prawie nie dysponuje sprzętem. Dystrybucja sytuuje się na paru poziomach. Wspomniane sklepy prywatne – ogólnodo-

stępne, obieg całkiem prywatny, np. kasety przywożone z Zachodu, kluby video przy kościołach, które faktycznie poza filmami o treści religijnej (np. pielgrzymki Papieża) pokazują wszystkie kasety dostępne w wypożyczalniach prywatnych.

Kolejny poziom, bardzo ważny, stanowią firmy podziemne: „Wytwałość” i „NOWa”, dla której opracowałem ankietę sondującą rynek – na jakie filmy jest zapotrzebowanie. Tutaj przegrywa się filmy zachodnie na wysokim poziomie (m.in. „Gułag” z McDowellem, „Confesion” C. Gavrasa), no i filmy polskie, które poszły na półkę. Mój był pierwszym... i okazało się, że swobodnie konkurują... z Bondami.

– Czy w ten sposób będzie można odzyskać inne filmy?

– To nie takie proste. Władza już się połapała i kontroluje wszystkie te miejsca, gdzie przegrywa się z filmu na video.

– A czy mogłoby powstać niezależne kino, typu dokumentalnego, bo fabularne jest raczej niemożliwe...

– Oczywiście, że niemożliwe. Przecież od razu zostaną rozpoznani aktorzy, a ponadto, jak przeskoczyć możliwości techniczne, nawet gdyby znalazły się pieniądze. Wiem, że robi się filmy dokumentalne, głównie dla archiwizacji na przyszłość. Wszelkie ważniejsze wydarzenia w Polsce zarejestrowały zresztą telewizje zachodnie. Mają teraz całe pokoje pozapychane kasetami.

– Można wykorzystać ten materiał i zrobić pełnometrażowy dokument...

– Taki pomysł mam już od dawna.

– A co się dzieje w kinematografii oficjalnej? Jakie są postawy reżyserów, możliwości przejścia przez cenzurę, sposoby obrony środowiska przed administracją?

– Trudno mi oceniać współczesne trendy kina polskiego. Już mnie tam przecież nie ma. Jak zacząć mówić o konkretnych ludziach, mogę być niesprawiedliwy w pewnych przypadkach. Wolałbym tego uniknąć. Mogę podać fakty, ale nie mogę, nie powinienem się domyślać, co w nich siedzi. No cóż, Piwowski np. siedzi od paru miesięcy w Nowym Jorku. Marczewski nic nie robi, jest we władzach Stowarzyszenia Filmowców i rozgląda się za jakąś koprodukcją. Bajon i Falk robią po drugim filmie od 1982 roku. Królikiewicz przestał być kierownikiem zespołu filmowego, podobno coś teraz robi... No, każdy robi coś innego, trudno jest znaleźć jedno słowo, które by oddawało generalną tendencję, ukazywało los zbiorowy... Wszystkim w zasadzie powodzi się stosunkowo nieźle, robią filmy...

– Może z innej beczki. Przecież stan wojenny był jakąś datą graniczną; czy reżyserzy z pokoleń debiutującego w latach 70-tych (m.in. Kie-

ślowski, Falk, Bajon, Marczewski, Kijowski, Holland, Wojciechowski, Piwowski) i starsi (Wajda, Zanussi) zupełnie już zrezygnowali?

— W najgorszej sytuacji jest pokolenie z lat 70-tych. Każdy z nich ma jakieś dokonania, które go niejako obciążają w oczach władzy. Poza tym ci ludzie już się rozpędzili w pewnym kierunku i nie mają ochoty przyhamować. Chcą kontynuować to, co się akurat władzy nie podoba. Władza w tej chwili woli ludzi młodych, w zasadzie niczym nie obciążonych — niech spróbują. Ci z lat 70-tych już byle czego nie wezmą, np. nie zrobią filmu o wampirach. Natomiast taki młody reżyser, który jeszcze nic nie zrobił i jest absolutnym, to pocałuje jeszcze w rękę, jak mu się da zrobić film o wampirach....

— A studio im. Irzykowskiego? W ostatnich latach powstało tam parę dobrych filmów, m. in. głośny „Nadzór” Saniewskiego, początkowo zdjęty, a po solidarnych protestach prawników, filmowców i dziennikarzy, wznowiony. Czy to nie jest początek odzyskiwania straconych terenów, nacisku na władzę...

— Ależ nie. Proszę pana, to przejaw resztek jakiejś solidarności, jakiejś siły, aby jeszcze o coś zawalczyć. Raczej się teraz o nic nie walczy, już wszystko przechodzi. Saniewski jest ofensywny, zrobił wielki szum wokół swego filmu. Lecz nie każdy ma taki charakter są ludzie tacy, jak np. Antek Krauze, którego wykiwano. Zrobił, moim zdaniem, jeden z najlepszych filmów ostatnich lat — „Prognoza pogody” według scenariusza Marka Nowakowskiego. Film puszczono bez jakiegokolwiek reklamy w trzech, małych kinach. Oczywiście okazał się „niekasowy” i z powrotem odfowano go na półkę. Jak wiele innych filmów, które powinny być pokazane, a są na półkach: „Matka Królów”, „Wierna rzeka” czy świetny „Przypadek” Kieślowskiego...

— Wszedł na ekrany jego nowy film „Bez końca”, wcale nie taki łagodny, ani pokorny. Dlaczego dopuszczono go na ekrany?

— Jedyń film polski, który cieszy się wielkim zainteresowaniem...

— Ludzie dosłownie polują na niego. Pojawia się gdzieś, na jeden dzień...

— Zawsze znajdują się sposoby, by ograniczyć dystrybucję. A dlaczego w ogóle jest na ekranach? Władza nie jest monolitem, składa się z różnych grup interesu. Jest taka grupa, która stara się prowadzić swą politykę i coś, czy kogoś jakby popiera. Nie wiem, czy można ją akurat nazwać liberałami jest to określenie nieprecyzyjne. Może to być grupa, która w danej chwili występuje akurat przeciw innej i robi się na „liberalną”. Bo pewne rzeczy są jej na rękę. Dopuszcza się do zrobienia i pokazania takiego filmu; wychodzi z tego jakaś

korzyść, ale jednak jest to element gry politycznej. Nie można powiedzieć, że ten film powstał przy akceptacji całej władzy, że władza chce, by robiono filmy o działaczach strajkowych siedzących w więzieniu. To jest wypadkowa jakichś układów.

— A starsze pokolenie?

— Starzy jakoś sobie radzą, mają posady w szkole filmowej, są kierownikami zespołów... Są wystarczająco elastyczni i zastrzeżeni. O młodych wspominałem... może trafić się przecież drugi Machulski, równie utalentowany i mający publiczność, lecz bezideowy lub wryśny.

— Wróćmy do „Przesłuchania”. Skąd się wziął pomysł takiego filmu?

— Od dawna chodził mi po głowie. W czasach „Solidarności” sprawa stała się otwarta. Myślałem o „Ciemności w południe” Koestlera, ale to o Rosji. Kiedyś sfilmowałem dla TV sztukę S. Grochowiaka „Po tamtej stronie świateł”, która dotyczyła okupacji hitlerowskiej i postawy człowieka, pełnej godności w starciu z totalitaryzmem. Człowiek w sytuacjach skrajnych zawsze mnie interesował. Pisząc scenariusz oparłem się na Grochowiaku. Dałem go do przeczytania paru więźniarkom z okresu stalinowskiego. Bardzo mi pomogły, najbardziej Wanda Podgórska, była sekretarka Gomułki. W scenariuszu, który okroiłem dla potrzeb filmu, o pewne wyjątki i całą część współczesną, bo psuły mi dramaturgię, są różne postacie „zapożyczone”, oparte na autentycznych. Wybrałem kobietę, nie, właściwie głupią, naiwną dziewczynę, która w starciu z systemem przemocy zyskuje niespodziewanie olbrzymią siłę...

Część scen była kręcona w autentycznym więzieniu, reszta w studio, gdzie zbudowano m. in. celę, wyposażoną przez tych z Rakowieckiej. Dali nam stare okna, drzwi...

— Film stał się sławny także w tym środowisku. I wojskowo-partyjnym też...

— Nie tylko go nie puszczono, ale uznano obok „Wiernej rzeki” Chmielewskiego (według powieści S. Żeromskiego) za film niebezpieczny dla systemu...

— A cóż takiego „przeszkrobał” Chmielewski, przecież carskie czasy...

— Nie zgodził się na wycięcie pewnych, drastrycznych scen z Kozakami. Wracając do mego filmu, to niejaki Bajdor powiedział na spotkaniu z filmowcami, że nie możemy mieć zaufania do autora, który zrobił taki film, jak „Przesłuchanie”. Po tamtym filmie mamy podstawy sądzić — dodał — że jego następny film będzie antyrosyjski. Chodziło o scenariusz według „Cudzoziemki” Kuncewiczowej. Przyjęto go, ale nie dano mi do realizacji. Następny scenariusz, według „Ronda” Brandysa odrzucono.

– W „NOWej” i londyńskim „Pulsie” ukazała się Pańska powieść pt. „Przyznaję się do winy” – o czasach stalinowskich na Węgrzech. Czy zajął się Pan literaturą niejako z konieczności? Czy brak możliwości realizowania filmów zmusił Pana do emigracji?

– Literaturę zajmowałem się od dawna, ale tak raczej amatorsko; ot młodzieńcze próby. W formie książki ukazała się „Przesłuchanie”, w 1983 ukończyłem „Przyznaję się do winy”, teraz pracuję nad książką pt. „Nowe nice”. Co do wyjazdu?... Czułem się tam sfrustrowany, brakowało mi inspiracji, pomysłów, zmienił się nawet układ przyjaciół wokół mnie. Wiele rzeczy się na to złożyło. Mogłem tam być, uprawiać literaturę i cierpieć jak wielu innych, którzy drukują w podziemiu. Mój wyjazd był jednak wyrazem kompletnej niewiary w sens jakiegokolwiek działalności w dziedzinie, przede wszystkim filmowej, bowiem film wydaje mi się bardziej bezpośrednim i doraźnym środkiem wyrazu. Tutaj mam bodźce do działania...

– Czy dalej będzie Pan penetrował stalinizm, bo Pańskie zainteresowania obracają się wokół tych czasów?

– Myślę, że aby zrozumieć współczesny komunizm, trzeba koniecznie sięgnąć do okresu stalinizmu. To jest kopalnia wiedzy, żywa historia, wciąż żyją ludzie będący niejako świadectwem tamtej epoki.

Zamierzam zrobić film polityczno-przygodowy, z KGB, walkami agentur, itp. oparty na „Zwycięstwie” Conrada, uwspółcześnionym, przeniesionym na teren Karaibów. Myślę, że będę to potrafił sprzedać w atrakcyjnej formie filmowej. Jak Pan wie, tematów nie brakuje. Ciągłe coś się dzieje, w coraz to nowych miejscach. Bardzo bym chciał ukazać ludziom stąd, właściwe oblicze totalitaryzmu. Gdyby mi się udało, osiągnąłbym bardzo wiele.

Przed wojną, w Stanach Zjednoczonych, bardzo wiele mówiono o zagrożeniu nazistowskim, ale nikogo specjalnie to nie obchodziło. Próbowano także mówić, czym jest Rosja, komunizm, Stalin. Padało to na jałową glebę. Wydaje mi się, że teraz sytuacja się poprawiła i ludziom otwierają się oczy.

Tekst autoryzowany.

Toronto, dnia 17 lutego 1986 roku.

Rozmawiał: Robert Tof

UWAGA!!!

Polacy w Berlinie Zachodnim

Zjednoczenie Polskich Uchodźców w Berlinie Zachodnim
wraz z kilkoma innymi organizacjami zapraszają na

FESTYN 3 MAJA

który odbędzie się na

Saarplatz w godz. 14.00 – 19.00

W programie zabawy dla dzieci, występy muzyczne, mecz piłki nożnej „Polska” – „Turcja”, specjalności polskiej kuchni.

Komitet Festynu zaprasza na „trzeciomajowe wieczorki” w dniach 19. 04 i 26. 04 o godz. 16.00, SEKIS, Albrecht–Achilles–Str. 65, U–Bahnhof Adenauerplatz. M. in. pokaz polskich filmów video.

Panopticum

1.

– Kto nami rządzi?

– Jacy są ci, którzy reprezentują władzę, jak porobili kariery, jak żyją i myślą?

Tak sobie brzmi podtytuł artykułu *Szczyty*, który ukazał się w jednym z numerów *Polityki*. Artykuł traktuje o książce.

Andrzej Kępiński, dziennikarz, socjolog, absolwent Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu oraz Zbigniew Kilar, dziennikarz, socjolog, absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych KC PZPR napisali, „Czytelnik” wydał: *Kto jest kim w Polsce?*

Artykuł *Szczyty* nie jest więc poświęcony alpinizmowi.

Artykuł *Szczyty* poświęcony jest książce, ta zaś zawiera *dwadzieścia cztery obszerne wywiady z czołowymi osobistościami życia politycznego*. Ta jest oczywiście wydarzeniem, bowiem *nie miesciło się w kulturze politycznej obozu rządzącego eksponowanie indywidualności innych niż przywódca polityków, cech ich osobowości, tym bardziej ich życia prywatnego*.

Im dalej we wstęp artykułu, tym lepiej: *Nie ma demokracji bez odpowiedzialności politycznej. Nie ma odpowiedzialności politycznej, gdy polityka jest odpersonalizowana, anonimowa, niejawna, gdy nie jest związana, nie utożsamia się z konkretnymi ludźmi*. Całkiem nieźle. I jakby było mało: *Lata 1980-81 dały początek nowemu sposobowi publicznego istnienia ludzi władzy. Nie są już oni anonimowi*.

Piękny ukłón z zezem.

Tygodnik *Polityka* to kilkunastostronicowy lep, którym co tydzień urządza się polowanie na muchy.

2.

Nowe idzie, władza dzisiaj to nie jakaś tam zuniformizowana zbiorowość, to ludzie, którzy mają swoje, dobrze z telewizora znane twarze, swój język, swoje style mówienia i argumentowania i swoje śmieszności.

Dzisiaj więc, obywatelu, możesz poznać nie tylko politykę, ale i tych, którzy ją uosabiają. *Kto jest kim w Polsce?* jest właśnie takim przejawem

kształtowania się nowej kutury politycznej i jeśli chcesz, to możesz sobie ocenić między innymi: przewodniczącego Rady Krajowej PRON, Jana Dobraczyńskiego, członków kierownictwa PZPR, Kazimierza Barcikowskiego, Józefa Czyrka, Zofię Grzyb, Hieronima Kubiaka, Albina Siwaka; przewodniczącego NK ZSL, wicepremiera Romana Malinowskiego; przewodniczącego CK SD, Tadeusza Witolda Młynickiego; Stanisława Cioska, Manfreda Gorywodę, Janusza Obodowskiego, Czesława Piotrowskiego, Jerzego Urbana, Mieczysława Franciszka Rakowskiego.

3.

Mieczysławowi Franciszkowi Rakowskiemu warto poświęcić miejsce osobno, ponieważ dał się on poznać osobno już wcześniej. Swoje imago reprezentował jednak Mieczysław Franciszek w pełni w jednej z wcześniejszych *Polityk* (Nr 31, 3.08.85). Tam to oraz w numerze następnym ukazały się fragmenty jego nowej książki *Czas nadziei i rozczarowań*. Odpowiedzi, bo książka to zbiór odpowiedzi na pytania postawione mu przez redaktorów *Polityki*, odpowiedzi więc mamy bardzo skrupulatne i skrętne. Rakowskiego myśli znamy już, zanim je wypowie, ciekawszy będzie więc tutaj nasz bohater w obejściu.

Porządne to chłopisko i do cna lojalne. Rzadko który generał może pochwalić się takim podwładnym, rzadko który podwładny ma takiego generała; *Generał pozwala, jak to mówią, wygadać się. Czasem to nawet jestem lekko zniercierpliwiony, że chyba ze zbyt wielką cierpliwością wysłuchuje, jak na mój gust, niektórych zbyt długich wystąpień. Na NIE w jakiejś sprawie Generał nie boczy się. Masz inne zdanie, możesz je wypowiedzieć, bronić się, NIE lekceważysz innych opinii, ale gdy już decyzja zostanie podjęta, to domaga się konsekwentnej jej realizacji*.

Kubuś Fatalista i jego Pan, Pan i jego Kubuś Fatalista; *Najwnikliwszym czytelnikiem jest Generał. Posyłam Mu wazniejsze moje wystąpienia. Czyta je niezwykle starannie, poprawia najczęściej zwykłym ołówkiem, po czym odzywa się charakterystyczny dźwięk Jego telefonu i z reguły słyszę tę samą formułę; przesyłam Ci tekst, wprowadziłem pewne poprawki i jeśli uznasz je za słusze, to... Odpowiadam, że serdecznie dziękuję, i uśmiecham się, ponieważ wiem, że za chwilę otrzymam tekst, położę przed sobą mój egzemplarz i będę niemal mechanicznie przynosił nań Jego uzupełnienia, skreślenia itp. Czynień tak, ponieważ mam do Niego bezgraniczne zaufanie. Generał zna świetnie język polski, wszystkie jego niuanse oraz ma bezbłędne wyczucie puenty. Wstawi w jakieś miejsce jedno słowo, czytamy i dochodzemy do*

wniosku; no tak, tego słowa tu przecież brakowało! Podziwiam tę zdolność. I żeby nie zabrakło nuty swojskiej: *Władomo, jakie jest to nasze dziennikarskie pisanie. Na ogół pospieszne. A co się mnie tyczy, to w niemal każdym moim tekście można ów pośpiech dostrzec bez trudu.*

Warto odnotować też wspomnienia Rakowskiego odnośnie poprawy ducha w narodzie; *Dopiero po Stalingradzie duch w narodzie się poprawił i jakże często słyszano się niepokojące, ale przepojone nadzieją pytanie; kiedy ci Ruscy wreszcie przyjdą? Gdy przyszl, a pierwsze oddziały radzieckie pojawiły się w Poznaniu pod koniec stycznia 1945 r., moja ciocia, w której mieszałem z Matką, pierwszego napotkanego starszynę zaprosiła na kwatery, oddając mu jeden pokój.*

Nigdy nie miałem żadnych obciążeń antyrosyjskich, a nawiązanie przyjaznych stosunków pomiędzy Polską i Związkiem Radzieckim uznałem za historyczną zdobycz polskiej lewicy i całego narodu.

Już od 40 lat na granicy polsko-radzieckiej nie tli się najmniejszy nawet płomyk niepokoju, konfliktu. To przecież bez precedensu na przestrzeni kilkuset lat naszej historii. Rzeczywiście argument nie do przebiccia, niechby się tylko jakiś konflikt spróbował zatlić, niekoniecznie graniczny! Węgrzy też mogą być dumni. Już od pięćdziesiątego szóstego, bez precedensu, nic się u nich nie tli. Czesi również, od kilkunastu lat, żyją wreszcie w pokojowej koegzystencji.

Pokój mamy wszyscy potężny.

Każdy z nas przeżył parę momentów, których nie zapomni do końca życia. Rakowski ma taki jeden moment szczególny. Dawno to było, szalała jeszcze „Solidarność”, a życie było bez uśmiechu: *Nie zapomnę wystąpienia starszego mistrza w Raciborskiej Fabryce Kotłów, Andrzeja Bosowskiego. W swoim bardzo krótkim wystąpieniu powiedział: „Przecież w obecnej chwili powinna być atmosfera dobra, tak w domu jak i w pracy, a tymczasem są między nami kłótnie i głębokie podziały. Życie jest bez uśmiechu”.*

4.

Tyle o Rakowskim. Wracajmy do książki *Kto jest kim w Polsce?* i jej omówienia w artykule *Szczyty*.

Pytania do jej bohaterów to nie jakieś tam stereotypy, poprzestające na ogólnych poglądach. Pytania do nich, to pytania o osobisty, ja to powtórzę, osobisty stosunek do wydarzeń z niedawnej przeszłości, o osobisty sukcesunek do kariery i roli politycznej, o osobiste sukcesy i porażki, osobiste upodobania i o życie prywatne, też zapewne osobiste.

Ciężko było przed wojną, ciężko, wspominając sobie osobiście ci z tytułowych szczytów. Ton najbardziej prywatny zadźwięczał u Zofii Grzyb, która tak się oduniformizowała, stała się tak osobista, że powiało nawet intymnością: *Dzisiejsi krytycy nie wiedzą, co to bezrobocie, co to znaczy nie mieć zagwarantowanej opieki lekarskiej i wielu innych zdobyczy socjalistycznych zagwarantowanych przez socjalistyczne państwo.*

Wspominają wszyscy dalej. Wiadomo, przed wojną było ciężko, bo to było przed wojną. Na wojnie też nie lekko, bo wojna. Po wojnie to prawie tak samo, a dzisiaj, no cóż, też ciężko. Jutro też nie będzie lekko, ani może nawet pojutrze, tak jest ciężko.

Podrozdział dotyczący wojny autorzy artykułu tytułują *Wojna była też czasem zasadniczych wyborów politycznych*. A pewnie, że była! Józef Czyrek długo tam się nie wahał; *Wyzwolenie przyniosły oddziały Armii Czerwonej witane niezwykle serdecznie przez mieszkańców – wspomina osobiście – W naszym domu zamieszkał kapitan, z zawodu nauczyciel matematyki, pomagał mi odrabiać lekcje, które były zarazem pierwszymi lekcjami języka rosyjskiego. Sielanka by to była pełna, gdyby w domu Czyrka nie mieszkał w tym czasie daleki krewny, ponury i posępny na pewno, który przed 1939 mieszkał na kresach wschodnich. Wyniósł on stamtąd (...) urazy antyradzieckie. Po przyjściu żołnierzy radzieckich powiedział do mnie, że wolałby nie dożyć tego dnia, czy coś w tym sensie. Ten typ rozumowania przedstawiciela narodu, który przez okupanta hitlerowskiego skazany był na zagładę, tak mną targnął, że nie bacząc na wiek dojrzałego krewnego, nawymyślałem mu od głupców, zaliczając go do grona ludzi niesprawiedliwych. Dalej Józef Czyrek melduje osobiście: *Było to moje chyba najbardziej proradzieckie wystąpienie w życiu. Wynikało nie z racji ideowo-politycznych, lecz z prostego odruchu serca młodego chłopca, jego poczucia sprawiedliwości.**

Podrozdział następny – *Czytelnika uderzać musi pełen ciepła stosunek jej bohaterów do rodzinnego domu*. Mnie najbardziej uderza stosunek Albina Siwaka do swojego ojca, od którego pamięta on dobrze otrzymane razy. Dużo ich być musiało, bo Albin Siwak jest przekonany, że *gdyby ojciec żył, miałby sporo wątpliwości, czy my prowadzimy skuteczną politykę klasową.*

Nikt z rozmówców nie zabiegał o szczyt, na którym się znalazł, bo to przecież szczyt, jakby nie patrzeć. Znaleźli się i już; czasami tylko Barcikowski się zastanowi, ale i on nie bardzo wie: *Hmm, nieraz się zastanawiałem, dlaczego akurat ja zostałem tym sekretarzem i coraz mocniej jestem*

przekonany o sile szczęśliwych zbiegów okoliczności.

Obodowski też się czasami zastanawia, ale myśli jego krążą gdzieś wyżej i mają filozoficzny charakter; Obodowski szuka swej tożsamości i często dostaje rozdwojenia jaźni: *Jestem wiceprezesem Rady Ministrów, ale trudno powiedzieć, że jestem tylko urzędnikiem. W wielu krajach mówi się „mąż stanu”. Brzmi to trochę dumnie, dla mnie trochę patetycznie...*

Zofia Grzyb nie ma problemów i wie dokładnie, że jest oddelegowana na górę, po to by czuć nad wcielaniem w życie uchwał IX Zjazdu.

Piotrowski myślał na początku, że to żart, to powołanie: *W pierwszej chwili potraktowałem to jako żart, nie byłem do tego przygotowany, a tym bardziej przekonany, czy podołam obowiązkowi płynącemu z tak poważnej funkcji kierowniczej. Zapytałem generała Jaruzelskiego, czy to jest rozkaz, który jako wojskowy musiałbym wykonać. Padła odpowiedź: Nie, to jest prośba. W takiej sytuacji odmówić nie mogłem. W jakiej więc mógł, nie bardzo wiadomo, ważne jest, że siedzi sobie teraz na szczycie okrakiem i to wcale żart nie jest, niestety.*

Dobraczyński też nie mógł odmówić, chociaż od początku wiedział, że to nie żart. Z deklaracją kłopotu nie było – *Ufam i chcę ufać Panu, Panie Generale, gorzej z przyjęciem szefostwa PRON-u Stary już jestem i nigdy nie byłem politykiem. Na to Jaruzelski, przypierając go do muru: Jeżeli Pan, człowiek, który zdaje sobie sprawę z naszego ciężkiego położenia, i wie, że stoimy na progu katastrofy, nie będzie temu przeciwdziałał, to kto to zrobi? No właśnie, kto? To musiało być rzeczywiście ciężkie pytanie, kto inny przyjąłby taką funkcję... Jest Pan znany z tego, że w trudnych momentach potrafi się Pan po kawaleryjsku zmobilizować... I Dobraczyński się po kawaleryjsku zmobilizował i jest dzisiaj z tego jeszcze bardziej znany.*

Podstawową cechą myślenia przedstawionej w książce grupy rządzącej jest realizm – kolejny podrozdział. Pada w nim porozrzucanych niby niedbale parę myśli bohaterów, które zdradzają jednak, iż są one owocem kilkunastoletnich przeżywań.

Malinowski na przykład przechodzi samego siebie: *Nawet najpiękniejsze słowa w polityce nie mają większego znaczenia, jeśli za nimi nie idzie działanie, konkretny efekt. No, może nieprawda?*

A Piotrowski boleje. Z powodu dewaluacji pojęć mu smutno. Takich pojęć jak honor, ojczyzna na przykład, ale również godność osobista sprawia mu przykrość, bo też się degraduje. I żeby to było wszystko! Nie, erozję ambicji przodowania w pracy widać gołym okiem, a co ze słowem

honoru, które dziś już zanikło?! Ej, świecie, ty świecie...

Obodowski, jak przystało na męża stanu, bardziej jest twardy. I konkretny: *W ekonomii cudów nie ma. Nic nie jest za darmo. Jeśli ktoś próbuje naruszyć te prawa – przegra.*

Teraz autorzy artykułu: *Piotrowski również przestrzega przed wiarą w cuda.*

Teraz Piotrowskiego przestrzeganie przed wiarą w cuda: *A cudów nie ma, i nie będzie, i w to właśnie trzeba wierzyć. A więc wszystko w naszych rękach i przed nami.*

I teraz jeszcze raz autorzy: *Takie właśnie jest podstawowe założenie filozofii politycznej wyznawanej przez grupę rządzącą.*

Jak wam się podoba, można by napisać. Można by też tarzać się na plecach ze śmiechu, gdyby nie to, że ludzie ci rzeczywiście znajdują się na szczycie. Fakt ten nadaje tej komedii elementy tragiczne, dlatego też rzadcy ich nazwiemy nie inaczej, jak tragikomedią.

Tragikomedia ta jest szczególnego rodzaju. Trwa już nadzwyczajnie długo i nie widać jej końca. Jest ona przeto koszmarem, jest tragikomedją koszmarną.

5.

Kto jest kim w Polsce?, swego rodzaju próba sprzedaży socjalizmu z ludzką twarzą, z której w efekcie wyłazi potworna gęba, ma cię, jeśli już nie przekonać, to przynajmniej zneutralizować.

Ciosek był ministrem, Siwak otrzymał bierzmowanie, dowiesz się z książki dalej, i zna on na pamięć wersety Pisma Świętego.

Nie musisz ich od razu kochać, toleruj ich, może polub. To tacy sami ludzie jak ty. Choć na szczycie, to też mają swoje zmartwienia i swoje normalne, codzienne życie. Jak my wszyscy. Zdobądź się na to ludzkie uczucie i popatrz na nich oczami bliźniego.

Malinowski chociażby, niby szycha i daleko od ciebie, a jak wydrze sobie trochę czasu, to gra z synami w szachy. Ci jego synowie nazywają się tak, jak mogą nazywać się twój, Marcin i Maciej.

Gorywoda łowi ryby lub czyta. Ostatnio na przykład czytał książkę o tajnych oddziałach Luftwaffe, czytałeś?

Urban nie ma szczęścia do kobiet, biedak, i lubi długo leżeć w łóżku.

A co u Malinowskiego? On postanowił rzucić w tym roku papierosy. Za to Kubiak pali fajkę.

Jakie ludzkie to wszystko. Rządzą tobą, są niby gdzieś tam hen, na szczycie, a w rzeczywistości tacy oni sami jak ty. Równi faceci, pogadałbyś z nimi o wszystkim. *

Barcikowski wysoko ceni Reykowskiego, a zgadnij kto ma córkę, z której jest dumny? Siwak, Siwak ma córkę i jest z niej dumny, bo uczy ona biologii w szkole. Pewnie podobna do taty, córki przeważnie w ojca się wdają.

Gorywoda grał w piłkę nożną. Młyńczak uprawiał kolarstwo, Malinowski był sędzią bokserkim... No, jeszcze ci serce nie zmiękło? O, ich rodziny też wycierpiałły na Wschodzie, nie myśl sobie. Co jednak zrobisz, żyjemy w określonej rzeczywistości i kto tego nie rozumie, ten nie jest realistą. Kto nie jest realistą, ten nie chodzi po ziemi, kto nie chodzi po ziemi, ten nie jest z nami,

ten jest przeciwko nam. Ty wiesz, że być przeciwko nam, to skazać się na niebyt. Chcesz skazać się na niebyt?

Popatrzże na mapę, człowieku szalony! My jesteśmy twoją jedyną alternatywą, chcesz, żeby przyszli jeszcze gorsi?! Pamiętaj o tym, pamiętaj, żeby pamiętać.

No, chodź, chodź do nas, tu, na ziemię. Nie musisz być od razu z nami, raz na cztery lata odaj tylko na nas swój głos, to dużo?

Niech raz jeszcze zwycięży zdrowy rozsądek. Niech rządzą dalej ci, którzy pokazali ci wreszcie swoją prawdziwą, ludzką twarz. ■

Nowość wydawnicza paryskiej „LIBELLI”

Zofia Romanowiczowa

BAŚKA I BARBARA

Drugie wydanie offsetowe

str. 224

cena F. 65.00

„Baśka i Barbara”, debiut literacki Zofii Romanowiczowej, była trzydzieści lat temu „książką na czasie”. Rozchwyтана w rekordowej ilości egzemplarzy, tak w kraju, jak na emigracji, dosłownie „zacytana”.

Nowa fala polskiej emigracji staje wobec tego samego problemu: wychowanie dziecka na obczyźnie. „Baśka i Barbara”, o którą wciąż się dopominano, nie przestała być „książką na czasie”. Wznawiamy ją na usilne żądanie czytelników z myślą o Baśkach i Barbarach, które same są teraz matkami.

Jan Bielatowicz „Życie”, Londyn 1956

..., Najpiękniejszym wydarzeniem roku bieżącego w prozie emigracyjnej jest „Baśka i Barbara”. Rzadko się zdarza, aby książka znalazła uznanie tak powszechne. Sprawiała to i wieczność tematu (przymierze matki z dzieckiem), i jego aktualność (dziecko polskie na obczyźnie), i osoba młodej autorki, i – przede wszystkim – piękna proza książki”.

Do nabycia u wydawcy: „LIBELLA”
rue St.-Louis-en-l'Île,

75004 Paris, France

(książki wysyłamy na cały świat)

i w księgarniach polskich na emigracji

Katalogi bezpłatnie wysyłamy

na każde żądanie ■

Pogląd

sprzedajemy także: AUSTRIA – Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; FRANCJA – Libella, 12 rue St. Louis-en-l'Île, 75004 Paris; Polemika Libraire, 49 rue Gay-Lussac, 75005 Paris; Libraire Polonaise a Paris, 123, Boulevard St.-Germain, 75006 Paris; KANADA – Redakcja „Głos Polski”, 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; RFN – Stodiek's Buchhandlung, Richard Wagner Str. 39, 1000 Berlin 10; ARKADY Kunst u. Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; Osteuropaeische Buchhandlung WAWEL, Stephanstr. 11, 5000 Koeln 1; Buchhandlung DIALOG, Gutleutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; USA – „Nowy Dziennik”, Bicentennial Publishing Corp., 21 West 38th Street, New York, N.Y. 10018; POLONIA Books Store & Publ. 2886 Milwaku Ave., Chicago Ill. 60618; WIELKA BRYTANIA – Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5;

RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

Adam Wojna

Widowisko

Wszechogarniająca gra. Ćwiczenia, próby, analiza reguł. Goniłwa znaczeń, zaburzenia mowy. Poezja Wirpszy jest ciąglym ironizowaniem. Na temat języka i współczesnej literatury. Wiersze z *Apoteozy tańca** (tomu wydanego poza cenzurą) powstały w latach 1973-75, a więc w okresie zażartych bojów między starą i młodą generacją poetów. W sporze tym, jak teraz widzimy, autor *Don Juana* nie chciał wziąć udziału. Albo inaczej – zgłosił swój wyraźny i ostry dystans. Tym samym jeszcze raz przypomniał o innej możliwości bycia poetą. Z tej możliwości korzystał tak konsekwentnie jeszcze tylko Tymoteusz Karpowicz. Dla Wirpszy nie ma zadań poezji – poezja jest zadaniem. Wiersz staje się zbiorem wariantów, nieskończoną, trudną do powtórzenia grą, słownikiem relacji między słowami i zdaniem, między autorem a tworzoną dziełem. Wbrew utartej opinii, którą powtórzyli ostatnio w swych wspomnieniach Wiktor Woroszyński (*Kultura* 1986, nr 1-2) oraz Włodzimierz Odojewski (*Archipelag* 1985, nr 9-10), Wirpsza wcale nie był poetą filozoficznym. Jego erudycyjność czy programowa elitarność (niektórzy mówią o niezrozumiałości) biorą się z radykalnego odrzucenia poezji jako odbicia rzeczywistości, co w konsekwencji rodzi wypowiedź trudno przekładalną, samoswoją. Jak zwykle, to, co nie standardowe i skomplikowane, bywa utożsamiane z filozoficznością, a ucieczkę od emocjonalnego odbierania świata nazywa się od razu erudycyjnym komentarzem. Tymczasem sprawa jest o wiele prostsza i przecież widoczna gołym okiem. Wirpsza jest ironistą, a nie filozofem. Bardziej kamufluje niż wchodzi w głąb. Trudno w tej chwili powiedzieć, i nie jest to na-

szym zadaniem, czy strukturalizm tej poezji wynikał bezpośrednio z przekreślenia poetyki socrealistycznej (wybór Wirpszy miałby wówczas charakter polemiczny i dwustopniowy), ale jedno jest pewne – wziął się z obawy przed powtórnym upadkiem w naiwność. Dlatego należy odczytywać ją przede wszystkim jako wyzwanie rzucone polskiej literaturze, grzęznącej w potocznym bądź w mesjanistycznym realizmie.

Dlaczego ironia? Ponieważ Wirpsza nie tyle konstruuje Utopię, ile wskazuje na zbyt łatwą do niej drogę. Nie opowiada – choć z pozoru wpada w rytm gawędy – lecz bawi się konwencją opowieści, ośmiesza jej zrutynizowany język. Przejaskrawia gadulstwo, aby jeszcze raz potwierdzić, jak cienka jest granica między wzniosłością tematu a kłamstwem formy. Mnoży nieprawdopodobne sytuacje, aby podkreślić cząstkowość i przypadkowość poetyckiej wyobraźni, ale także jej niepodległy wobec zewnętrznych uwarunkowań charakter. Nie boi się banalnych obrazów, bo wie,

Witold Wirpsza

APOTEOZA TAŃCA

a.

OFICyna LITERACKA 1983

* Witold Wirpsza, *Apoteozy tańca*. Oficyna Literacka, Kraków 1986

że są one – oczywiście ryzykowną – repliką na banalne poglądy i przestarzałe postawy. Stąd też i kamuflaż tej poezji. Wirpsza tworzy dzieło, które nie ma na celu poznania świata czy zajęcia stanowiska, lecz które udawadnia arbitralność i iluzję poetyckich przedsięwzięć. Czytelnik ma obcować z alternatywną formą, a nie formą jako taką. Ze słowami, które replikują inne, ukryte słowa. Z pisarskimi wyborami, a nie ugruntowanym poglądem. Tak więc Wirpsza wysuwa na pierwszy plan warsztat poetycki: odśtania jego tajniki wyjątkowo brutalnie i otwarcie. Daje do zrozumienia, że sekret rzemiosła może sam stać się prawdą artystyczną. W odśtaniu warsztatu ważne są nie rezultaty, ale próby, błędy i dojścia. Dlatego tak istotną rolę pełni tu spięcie między znaczeniami, które wykluczają się nawzajem, oksymoroniczne walki wewnątrz każdego utworu, uporczywe poszukiwanie właściwego wyrażenia czy najodpowiedniejszej metafory.

Modelowanie świata Wirpszy przypomina mi do złudzenia malarstwo Francisca Bacona. I tam, i tu dzieło sygnalizuje swój studyjny charakter. I tam, i tu naczelną zasadą aktu twórczego jest powtarzanie tego samego motywu w kilku uzupełniających się wariantach zarówno w porządku synchronicznym jak i diachronicznym. Zresztą Bacon i Wirpsza wywodzą się z tej samej szkoły awangardowej, wielbiącej abstrakcję, teoretyzowanie i deformację świata i znanych wątków kulturowych. Obaj przeszli młodzieńczą chorobę realizmu: Bacon w połowie lat czterdziestych, kiedy tworzył cykl *Głów* oraz *Figur*, a nawet trochę później, kiedy powstały studia do portretu papieża Innocentego X pędzla Velazqueza; Wirpsza pod koniec lat czterdziestych, kiedy należał do grupy wierzycieli z Nieborowa. Z tym, że pewna statyczność tych młodzieńczych prac Bacona i brak zdecydowania w kompozycji mają swoją przeciwwagę w okrucieństwie przedstawionych sytuacji. Znajdzie to swoje pogłębienie już w latach pięćdziesiątych, poczynając od studiów do portretu Williama Blake'a. Tego samego nie można powiedzieć o Wirpszy – wczesna twórczość to schematyczne powielenie starej konwencji charkowskiej i późniejsze książki całkowicie ją przekreślają. Ale to oczywiście różnice i nie o nich chcę mówić. Zastanawiające jest natomiast podobieństwo, szczególnie widoczne w latach 60-tych i 70-tych, w konstruowaniu utworów (tryptyki Bacona i wieloczęściowe poematy Wirpszy), w odrzucaniu zdarzenia, sublimacji ruchu, reifikacji, a także w kulcie brzydoty i sakralizacji kiczu. Spotkanie Wirpszy z Baconem wcale nie jest przypadkowe. To duch Października spowodował ich zbliżenie. Zainteresowanie malarstwem abstrakcyjnym i w ogóle neoawangardą, także eksperymentami w muzyce i fil-

mie nie mogło nie obejść również autora *Traktatu skłamanego*, dążącego uparcie do rozbitcia tradycyjnego języka poezji, aby za cenę nieporozumienia uzyskać pewność, że się jest sobą. Tak jak Bacon traktował obraz w sposób roboczy (studia do, studia nad, repliki, te same motywy np. ukrzyżowanie), tak Wirpsza konstruował wiersz czy poemat na zasadzie próbnego zapisu (wątki autotematyczne, przypadkowość skojarzeń, celowe pomyłki, chaos lekturowy).

Wstęp ten był mi potrzebny do podkreślenia miejsca *Apoteozy tańca* w dorobku Wirpszy. Nie jest to na pewno miejsce kluczowe, świadczy natomiast o konsekwencji, z jaką poeta dążył do ciągłego wzbogacania wybranej dawno konwencji. W poemacie tytułowym rytm historii miesza się z rytmem teraźniejszości. Jest to apokaliptyczna wizja skłamanego świata, w którym okrucieństwo idzie w parze ze złym smakiem. Genialne jednostki, wybrane przez poetę do wunderteamu ludzkości obnażają swoją małość w szaleńcym, oślepiającym tańcu śmierci. I choć nie ma tu niczego naprawdę, i choć sceneria jest rodem z ludowej szopki, odnosi się wrażenie jakiejś totalnej niemocy, która zawładnęła światem. Z jednej strony zabawa i teatr, ferdydurkizm podniesiony na wyższe piętro abstrakcji, a z drugiej – koszmarny obraz ludzkości, rozjątrzonej nie kończącymi się oskarżeniami. Wirpsza mówi o „karlich duszach” czyli historii potknięć, nie zwycięstw. Interesują go nieprawidłowości i utrata równowagi, dlatego zawzięcie walczy z przeszłością (*Chodzi o przepędzenie starodawnych wron, ich archaicznej czerni*, jak pisze w wierszu *Nieprawidłowość*). Na gruzach archaicznego świata, na ruinach romantyzmu, odkryć i wojen zbudować można według Wirpszy tylko studio teatralne, spotworniały amfiteatr naszej cywilizacji, skąd rozlegnie się pusty śmiech, a aktorzy zagrają historyczne role. Jednocześnie i wzajemne nakładanie się obrazów, inwazja sztucznych ruchów, powtarzanie reakcji to – jak mówi Wirpsza – obramowywanie i umiejscowienie historii. Tym samym poeta przyznaje, że nie ma absolutnie żadnej logiki życia i historii – to, co się wydarza, jest niepowtarzalne i nieuzasadnione. Dlatego też wprowadza kategorię *widowiska*, w którym wartości i idee, sytuacje i postawy są tylko emblematami przenikającymi się nawzajem. Emblematami pozbawionymi zaczepienia w czasie i przestrzeni. Jest to „mruganie” (zob. wiersz *Fachowcy*), które tworzy historię. Mruganie, a więc tworzenie nie na serio, projektowanie sztucznych układów, *fachowa sprawność fachowców* i nic więcej.

Widowisko jest utożsamione z zakłamaniem. To zresztą jedno z najczęściej użytych słów-klucz (kłamstwo, zakłamywanie się, zakłamanie,

skłamanie). Poeta musi k ł a m a ć , aby uzyskać *godność filozoficzną* (zob. wiersz *Zakłamanie*), dlatego też używa języka oderwanego od życia, języka, który jest narzędziem fikcji. A tworzenie kłamstwa stanowi *trudną pracę wewnętrzną* (tamże). Dlaczego trudną, jeśli podstawą kłamstwa jest nic innego jak przypadek? Wirpsza jednak dodaje: kłamstwo musi być świadome i wsparte rozumem, w przeciwnym razie poeta nie osiągnie harmonii. Dziwne to zestawienie – kłamstwo i harmonia, ale tylko dzięki niemu ochrania Wirpsza swoją konwencję. Gdyby nie było takiego zastrzeżenia, łatwo by można spłycić jego postępowanie. Jednocześnie poeta robi oko do czytelnika i do własnego tekstu. Nie chce uchodzić za głosiciela prawdy, buntownika, wieszczka etc. Słowom każe dziwić się sobie, zdaniom odrywa konteksty, wierszom nie narzuca żadnych haseł. Wiersz istnieje, ale nie wskazuje na nic realnego, ani na przeżycia, ani na rzeczywistość. Jediną nauką, jaka płynie z prawdziwej poezji – zdaje się mówić Wirpsza – jest potępienie „przeraziłowej” symetryczności. Tylko to, co walczy ze sobą, co zgrzyta i nie pasuje, ma oczywisty sens artystyczny. Prostota i ład są głównymi winowajczyniami złego gustu, dlatego też lepiej poprzestać na prawdzie cząstkowej, ponieważ *Część jest równa całości* (w wierszu *Ręka boża*). Stąd idea pojedynku (między dwoma słowami, dwoma znaczeniami, dwoma obrazami itd.). Cios za cios, na sztych odpowiedzieć sztychem, zetknąć ze sobą dowolnie wybranych partnerów i obserwować, co z tego wyniknie. Ponieważ poeta nie zna wyniku gry, nie może opowiedzieć się po żadnej ze stron. Poza wyczerpaniem środków technicznych, niczego więcej wiersz nie może przekazać. I to właśnie przede wszystkim Wirpsza podkreśla w swej poezji (*każdy/ Nowo położony pasjans zmienia świat nie interpretując go*). Zmieniać układy, ale nie dokonywać interpretacji. Doszukiwać się podobieństw, ale arbitralnych. Nie uzasadniać, lecz wyrażać. I co ciekawe, dla poety ważniejszy jest opis tej gry, opis poetyki widowiska, ustalanie obowiązującego regulaminu od scenarii, w jakiej gra się rozgrywa.

Także temat wiersza jest zupełnie przypadkowy i mało znaczący. Tak, mało znaczący – ponieważ, jak już powiedziałem, Wirpszy wcale nie

chodzi o opisywanie czy ustosunkowywanie się. Tematem bywa na ogół sam proces powstawania wiersza, a jeśli nie wiersza to zapisu, jakiejś definicji, zaskakującego zestawienia słów. A jeśli już taki temat się znajdzie (wynika on nagle i w sposób wcale nie kontrolowany), to możemy być pewni, że będzie miał ironiczną czy wręcz parodystyczną wymowę (np. prognoza odrastania uwłosienia u smoka lub szukanie podobieństw między kijanką i kijem). Swoją metodę zapisu Wirpsza definiuje mniej więcej tak: *Chodzić będzie o to, by elementy zmieniały/ Się co pochwila, całość zbioru wszakże/ Pozostawała wciąż mniej więcej taka sama*. Ironia poety zawiera się także i w tym, że nie podaje, o jaką całość mu chodzi. Jest to bowiem całość formalna i teoretyczna. Odrzucanie egzystencjalizmu, wyprało poezję Wirpszy z ludzkiego cierpienia. Przekreślenie realizmu, wzmogło zainteresowanie językiem jako nieograniczoną przestrzenią wolności. Kategoria przypadku pomogła uwierzyć poecie, że wszystko, co powstaje w języku – bez względu na presję standardowej hierarchii wartości i tradycyjnego gustu – jest przekazem jakiejś, trudnej do zdefiniowania prawdy. Dlatego „uzasadnione” są takie zdania, jak *Ich obrazy sennie będą lodowcowe, czyli/ Dyluwialne, przedstawiające wtapianie/ Się gnomów podobocnych w ciekły/ Rytm nietemperowanej próżni śródgalaktycznej*. Trudno ukryć grymas zdziwienia po przeczytaniu takich zdań. Ale jeśli się weźmie pod uwagę ironiczny stosunek Wirpszy do poezji, która wie z góry, która odpowiada na zapotrzebowanie tej czy tamtej strony, która dotyka problemu jak dotyka się nowo kupionej koszuli? Bezpieczniej – sugeruje poeta – balansować na krawędzi kiczu, niż tworzyć kicz myślowy i artystyczny. Nie wnikam w tej chwili, czy Wirpsza w swym radykalizmie miał rację i w jakim stopniu zrealizował swoje zamierzenia, bo to temat do głębszych studiów. Odnoszę jednak wrażenie, iż jego konsekwentna postawa, tak samotnicza we współczesnej polskiej poezji, jest po części rezultatem nieufnego stosunku do jednoznacznych odpowiedzi i tzw. życiowych problemów. *Każda bowiem odpowiedź byłaby czytym totrostwem,/ Nie czystym nawet, lecz brudnym; bo jeśli się sprawdzi – co wtedy?* ■

**OGŁASZAJ SIĘ
W „POGLĄDZIE”**

Jakub Jahn

Postawa obserwacyjna

Trzy nowele składające się na najnowszą książkę Ewy Bieńkowskiej (*Droga na południe, Kopuła, Rzymianin*) są hołdem złożonym kulturze Italii. Ich forma jest czymś pośrednim między esejem o sztuce a prozą fabularną. To rozłamanie gatunkowe, zresztą jak należy sądzić – przez autorkę wcale nie zamierzone, nie pozwała jednoznacznie osądzić, czy *Dane odebrane** są dziełem udanym czy nieudanym. W każdym razie czytelnik stoi przed dylematem trudnym do rozwikłania, bo z jednej strony zachwyca się wspinałymi opisami pejzażu włoskiego, jego architektury i malarstwa, a z drugiej irytuje go nieprawdopodobieństwo psychologiczne bohaterów, płaska warstwa fabularna i egzaltacja zarówno narratora, jak i głównej postaci, wiążącej poszczególne części tryptyku. Tą główną postacią jest młody przybysz z kraju (początkujący poeta w *Drodze na południe*, doktorant w *Kopule* i historyk sztuki w *Rzymianinie*), który onieśmielony wielkością i urodą otaczającego go krajobrazu, arystokratyzmem ducha przedstawianych mu osób (przedstawicieli kultury i nauki) i niespiesznym tempem życia traci zupełnie swoją osobowość. Już niczego nie pragnie poza oglądaniem, podziwianiem i łapczywym wchłanianiem kolorów, obrazów i dźwięków. Czas dla niego przestaje istnieć – z mapą i przewodnikiem w ręku lub też chaotycznie i żywiołowo poznaje Wenecję czy rzymskie Zatybryze. Wszyscy trzej mają do wykonania we Włoszech bardzo konkretne zadania: wziąć udział w międzynarodowej konferencji dysydentów (*Droga na południe*), przeprowadzić rozmowę z wybitnym pisarzem (*Kopuła*), zebrać materiał do pracy naukowej (*Rzymianin*), lecz pod wpływem urody włoskiego nieba zamierzenia te spadają zupełnie na plan dalszy. Pojawia się u nich, jak to autorka świetnie określa, apetyt na oglądanie. Stają się niewolnikami murów, kościołów, placów i wąskich uliczek. Obserwują godzinami, kontemplują, wałęsają się

rozgorączkowani, czują powiew najwyższego piękna. Tego im brakowało: w kraju nie mogli wspiąć się ponad sprawy codzienne, odjęto im możliwość obcowania z arcydziełami, z kulturą olśniewającą mistrzostwem. Kiedy udało im się wyjechać, zrozumieli nagle, ile czasu roztrwonili na sprawy drugorzędne, jak czuli się osaczeni przez szarość, jak brakowało im Zachodu.

Takie postawienie problemu wydaje mi się mocno kontrowersyjne. Bieńkowska konstruuje swoich bohaterów w sposób niesłychanie uproszczony, czyniąc z nich zaginionych prowincjuszy, którzy kłękają przed każdą rzeźbą, przed każdym zachodem słońca, przed każdym obcokrajowcem umiejącym mówić po angielsku. Tym to dziwniejsze, że są to ludzie poważni – artyści, intelektualści – zapraszani na kongresy, na rozmowy o sztuce, umiejący dyskutować o poezji i malarstwie. Autorka widzi w nich tylko zakompleksionych Polaków, gotowych porzucić wszystko dla jednego muzeum czy dalekiego spaceru wzdłuż Canale Grande. I te zachwyty, drobiazgowo analizy każdego załamania światła na filarach, refleksje na temat każdego kroku, każdego wypowiedzianego czy przemilczanego słowa. Jakież to nieprawdziwe, wyolbrzymione, naddane. Denerwujące także przez to, że wiele cech kobiecego charakteru Bieńkowska przenosi bez zastanowienia do osobowości swoich męskich bohaterów. Ich reakcje są typowo kobiece (takie chociażby drobiazgi, jak oglądanie wystaw z futrami, analiza własnego postępowania, dokładne przypatrywanie się mężczyznom, z którymi rozmawiają etc.). Są to oczywiście potknięcia formalne, widoczne wyraźniej przez to, że przyjęto w książce dość tradycyjną konwencję realizmu, przypominającą niestrawny dzisiaj zupełnie *Ład serca* Andrzejewskiego czy *Niebo w płomieniach* Parandowskiego. Bieńkowska chce nas przekonać, że sztuka zniewala nawet najtęższe umysły, że każdy wrażliwy człowiek nie może i nie powinien być obojętny na jej wdzięki, że miłość na tle Piazza della Colonna jest szlachetniejsza od jakiegokolwiek innej.

Rdzeniem pobytu, jak mówi autorka, każdego z bohaterów jest postawa obserwacyjna: *Tego się trzeba uczyć latami. Nie ma innej recepty, to ci mogą zdradzić. Dziwisz się, ile mi tu czasu minęło, tak sobie, bez rezultatów? A ja ci powiem, budzę się jak derwisz w bajce, przekonany, że minęło jedno popołudnie* (s. 153). Pomińmy naiwne, niestety, przekonanie autorki, że każdy inteligentny turysta zwiedzający – nawet po raz pierwszy – wieczne miasto budzi się jak derwisz w bajce i zajmijmy się wyeksponowaną w książce postawą obserwacyjną, bo jest ona bardzo i w szczególności sposób charakterystyczna dla tej formacji intelektualnej z Polski, która jak i Bień-

* Ewa Bieńkowska, *Dane odebrane*. Tryptyk włoski. Puls Publications, Londyn 1985

kowska pozostała po 1980 roku na Zachodzie. Stało się z nią coś naprawdę dziwnego. W kraju swoimi utworami utrwałała pogląd o konieczności wzbogacania polskiej literatury o wartości w niej nieobecne, o przekazywanie prawdy, o etos moralny. Z chwilą zjawienia się w wolnym świecie jej przedstawiciele łatwo zapomnieli o tych postulatach, wskazując pośrednio na ich zbyt doraźny i polonocentryczny charakter. To było już za bardzo peryferyjne, publicystyczne i nieeuropejskie. Dlatego z taką zachłannością rzucono się na wartości kulturalne, przedtem dostępne tylko w podręcznikach czy telewizji, teraz szokujące swą

mieszkania w bloku spółdzielczym), może być tłumaczona także obawą przed łatwym i groźnym dla artysty zeszlizgnięciem się w emigracyjne układy polityczne. Postawa obserwacyjna — wynik nowej sytuacji — ma zepchnąć na dalszy plan postawę moralisty i oskarżyciela, bo w przeciwnym razie polskiemu pisarzowi zostanie odebrana szansa wpisania się na listę światowej, nie żyjącej drobiami elity. A to przecież warunek pogodzenia się ze statusem wychodźcy (nikt już nie chce powtórzyć błędu tylu poprzedników, którzy zagubili się na emigracji podsycaniem narodowych mitów i krajowych kompleksów). Nic też dziwnego, że najbardziej przejmujące dzieła o stanie wojennym powstały w kraju, a nie na emigracji i że są wśród nich pozycje również wydane oficjalnie (np. Białoszewskiego *Oho* czy *Wojna nerwów* Międzyrzeckiego, nb. obie przedstawiające rzeczywistość po grudniu 1981 roku w sposób bardzo polski, to znaczy nonszalancko-ironiczny, parodystyczno-drwiący, w każdym razie daleki od patosu, rozdzierania szat i militarnego języka, co było charakterystyczne dla wielu utworów pisanych pośpiesznie, jakby na zamówienie). Z Zachodu więc wędrują do Polski poetyckie drozdy i kosy, pocztówki z obrazami włoskich mistrzów oraz — już w postaci metaforycznych esejów i druzgocących apeli — rozmyślenia o totalitarnym państwie, tak jakby już nikt nie pamiętał kraju, w którym *romai ci ludzie żyją nad Wisłą i nadwiślański homo sovieticus też istnieje i nie jest wcale pewne, czy dobrze by się czuł w Paryżu* (słowa Stefana Kisielewskiego ze świetnego listu do redakcji *Zeszytów Literackich*, wydrukowanego w nr 13).

Ewa Bienkowska nie jest więc odosobniona w oferowaniu ersatzu. Powtórzmy — nie jest to wcale towar tani i lichej, przeciwnie, niewielu majstrów zdobyłoby się na tyle wyrafinowania i intelektualnego wysiłku, ale jak wiemy, same narzędzia nie wystarczą. I nie wystarczy również stworzyć dzieło dla wytłumaczenia własnych rozterek, tym bardziej jeśli są one w opakowaniu sztucznej europejskości. Autorka *Danych odebranych* przedstawia świat artystów w sposób wyobrażony, a przez to dość stereotypowy, mimo iż jej spostrzeżenia cząstkowe są niesłychanie finezyjne, dialogi błyskotliwe, opisy nasycone. Wszystkie trzy nowele oparte są na schemacie mistrzuczeń i za każdym razem ten drugi niewiele ma do zaoferowania (poza własnym zahukaniem i krajowym kompleksem dorogorzędności). Chce czerpać wiedzę i doświadczenie, ale w gruncie rzeczy wystarczają mu własne obserwacje, dzięki którym tworzy iluzję innej rzeczywistości: *Jak pobudzająco działał na umysł wielopiętrowy gmach iluzji, która się tu na jego oczach budowała, a była prawdziwsza niż wszystkie prawdy razem wzięte*



Dane odebrane
**EWA
BIENKOWSKA**

majestatyczną obecnością, dlatego otwarto szeroko oczy na pejzaż, przedtem odbierany powierzchownie, w typowy dla zabieganego turysty sposób. Zmiana perspektywy z polityczno-polskiej na kulturalno-europejską w wypadku takich pisarzy, jak Zagajewski, który zajął się badaniem życia ptaków i rozwoju roślin w paryskich parkach oraz opisem muzyki Schuberta i Mozarta, czy Barańczak, który w swych barokowo ornamentycznych wierszach studiuje nieporadności językowe polskiego emigranta w Ameryce (ta zmiana widoczna była już w *Tryptyku z betonu, zmęczenia i śniegu*, gdzie autor rozwodził się nad niedogodnościami

(s.169). Wielopiętrowy gmach iluzji nie pobudza jednakże młodych bohaterów Bieńkowskiej do tworzenia przeciwnych wartości, pobudza ich jedynie do kontemplacji, w której rozpywa się bez śladu ich dawna osobowość. Tęsknota do iluzji, która ma być prawdziwsza od wszystkich innych prawd razem wziętych, bierze się – i doskonale to rozumiem – z chęci przewyciężenia szarości rodzimego pejzażu, prymitywności życia, ułamkowej kultury poddanej presji doraźnego systemu politycznego. Autorka szuka ładu i pełni, a także możliwości codziennego obcowania ze sztuką. Bo tylko takie obcowanie buduje człowieka i pozwala mu zapomnieć o chwilowych niepowodzeniach. Prawdą jest gmach iluzji, a fałszem rzeczywistość. Prawdą są pensjonaty z zamieszkałymi tam artystami, Caravaggio i kościół Santa Maria della Salute, a kłamstwem i pospolitością wszystko, co upokarza człowieka. Dlatego postacie Bieńkowskiej nie pamiętają o własnej przeszłości, wolą żyć przeszłością zastygłą w malowidłach.

Pozbawione naturalności, zaopatrzone w pojęcia niedostępne dla zwykłego śmiertelnika zamieniają każdą, najbłahszą nawet czynność w rytuał. Odbierają świat przez szybę, kroczą utartymi ścieżkami w poszukiwaniu – jak pisze autorka – zawiązków bytu. Błąd pisarski polega tu, moim zdaniem, na braku proporcji między akcją a narracją. Ponieważ akcja jest niesłychanie statyczna i właściwie umowna, rozbudowana narracja, wypełniona rozważaniami na temat *elegancji i kultury* (sformułowanie Bieńkowskiej) obnaża jej schematyczność. Nowele nie przekazują prawdy o człowieku, lecz są popisem zręczności stylistycznej autorki i jej błąskotliwej erudycji. Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem literatury iluzji, widzę jednak w prozie Ewy Bieńkowskiej zbyt wiele taniej egzaltacji, która chcąc nie chcąc przesłania mi rzeczy istotne. Podobnie zresztą jak to się dzieje w krańcowo odmiennej prozie, mianowicie w *Braku tchu* Janusza Andermana, gdzie ten typ egzaltacji widoczny jest w emocjonalnie niestrawnych komentarzach do wątpliwej i wyraźnie ciągniętej na siłę fabuły. Jeśli w *Danych odebranych* gmachem iluzji jest świat kultury śródziemnomorskiej, elitarność przeżywania czy perspektywa jasności, to w *Braku tchu* będzie nim naiwność przeżywania, tanja czułośćkowość, brak należytego dystansu. W jednym i drugim przypadku literatura staje się środkiem przekazu, a nie samym przekazem, żeby posłużyć się znanym i wyświechtanym już powiedzeniem wybitnego uczonego.

Jerzy Hoffmann

Mordercy i sędziowie w berlińskiej inscenizacji Dostojewskiego

...na całym świecie nie ma bardziej
nieszczęśliwego człowieka niż ty...

Sonia do Raskolnikowa

W konwencji teatru dźwięków zaczyna się to przedstawienie. W wyciemnionej niedużej salce zachodniobерlińskiego „Junges Theater” – Teatru Młodego spadają na widza, atakują go i ogarniają dźwięki – kroki, odgłosy ulicy, krzyk kobiety i znów kroki, tym razem pospieszne, uciekające oraz zdyszany oddech człowieka.

Stało się. Raskolnikow zamordował, zaoszczędzono nam tym razem rodzajowego, ilustracyjnego obrazu mordowanej siekierą lichwiarki. Zaoszczędzono o wiele więcej redukując tę nową wersję *Zbrodni i kary* do czterech osób, dając w zamian za to Dostojewskiego, którego świeżość i oryginalność interpretacji cieszy.

Adaptacje sceniczne powieści autora *Braci Karamazow* należą do żelaznego repertuaru teatrów, *Idiota* oraz *Zbrodnia i kara* do najczęściej grywanych. Widywałem ją też na scenie szereg razy, także tę, którą przywiózł tutaj z Polski Andrzej Wajda na berlińską Jesień Artystyczną w ubiegłym roku. Udratyzowaną opowieść o Raskolnikowie oglądaliśmy już w konwencji rodzajowej, psychologicznej, moralitetowej. Kiedyś oglądałem w Polsce przedstawienie *Zbrodni i kary* w inscenizacji młodego i zdolnego reżysera jako projekcję koszmarnego snu z wszystkimi tego surrealistycznymi i symbolistycznymi konsekwencjami. Było to przedstawienie sugestywne i gęste w niesamowitej atmosferze i scenografii i cytatami jakby z poetyki *Psa andaluzyjskiego* Bunuela i Salvadore Dali.

Na premierę *Raskolnikowa* — taki jest tytuł przedstawienia, szedłem nie oczekując nic szczególnego; popularność, więcej nawet, bo zafascynowanie dramaturgią rosyjską jest we współczesnym teatrze niemieckim duże. Ale praktyczne konsekwencje tego o wiele skromniejsze. *Trzy siostry* Czehowa w inscenizacji Petera Steina sprzed kilku lat będą długo chyba stanowić niedoścignity wzór, choć najnowszy Dostojewski w realizacji „Junges Theater” z pewnością dopisuje tu godny uwagi ciąg dalszy.

W ciekawie zredagowanym programie teatralnym zaraz na pierwszej stronie twórcy przedstawienia zacytowali Bachtina. Zdanie *Dwie myśli oznaczają u Dostojewskiego dwóch ludzi, bo każda myśl reprezentuje przeciw jednego pełnego człowieka...* wydaje się stanowić motto tego przedstawienia. Niemiecki Teatr Młody nie jest z pewnością pierwszą sceną, która próbuje otwierać Dostojewskiego kluczem Bachtina. Jednak ta próba ma tu ponad wszelką wątpliwość konsekwencje formalne o szczególnym znaczeniu.

Akcja sztuki zaczyna się od pierwszej rozmowy Raskolnikowa z Porfirem, ale na scenie jest jeszcze ktoś trzeci, podobnie jak tamci dwaj ubrani w stary, skórzany, zielonkawy płaszcz. Ktoś, kto słucha uważnie, powtarza wypowiedzane zdania, wypowiada głośno myśli. Kto to? Alter ego Raskolnikowa, szatan czy może sam autor? Na tej uniwersalistycznej, symultanicznej scenie jest także od początku postać młodej dziewczyny, która nie wypowie w trakcie przedstawienia ani jednego słowa. Postać, którą określono w programie jako Sasiadkę, oszczędnie, lecz sugestywnie grana przez Jasmin Roecker. Jej działania są proste, nieskomplikowane. Stanowią też zamierzony kontrapunkt zwyczajności do tego, co jest scenicznym udziałem tamtych. Nie przypadkowo dźwiga ona i rozwiesza na sznurach bieliznę wtedy, gdy po raz



pierwszy zjawia się na scenie Sonia i kwiatami w ręku.

Wiadomo już także, że akustyczne tło integruje sceniczną akcję, zagęszcza atmosferę; w izolowany świat moralnych racji wdiera się raz po raz odgłos zbitego naczynia, śpiew ptaków, szczekanie psa; świat dźwięków nabiera w scenicznym kontekście nowych wymiarów i dodatkowych znaczeń.

Upływa nieco czasu, zanim widz orientuje się dokładnie w inscenizatorskim pomysłe: młodzi mężczyźni na zmianę grają Raskolnikowa i Porfirego, przejmują od siebie role, partnerują sobie wzajemnie pokazując w ten sposób jednocześnie anatomię moralną sędziów i morderców we wspólnym przenikaniu się — klucz Bachtina — teoria wewnętrznej polifonii Dostojewskiego demonstrowana jest tutaj praktycznie i w sposób teatralnie bardzo organiczny.

Kulminacyjnym punktem tej koncepcji, jak i całego przedstawienia jest decydująca rozprawa czyli ostatnia rozmowa między Porfirem a Raskolnikowem. Trzej aktorzy wymieniają tu długi czerwony, oznaczający postać sędziego szal niemal błyskawicznie i założenie „każdy jest każdym”



— osiąga tu teraz swój pełny wymiar. I pewnie staje się także teraz, że to właśnie ta polifonia zadecyduje o sukcesie przedstawienia. Scena, kiedy dwóch Porfiryich jednocześnie rozmawia z osaczonym Raskolnikowem, dramatyczną kodą wieńczy koncepcję. Potem zostaje już niewiele — aktorzy ułożą elementy scenografii i rekwizyty z powrotem do punktu wyjścia, tak aby stanowiły początek inscenizacji. Samotny Raskolnikow wykrzyczy w widownię: *...gdzie jesteście wszyscy, dlaczego mnie nikt nie słucha, dlaczego nikt nie słucha?* Reszta jest milczeniem.

Zespół Teatru Młodego potwierdza jego nazwę. „Junges Theater” powstał przed pięciu laty, jego pierwszą premierą była sztuka Edwarda Albee’go *Kto się boi Wirginii Woolf?*, którą zagrano ponad sto razy. Inscenizacja *Raskolnikowa* według Dostojewskiego jest 26 premierą teatru, który osiąga cztery do pięciu premier rocznie. W ciasnych pomieszczeniach i niełatwych warunkach każdej realizacji jest to sporo biorąc chociażby pod uwagę fakt, że teatr nie posiada stałego zespołu, do każdego przedstawienia angażując aktorów z zewnątrz.

A jednak udało się organizatorom stworzyć tu teatr profesjonalny, objęty już od początku bieżącego roku stałą dotacją senatu. Teatr o ciekawym współczesnym repertuarze, gdzie takie pre-



miery jak *Nieporozumienie* Camusa, *Wyspa Fugarda*, czy *Dom Bernardy Alba* Lorci coś w geografii teatralnej Berlina Zachodniego znaczyły.

Aktorstwo tego teatru choćby z racji dość przypadkowego angażowania wykonawców jest nierówne. Ale o kilku rolach rosyjskiej premiery wspomnieć jednak z pewnością warto i należy. Są to przede wszystkim na przemian grający role Raskolnikowa i Porfirego mężczyźni — zadanie, jakie postawił im inscenizator do łatwych na pewno nie należy. Stała zmiana postaci uniemożliwia praktycznie pełne ich wykreowania. Nie pozwala na wykończony w szczegółach aktorski portret. A jednak trzech młodzi aktorzy poradzi sobie z narzuconymi przez koncepcję komplikacjami nadspodziewanie dobrze tworząc w niektórych scenach postaci pełne i plastyczne, takie, które nie tylko przekonują, ale i pozostają w pamięci. Najpełniej udało się to chyba Toniowi Arango, szczególnie w roli Porfirego i w kapitalnej scenie ironicznej błazenady w drugiej części przedstawienia. Harald Effenberg z kolei był sugestywnym i przekonującym Raskolnikowem ze wszystkimi bogactwami tej postaci zarówno u Dostojewskiego, jak i w koncepcji reżyserskiej Ingrid Kaehler, gdzie zarówno sędzia, jak i morderca poruszają się w kole jednocześnie dramatu i groteski, aż do tragifarsy niemal. Raskolnikow nosi chwilami cylinder i frak, co nadaje mu paradoksalny na pozór ton swoistej clownady, w rzeczywistości jednak





wymiar dramatu znacznie pogłębia. Trzecim z wykonawców ról męskich jest Frank Thomas Mende, nie tak może pełny w wyrazie, jak jego koledzy i zbyt zewnętrzny. W sumie i on jednak przyczynił się w tym zespole do sukcesu przedstawienia. Nieszczęśliwą i tylko niestety nieszczęśliwą Sonię grała Nora Bendig, przekonując mnie raz jeszcze, że wielki pisarz rosyjski nie ma raczej szczęścia do wykonawczyń tej roli na scenie. Wytworzył się już stereotyp Soni, szlachetnej, dobrej dziewczyny, słodkiej, rozumiejącej wszystko i wszystko przebaczącej, budzącej współczucie i litość. Odbiera to przecież krwistość i kobiecość tej postaci, pokazując wykonawczynię w bardzo przestarzałej teatralnie konwencji „pierwszej naiwnej”. Tak było i tym razem – wielka miłosna scena Raskolnikowa i Soni na początku drugiej części obsuwała się stale w płaskość; melodramatyczne i naiwne tony kłóciły się z drapieżnymi i niebanalnymi sytuacjami scenicznymi.

Ingrid Kaehler – inscenizator tego przedstawienia, a jednocześnie kierownik artystyczny Teatru Młodego, artystka pochodząca zresztą z NRD, stworzyła przedstawienie niełatwe w odbiorze, ale jednocześnie świeże i dość oryginalne. Odkrywające nam jeszcze innego Dostojewskiego. Co, jak wiemy dobrze, łatwe nie jest. *Raskolnikow* to także spektakl, w którym nie ma przypadkowości. Precyzja i celowość decydują tu o kształcie przedstawienia przemyślanym do końca – kiedy Sonia mówi do Raskolnikowa: *...weź swój krzyż, pochyl się i dźwigaj go na swoje krzyżowej drodze...*, w oddali pieje kur, tak jak wtedy w Ogro-

dzie Oliwnym. Kiedy zapytałem jednego z realizatorów, czy inscenizację zainspirowały w jakiś sposób przedstawienia Dostojewskiego pokazane tu w Berlinie Zachodnim przez Wajdę, zdecydowanie zaprzeczył. A jednak oglądając przedstawienie myślałem raz po raz o *Nastazji Filipownej* polskiego reżysera, i tam, i tu swoisty neoekspresjonizm teatralny, i tam, i tu redukcja postaci i akcji scenicznej do minimum, a także gęsta i aż bolesna chwilami atmosfera. Adaptacja końcowej sceny *Idioty* Dostojewskiego przyjęta została wtedy w Berlinie niezwykle przychylnie, a tutaj?

Premierę ozdobiła między innymi imponująca sylwetka bawiącego tu właśnie rosyjskiego pisarza emigracyjnego Lwa Kopelewa z emblematem



polskiej „Solidarności” w klapie garnituru. Korzystając z okazji zapytałem go o wrażenia — wyrażał się o przedstawieniu zgoła entuzjastycznie. Mówił o wykorzystaniu rozważań Bachtina, o trafnym zakończeniu inscenizacji pytaniem bez odpowiedzi, o bardzo dobrej grze męskiej części obsady, o współczesnym i świeżym pokazaniu wielkiego rosyjskiego autora.

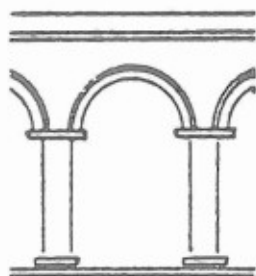
Jedną z przychylnych zresztą recenzji, jaka ukazała się w berlińskim dzienniku *Tagesspiegel* zatytułował autor *Pościelowa bielizna nad przepaściami duszy* (Bettwaesche ueber Seelenabgruenden).

Myślę, że niedużą salkę ambitnego teatru na Kreuzbergu długo jeszcze będą wypełniać widowie tego przedstawienia, będącego wyraźnie, co

nie często się ostatnio w teatrze zdarza, wynikiem dobrego porozumienia między zamierzeniem realizatora a wykonawcami.

We wspomnianym na wstępie programie aktorzy wypowiadają się krótko na temat swego stosunku do literackiego tworzywa. Jeden z nich Raskolnikow-Porfiry — Effenberg mówi: *Dlaczego gram w tej sztuce? Dlaczego Raskolnikow idzie na Sybir?* Zapamiętałem to zdanie i to przedstawienie. ■

„Raskolnikow” według powieści F. Dostojewskiego „Zbrodnia i kara”; adaptacja: Wolfgang Schwarz, Ingrid Koehler; reżyseria: Ingrid Koehler; „Junges Theater” — Friesenstr. 14; premiera: 18 marca 1986.



ARKADY

KSIĘGARNIA POLSKA.

KUNST UND -BUCHHANDLUNG

NOWA POLSKA KSIĘGARNIA
W HAMBURGU

SPRZEDAŻ KSIĄŻEK WYDAWNICTW
EMIGRACYJNYCH I KRAJOWYCH,
RÓWNIEŻ ANTYKWARYCZNYCH.
PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ

KSIĘGARNIA POLSKA
„ARKADY”

ALSTERARKADEN 10
2000 HAMBURG 36

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

DWUDNIOWY „TRYBUNAŁ” O AFGANISTANIE

(20 marca – *Tagesspiegel*) Przewodniczący parlamentarnej komisji spraw zagranicznych, Stercken (CDU) odpiernając sowieckie ataki przeciwko odbywającemu się w Bundestagu dwudniowemu „przesłuchaniu” w sprawie Afganistanu powiedział, iż również sowiecka strona była zaproszona do przedstawienia swego stanowiska. Według Sterckena reakcja Moskwy wskazała, gdzie należy szukać winnego nieludzkiej wojny w Afganistanie. Podczas dwudniowych obrad zorganizowanych przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych eksperci z kraju i zagranicy oraz przedstawiciele afgańskiego ruchu oporu oskarżyli Sowietów o naruszanie praw człowieka i ludobójstwo w Afganistanie.

PAPIEŻ ODWIEDZI SYNAGOGĘ

(20 marca) Jak podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* papież Jan Paweł II ma zamiar odwiedzić w dniu 13 kwietnia rzymską synagogę i spotkać się z przedstawicielami włoskich Żydów. Będzie to pierwsza w dziejach wizyta głowy Kościoła katolickiego w synagodze. Wiadomość ta wywołała pozytywny odźwięk wśród włoskich Żydów.

STATUS OBSERWATORA W ONZ

Volker Neumann, jeden z trzech postów do Bundestagu z ramienia socjaldemokratów (SPD), którzy niedawno wrócili z Afganistanu zażądał na łamach lewicowo-liberalnego tygodnika *Die Zeit* (21. 03.) przyznania przedstawicielom partyzantów afgańskich statusu obserwatora przy ONZ.

...A IMIĘ JEJ „SOLIDARITAET”

(21 marca) Berliński lewicowy dziennik *TAZ* publikuje ogłoszenie związku więźniów o nazwie „Solidaritaet”. Związek ten powstał w ub. roku, a nazwę swoją wzięt od polskiej „Solidarności”. Obecnie liczy on 2000 członków odsiadujących kary w 230 więzieniach. W zakładach karnych Republiki Federalnej Niemiec i Berlina Zachodniego przebywa

w sumie około 60 tysięcy więźniów. Tyle *TAZ*.

A swoją drogą warto by się dowiedzieć, czy niemiecka „Solidaritaet” troszczy się na przykład o resocjalizację więźniów kryminalnych, czy też jest rodzajem ubezpieczenia dla tych, którzy wpadli. („Solidaritaet” Postfach 301, 4760 Werl 1)

KRYMINALIŚCI Z PRL W WIĘZIENIACH RFN

(Inf. własna) W oparciu o dobre orientowane źródła redakcja *Poglądu* poinformowano, że największą grupą narodowościową w słynnym więzieniu Stammheim koło Stuttgartu, gdzie zwykle toczą się procesy niemieckich terrorystów, są Polacy. Jest ich podobno aż 300, to jest 30% ogólnej liczby więźniów. Podobna sytuacja była w więzieniu na Moabitcie w Berlinie Zachodnim przed kilku laty. W niedawnym spotkaniu z przedstawicielami polskich organizacji w Berlinie poseł do miejscowego parlamentu dr Lange (FDP) stwierdził, że właśnie Polacy są grupą narodowościową, której przedstawiciele najczęściej wchodzi w konflikt z prawem i zapełniają o uświadomienie tego faktu „gościom z Polski”.

KONFLIKT RZĄD – ZWIĄZKI ZAWODOWE

(21 marca – *Sueddeutsche Zeitung*) Niemiecki parlament zatwierdził kontrowersyjną nowelizację § 116 Kodeksu Pracy, to jest ustawy regulującej wypłacanie zasiłków przez Federalny Urząd Pracy dla robotników dotkniętych bezrobociem w wyniku strajków w innych zakładach. Nowa ustawa przewiduje, że w takich wypadkach oddziały FUP nie mają obowiązku wypłacania zasiłków, które powinny obciążać kasę związków zawodowych, co praktycznie oznacza – jak twierdzą przywódcy związków – ograniczenie prawa do strajku, gdyż związki zawodowe nie będą w stanie podołać zwielokrotnionym obciążeniom finansowym. Nowelizacja przeprowadzona na wniosek rządu nie znalazła jednoznacznego poparcia nawet w kołach CDU. Były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe prof. Benda (CDU) dowodzi, iż § 116

w nowym brzmieniu jest sprzeczny z ustawą zasadniczą RFN. Należy się spodziewać, że związki zawodowe i opozycyjne partie polityczne wniosą skargę do Trybunału Konstytucyjnego.

EKSPERCI OD WYWIADU W „POGLĄDZIE”

(24 marca) Niejaki J. G. G. w czołowym dzienniku koncertu Springera *Die Welt* uznał Ilonę i Piotra Lont-Begerów, którzy napisali dla *Poglądu* serię artykułów o szpiegostwie agentów komunistycznych na Zachodzie w oparciu o źródła publikowane w RFN za „ekspertów od tajnych wywiadów”. Pod skrótem J. G. G. ukrywa się boński dziennikarz „specjalista od spraw polskich” Joachim Goehrlich, który już kiedyś uznał „Niepodległość” za organ „Solidarności Walczącej”. Tym razem nie zauważył, że artykuły o szpiegostwie zostały opublikowane nie w *Meinung*, a w *Pogładzie*. Przy lekturze *Poglądu* nie dostrzegł również przypisów, w których nasi autorzy powołują się na opublikowane przez „ekspertów od wywiadów” dane. No cóż, można pogratulować znajomości spraw polskich i warsztatu dziennikarskiego.

POGRÓŻKI W STOSUNKU DO ŻYDÓW

Berliński lewicowy dziennik *Tagesspiegel* (25. 03) zwraca uwagę na kolejne wypadki antysemickich wystąpień. Po raz pierwszy w Berlinie pojawiła się gra, która uprzednio krążyła w Niemczech Zachodnich pt. „Żydzie, nie irytuj się”. Pięciu berlińczyków żydowskiego pochodzenia otrzymało listy z pogróżkami, że zostaną zamordowani, przydzielono im również „numer likwidacyjny” żądając opuszczenia „niemieckiej ziemi”.

AZYL W SZWAJCARII

Szwajcarskie Ministerstwo Sprawiedliwości i Policji uznało wniosek rewizyjny 24-letniego byłego sowieckiego żołnierza w Afganistanie Jurija Powaricyña, przyznając mu azyl polityczny, informuje *Tagesspiegel* (26. 03). Powaricyn opuścił szeregi armii sowieckiej w roku 1981 i został

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

wzięty do niewoli przez partyzantów afgańskich. Dzięki pośrednictwu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przybył do Szwajcarii, gdzie zgodnie z Konwencją Genewską został internowany. Z jedenastu sowieckich żołnierzy, którzy w ten sposób znaleźli się w Szwajcarii, jeszcze dwóch przebywa w tym państwie, zaś jednemu po ucieczce z miejsca internowania udało się uzyskać azyl w RFN. Do Związku Sowieckiego powróciło siedmiu żołnierzy.

SOWIECI RÓWNIEŻ PRZECIWKO KADAFIEMU ?

Były dowódca sowieckiej floty admirał Gorskow – zwraca uwagę *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (26. 03) – jest również przeciwko uznaniu roszczeń libijskiego przywódcy Kadafigo do pasma wód terytorialnych o szerokości 100 mil w wybrzeży własnego kraju w obrębie Zatoki Wielkiej Syryi, czemu dał wyraz w książce pt. „Seemacht Sowjetunion” (Związek Sowiecki – potęgą morską) opublikowanej już w roku 1978 przez wydawnictwo Hoffmann und Campe w Hamburgu. Również wobec innych państw, np. Malty, żądających rozszerzenia wód terytorialnych stanowisko sowieckie było negatywne. Obstawiali oni przy piśmie wód szerokości 12 mil.

Sueddeutsche Zeitung (27/28. 03) podała, że ostatni z internowanych w Szwajcarii żołnierzy sowieckich został odstawiony do ZSSR.

KARDYNAŁ TOMAŠEK PRZECIWKO „PACEM IN TERRIS”

Jak podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (29. 03) Prymas Kościoła katolickiego w Czechosłowacji kardynał Tomašek zaapelował do księży, aby nie poddawali się naciskom sponsorowanej przez państwo kościelnej organizacji „Pacem in terris”, nie wymieniając jednakże nazwy tej organizacji. Jak wiadomo ma ona na celu osłabianie struktur kościelnych w Czechosłowacji.

MNIEJSZE ZAINTERESOWANIE PACYFIZMEM

W tegorocznych marszach wielkanocnych, organizowanych przez niemieckich pacyfistów – odnotowuje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (1. 04) – wzięło udział kilkaset tysięcy osób w 150 miejscowościach. Ogólna liczba uczestników była mniejsza o około 20 % niż w roku ubiegłym. Głównym celem demonstracji były protesty przeciwko amerykańskiemu projektowi obrony rakietowej w kosmosie – SDI.

GORBACZOW CHCE ZNÓW ZOBACZYĆ REAGANA

W przedświąteczną sobotę szef partii sowieckiej Gorbaczow w przemówieniu telewizyjnym zaproponował amerykańskiemu prezydentowi spotkanie „w Londynie, Rzymie czy w jakiegokolwiek innej stolicy europejskiej” w celu podpisania umowy o przerwaniu wszelkich prób z bronią jądrową. Prezydent Regan w natychmiastowej odpowiedzi odrzucił propozycję, twierdząc, że spotkania na szczycie powinny rozpatrywać całokształt stosunków sowiecko-amerykańskich, informuje *Neue Zürcher Zeitung*.

PODWOJENIE KARY

Jak donosi *Neue Zürcher Zeitung*, Sergiejowi Chodorowiczowi, skazanemu w grudniu 1983 roku za „antysowiecką propagandę” na trzy lata obozu przedłużono obecnie karę o dalsze trzy lata z powodu „przekroczenia regulaminu zakładu”. Jak podano z kręgu sowieckich dysydentów, Sergiej Chodorowicz (l. 46) jest chory na serce i stan jego zdrowia jest obecnie zły. Przed aresztowaniem Chodorowicz był kierownikiem podziemnego funduszu pomocy więźniom politycznym, który został założony przez Aleksandra Sołżenicyna.

GRUŹLICA NIEPOKONANA

Jak podaje *Sueddeutsche Zeitung* (2. 04) w ub. roku zanotowano w Szwajcarii 961 zachorowań na gruźlicę. Ilość wypadków zachorowań zmalała od roku 1980 o 10 %.

Według statystyk Szwajcarii, gdzie na 100 tys. mieszkańców w roku 1984 było 14,7 chorych na gruźlicę należy do trzeciej (i ostatniej) grupy krajów posiadających najniższy wskaźnik zachorowań.

PRZEŚLADOWANIA W BUŁGARI

Organizacja pomocy więźniom Amnesty International zarzuciła rządowi bułgarskiemu prowadzenie kampanii ucisku przeciwko tureckiej mniejszości narodowej w Bułgarii. Według AI w ramach tzw. programu „asymilacji” realizowanego przez władze bułgarskie zginęło w grudniu 1984 roku ponad 100 osób pochodzenia tureckiego, a obecnie 250 osób przebywa w więzieniach. W Bułgarii ludność etnicznie turecka stanowi 10 % ogółu społeczeństwa.

KONTAKTY CHIŃSKO-NIEMIECKIE

Jak podaje berliński *Tagesspiegel* (2. 04) sekretarz generalny KPCh, Hu Yaobang odwiedzi Republikę Federalną Niemiec podczas mającej nastąpić w czerwcu podróży po Europie. Obecnie w Chinach bawi delegacja niemieckich socjaldemokratów z szefem frakcji parlamentarnej SPD Voglem na czele.

DEPORTACJA POLAKA ZE SZWAJCARI

Policja dla obcokrajowców w Zurychu odstawiła samolotem do Warszawy 29-letniego Polaka, który przybył do Szwajcarii na kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego i od tego czasu starał się o przyznanie mu statusu uchodźcy politycznego. Rząd szwajcarski jako ostatnia instancja oddalił wnioski Polaka, który powoływał się na swoją działalność w „Solidarności” oraz na fakt, że jest poszukiwany w Polsce listem gończym. Berliński *Tagesspiegel* (2. 03) zwraca uwagę, że Polak, mechanik z zawodu, miał od 4 lat stałą pracę i wkrótce miał ożenić się ze Szwajkarką, co jednak nie przeszkodziło władzom wydać go do Polski.

Jak wiadomo, Szwajcarii zaostrzyła ostatnio swoje przepisy azylowe dokonując kilkakrotnie masowych wydań obcokrajowców do ich

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

Szwedzka Republika Sowiecka?

Państwa neutralne były i są politycznymi dziwolągami, ich status jest trudny do zdefiniowania. Teoretycznie rzecz biorąc prowadzą one politykę nieangażowania się w spory wielkich mocarstw, z drugiej strony Szwecja na przykład wysłała swoje forpoczty do placówek politycznych z reguły jednej tylko strony. Nie można również powiedzieć, powołując się na historię, że neutralność gwarantuje spokój i przetrwanie w przypadku konfliktu zbrojnego na większą skalę. Wprawdzie Szwecja nie zna wojny od przeszło 170 lat, ale neutralność nie pomogła bynajmniej Danii i Norwegii w roku 1940, gdy Hitler uznał, że żywotne interesy Rzeszy wymagają zajęcia tych państw.

Dwuznaczność statusu państwa neutralnego wyraża się m. in. w stosunku rządów tych państw do spraw obronności. Państwu neutralnemu nie wypada mieć dużej armii, twarzą rzeczywistość współczesnego świata będącego stale na krawędzi wojny zmusza do weryfikacji teoretycznych założeń. To pęknięcie w tożsamości państwa neutralnego widać na przykładzie stosunku szwedzkiego rządu socjaldemokratycznego – niewiele od tego wzoru odbiegały dwa, kolejne rządy burżuazyjne w latach 1976-81 – do obronności i wojska. Szwecja armię ma, a jakże, ale niewielką, niedoinwestowaną, przestarzałą – z wyjątkiem lotnictwa, z zapleczem źle wyszkolonych rezerwistów.

W latach sześćdziesiątych budżet wojskowy Szwecji wynosił 4,5 % NPG. *The Economist* stwierdził, że Szwecja stanowiła wówczas „stabilny czynnik na północny Europy”. Wkrótce potem jednak zgodnie z zasadą krok do przodu, dwa kroki do tyłu, socjaldemokraci zafundowali na odwrót w dziedzinie obrony narodowej. Udział armii w dochodzie narodowym spadł do 3 %. Okres powszechnej służby wojskowej został skrócony do 7,5 miesiąca. Broń pancerną zredukowano do czterech brygad, których wyposażenie w połowie stanowią przestarzałe czołgi Centurion. Zmniejszony został także stan posiadania floty wojennej i wojskowego lotnictwa. W sumie siła uderzeniowa szwedzkich sił zbrojnych w ciągu ostatnich 15 lat zmalała o połowę. W tym okresie armia szwedzka nie dostała pieniędzy nawet na jeden nowy czołg, stwierdził komandor Hans von Hofsten.

Jednym z możliwych uzasadnień takiego rozwoju sytuacji jest wpływ detente, której Szwecja była gorącym orędownikiem. Jednakże wraz z inwazją w Afganistanie i zduszeniem „Solidarności” era detente skończyła się, miejmy nadzieję, że w takiej formie jak uprzednio, nieodwracalnie. Szwecji jednak z trudnością przychodzi uświadomienie sobie tego. Komentując sprawę bezpieczeństwa Szwecji przy okazji wykładu w Instytucie Spraw Zagranicznych w Sztokholmie niezjący już

dziś premier Olof Palme powiedział: „Nie jestem niespokojny. Przeciwnie, czuję się bezpieczny dzięki naszej konsekwentnej polityce.” Ten sam Olof Palme wkrótce potem w telewizji stwierdził nie bez pewnej satysfakcji, że głównodowodzący szwedzkich sił zbrojnych nigdy nie otrzymał od rządu tyle, ile żądał na potrzeby obronności.

W przeciwieństwie do premiera Palme jego rodacy raczej nie czują się bezpiecznie. Nie mają też wątpliwości, skąd grozi im niebezpieczeństwo – jak wykazało badanie opinii publicznej w ubiegłym roku – czterech na pięciu Szwedów uważa, że Związek Sowiecki jest krajem nieprzyjaznym wobec Szwecji. Nie znaczy to bynajmniej, by ogół Szwedów rozumiał istotę zagrożenia sowieckiego – w Szwecji nikt dotychczas nie śmiał mówić o nim głośno. W tej sytuacji opublikowanie przez dziennik *Svenska Dagbladet* w lipcu ub. roku obszernych artykułów na temat infiltracji Szwecji przez sowieckie służby bezpieczeństwa oraz akcji przygotowania specjalnych sił dywersyjnych przeznaczonych do użycia w Szwecji spadło jak grom z jasnego nieba i natychmiast stało się faktem politycznym. *SvD* oparła swoje artykuły o tajny raport, który w sobie tylko wiadomy sposób uzyskała z kwatery dowództwa armii szwedzkiej. Nic też dziwnego, że władza zareagowała niestychanie szybko i ostro. Na wniosek szefa sztabu rzecznik ministerstwa sprawiedliwości postawił w stan oskarżenia redaktora odpowiedzialnego gazety za naruszenie prawa do wolności wypowiedzi. Godne podkreślenia jest, iż ostatni przypadek postawienia dziennikarza w stan oskarżenia pod podobnym, a nawet cięższym zarzutem (szpiegostwa), zdarzył się w Szwecji przeszło dziesięć lat temu.

Jakkolwiek zakończy się proces przeciwko *Svenska Dagbladet*, nie powstrzyma on raczej trwającej od lata debaty wokół bezpieczeństwa Szwecji i grożącego jej ze Wschodu zagrożenia. Słychać coraz wyraźniejsze głosy, że król jest nagi. W styczniu na spotkaniu z młodzieżą przywódcą najpopularniejszej partii liberałów Bengt Westerberg stwierdził, że jedynym prawdziwym

zagrożeniem dla pokoju na świecie jest dziś Związek Sowiecki. Ostatnio zaś oliwy do ognia dołączył przedstawiciel kół wojskowych komandor von Hofsten w artykułach *Szwedzka Republika Sowiecka? i Czy szwedzkie społeczeństwo o tym wie?* opublikowanych w największym dzienniku porannym *Dagens Nyheter*.

W ciągu ostatnich lat na skutek rozwoju zarówno amerykańskich, jak i przede wszystkim sowieckich sił morskich nastąpiły pewne przewartościowania w planowaniu strategicznym obu państw. Nastąpiło dowartościowanie strategicznego znaczenia mórz. W rezultacie Skandynawia nabiera kapitalnego znaczenia strategicznego w przypadku wojny wykraczającego poza teren Europy. Z jednej strony silne zgrupowanie sowieckich sił morskich Floty Północnej w Siewieromorsku-Murmańsku wisi nad północną flanką NATO jak miecz Damoklesa, z drugiej jednak daje Amerykanom możliwość szachowania Sowietów w jednym z najczulszych punktów. Jeśli dodać do tego, że sowiecka Flota Bałtycka jest w jakimś sensie zamknięta na Bałtyku, to życiowe, strategiczne znaczenie Skandynawii dla Sowietów staje się oczywiste.

Nic nie wskazuje na to, by imperium sowieckie nagle straciło swój ekspansywno-agresywny charakter. Z punktu widzenia ofensywnej taktyki sowieckiej kluczowe w tym regionie jest opanowanie Norwegii. Umożliwiła to bowiem równocześnie możliwość przesunięcia baz Floty Północnej, która ma za plecami tylko Koło Polarne, bardziej na południe oraz uzyskanie punktu oparcia dla ewentualnej próby opanowania szlaku transatlantyckiego. Najkrótsza i właściwie jedyna droga do Norwegii prowadzi przez Finlandię i Szwecję.

Komandor von Hofsten twierdzi, że jedynym wariantem otwarcia działań wojennych, który daje Sowietom szansę osiągnięcia „życiowo ważnych” pozycji w Norwegii jest błyskawiczny przemarsz przez Szwecję, zanim NATO zdąży przegrupować swoje oddziały i wzmocnić Norwegię. Warunkiem tego jest zaskoczenie Szwecji uniemożliwiające przeprowadzenie mobilizacji na jej obszarze.

Komandor von Hofsten twierdzi dalej, że nawet istniejąca obrona szwedzka — przede wszystkim wysokiej klasy lotnictwo oraz marynarka — odpowiednio rozlokowane i użyte byłyby w stanie powstrzymać sowiecką inwazję przez czas wystarczający do przygotowanie „odpowiedzi” NATO. Dlatego Związek Sowiecki przewiduje w tym wariantcie uprzednie użycie specjalnych oddziałów dywersyjno-sabotażowych. Dobrze umieszczony ładunek wybuchowy jest przecież w stanie wyłączyć z gotowości bojowej znacznych rozmiarów okręt wojenny. Miny morskie można łatwo unieszkodliwić przez przecięcie kabla kon-

trznego lub połączenia kotwicznego. To są trudności, z których wnioski wyciąga na razie wyłącznie Związek Sowiecki. Jak wynika z ujawnionych tajnych materiałów, Sowietci posiadają około 4 tysięcy komandosów przeznaczonych do użycia w Szwecji. Von Hofsten twierdzi, że są oni szkoleni przez dwa lata w specjalnych warunkach, m. in. „trenując” na skazanych na śmierć więźniach. W sumie w tych elitarnych oddziałach przeszkolono dotychczas około 150 tysięcy komandosów.

Ze skrupulatnymi przygotowaniem do wspomnianego otwarcia wojennego na Półwyspie Skandynawskim wiązać się również rajdy sowieckich łodzi podwodnych w wybrzeży Szwecji. Dziś przyjmuje się, że Szwecja narażona była na niepożądane wizyty sowieckich łodzi już w latach siedemdziesiątych. Ale dopiero po skandalu w 1981 roku Szwedzi uzyskali namacalny dowód w postaci łodzi U-137, która na skutek awarii zmuszona była wynurzyć się w środku morskiej bazy wojaskowej w Gasefjarden koło Karlskrony. Dokładnie w rok później obrona wybrzeża została ponownie zaalarmowana i rozpoczęła polowanie na nieznaną łódź podwodną wokół bazy morskiej Musko i Harsfjarden. Powołana została specjalna komisja pod przewodnictwem ówczesnego ministra obrony Svena Anderssona, która miała zbadać sprawę. W kwietniu 1983 roku komisja przedstawiła raport nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do szeroko zakrojonej akcji penetrowania szwedzkiego wybrzeża przez sowieckie łodzie podwodne. Stwierdzono kilkadziesiąt naruszeń szwedzkich wód terytorialnych w latach 1980-82 oraz ustalono, że w październiku 1982 roku w akcji brała udział eskadra złożona z nie mniej niż sześciu łodzi podwodnych. Przedstawiono dowody użycia przez „obcą potęgę” mini-łodzi podwodnych poruszających się po dnie morskim na gąsienicach oraz płetwonurków. W następstwie raportu rząd premiera Olofa Palme złożył w Moskwie oficjalny protest.

Rajdy sowieckich łodzi wzdłuż wybrzeży Szwecji powtarzają się regularnie każdej wiosny i jesieni. Szwedzka marynarka wojenna podejmuje dramatyczny pościg za nimi, który za każdym razem kończy się fiaskiem. Dowództwo marynarki twierdzi, że Szwecja nie posiada jednostek morskich ani specjalnego sprzętu umożliwiającego tropienie i niszczenie łodzi podwodnych. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że za rzekomyimi niepowodzeniami marynarki wojennej kryje się w gruncie rzeczy polityczna wstrzeźliwość przed drastycznymi środkami. Zbigniew Brzeziński, były doradca prezydenta Cartera d/s bezpieczeństwa, jest zdania, że rajdy sowieckie mają po części rozpoznawczo-spiegowski charakter. Z faktu kontynuacji penetracji szwedzkiego wybrzeża, pomi-

mo dekonspiracji w Karlskronie, wyciąga on wnioski, że korzyści militarne, jakie Związek Sowiecki odnosi przy tej okazji są większe niż polityczne ryzyko ponownego przyłapania na gorącym uczynku.

Drugim elementem przygotowań sowieckich do operacji wojennej na terenie Szwecji jest działalność szpiegowska. W ostatnich latach rąbek tajemnicy w tej dziedzinie uchylony został przy okazji zatrzymania grup polskich „turyistów” sprzedających w Szwecji olejne obrazy. Grupy te posiadały w sumie 66 różnych map z naniesionymi pozycjami lotnisk, nowych dróg i mostów, magazynów mobilizacyjnych oraz miejsc odpowiadających na lądowiska dla komandosów. Głównodowodzący wojsk szwedzkich skonstatował, że „sprzedawcy” odwiedzili wszystkie oddziały lotnicze w Szwecji. W lecie 1984 roku 60 % lotników rozlokowanych w Jamtland miało wizyty polskich sprzedawców ohrázów. Jest prawdopodobne, że polscy „turyści” mieli m. in. rozpracować personalną obsadę szwedzkiego lotnictwa.

Zainteresowanie komunistycznych aliantów Związku Sowieckiego tą akurat formacją nie jest bynajmniej zaskakujące. Lotnictwo stanowi główną siłę uderzeniową obrony szwedzkiej — wyposażone w 420 samolotów bojowych, w tym 200 wysokiej klasy, wielofunkcyjnych myśliwców Viggen produkcji Saab. Przy ewentualnym nagłym ataku na Szwecję sparaliżowanie szwedzkiego lotnictwa staje się jednym z najważniejszych zadań dla sowieckich oddziałów dywersyjnych. Komandor von Hofsten przyjmuje, że dla profesjonalnie przygotowanych i wyposażonych oddziałów sabotażowych, ubranych w szwedzkie mundury, mających dowódców mówiących po szwedzku, wymordowanie znacznej liczby szwedzkich pilotów nie powinno przedstawiać większych trudności.

Zdaniem tegoż komandora Sowieci wiedzą przerażająco wiele o Szwecji. Wiedzą, jak wiele łodzi podwodnych i ścigaczy rakietowych posiada Szwecja, jak się one nazywają, gdzie stacjonują, a nawet, czy są one wyposażone w broń ostrą czy nie. Wiedzą, jakie flotyle posiada Szwecja i jak są one rozmieszczone. Wiedzą, jak nazywa się każdy oficer na każdym okręcie i w każdej flotylli. Wiedzą, gdzie ci oficerowie mieszkają, a nawet, w którym pokoju mają sypialnię. Wiedzą, jak rozmieszczona jest artyleria nadbrzeżna i znają szwedzkie, morskie zapory minowe. Potrafią się poruszać i odnajdywać podwodne szlaki w szwedzkich portach i bazach wojskowych o różnych porach dnia i nocy, o różnych porach roku. Na swoich mapach mają oznaczone miejsca, odpowiednie do dokowania dla mini-łodzi podwodnych oraz inne, na kryjówki tychże. Najbardziej szokujące jest to, że oprócz działalności szpiegowskiej i penetracji pod-

wodnej głównym źródłem wiadomości dla Sowieców są otwarte, dostępne dla wszystkich szwedzkie rejestry.

Poczta szwedzka dysponuje rejestrem komputerowym o nazwie PAR, z którego można wycisnąć szczegółowe informacje dotyczące zarządu gospodarczego, administracji, obrony itp. PAR jest na tyle finezyjny, że przy jego pomocy przedsiębiorstwa lub prywatne osoby można pogrupować z uwagi na zawód, miejsce zamieszkania, obszar zainteresowań, a nawet stosunki rodzinne. Każdy może więc zamówić i kupić rejestr adresów szwedzkiego sztabu generalnego, rejonów obronnych, punktów poboru, poszczególnych oddziałów piechoty, lotnictwa i marynarki wojennej, szkół wojskowych, zakładów przemysłu lotniczego, stoczni... itp. Podstawowa opłata wynosi 290 koron. Centrala Przetwarzania Danych Administracyjnych DAFA oraz Centralne Biuro Statystyczne dysponują każde własnym rejestrem adresów i telefonów również na sprzedaż. Wszystkie te rejestry są na bieżąco aktualizowane.

„Jesteśmy otwartym społeczeństwem i to jest wartość wbudowana w sam system demokratyczny”, stwierdził Hans Dahlberg, szef biura informacyjnego sztabu generalnego, komentując doniesienia spod znaku „Szwecja — wymarzony kraj dla szpiegów”. „W tej dziedzinie następuje kolosalnie szybki rozwój i nie sposób nagle zacząć się cofać. To jest kwestia do rozstrzygnięcia dla każdej demokracji”.

To, że demokracja ma swoją cenę, jest oczywiście truizmem. Hans Dahlberg nie wnosi tu nic nowego (aczkolwiek można się zastanawiać, na ile ucierpiałyby demokracja, gdyby dane na temat instytucji wojskowych i szwedzkich oficerów wyłączyć z ogólnie dostępnych rejestrów). Ze szwedzkiego punktu widzenia ważniejszy niż koszty własne demokracji jest opór szwedzkiego, lewicowego establishmentu polityczno-intelektualnego przeciwko uznaniu Związku Sowieckiego jako realnego zagrożenia dla Szwecji. Regularne doniesienia o pojawianiu się obcych łodzi podwodnych wywołują falę namiętnych głosów w debatach podważających wiarygodność doniesień wojskowych. Fanatyczni pacyfściści mają zawsze pod ręką dyżurny argument o wymysłach kół wojskowych szukających usprawiedliwienia dla swoich wydatków. Jako efekt pacyfistycznego zamroczenia trudno jednak traktować wypowiedzi byłego ministra spraw zagranicznych Lennarta Bodstroma czy sekretarza gabinetu w ministerstwie spraw zagranicznych Pierre Schori, którzy konsekwentnie starają się podważać wiarygodność doniesień na temat naruszeń granicy albo też ustaleń co do tożsamości sprawców. Trudno powiedzieć, do czego zmierzała polityczna strategia pre-

miera Palme wobec Związku Sowieckiego. Na pierwszy rzut oka sprawiała ona wrażenie niekonsekwentnej. W roku 1983 jego rząd złożył co prawda oficjalny protest w Moskwie, ale równocześnie sam Palme szukał potajemnie kontaktu z Arbatowem.

Można się zastanawiać, czy taka polityka nie zmierza do czegoś w rodzaju neutralnej kolaboracji na wypadek wojny. Trzeba pamiętać, że w roku

1940 rząd szwedzki wyraził zgodę na transport wojsk hitlerowskich szwedzkimi liniami kolejowymi. Odpowiadając na zarzuty antyfaszystowskiej opozycji w związku z tym, członek komisji spraw zagranicznych, socjaldemokrata Vougt stwierdził: „Pociągi nie muszą irytować wielu, ponieważ będą jeździć w nocy”. Można sobie wyobrazić, że za kilka lat inny polityk zapyta: Komu przeszkadzają łodzie podwodne? Przecież one płyną pod wodą?■

Pavel Kohout

W hołdzie Henrykowi

Poniżej drukujemy przemówienie żyjącego na emigracji czeskiego pisarza i dramaturga Pavela Kohouta. Wygłosił je na zorganizowanym przez związek niemieckich pisarzy spotkaniu pod hasłem „O poprawę Europy środkowej” w berlińskiej Akademii Sztuk 14 marca br. Pavel Kohout był członkiem partii komunistycznej do roku 1968; po zdławieniu praskiej wiosny został z partii wyrzucony i otrzymał zakaz publikacji. W czasie pobytu w Austrii w 1979 r. dowiedział się o pozbawieniu go obywatelstwa. Odtąd stale mieszka i pracuje w Wiedniu. Od lat zaangażowany jest w ruch na rzecz praw człowieka w Europie Wschodniej. Niniejsze przemówienie zostało opublikowane w berlińskim dzienniku „taz” (24. 03. 1986) pt. „Eine Rede für Heinrich”. Kohout w ten sposób składa hołd zmarłemu niedawno pisarzowi niemieckiemu Heinrichowi Böllowi.

Europejscy pacyfści i Niemcy są winni temu, drogi Henryku, że po zakończeniu wojny mając 17 lat zostałem komunistą. Ci pierwsi dlatego, ponieważ rzucili mój kraj na pożarcie smokowi w złudnej nadziei, iż ten się nasyci; ci drudzy zaś, ponieważ znowu popadli w pangermańską manię wielkości zmierzającą do wykorzenienia z tego świata wszelkiej niedoskonałości, co kilku członków mojej rodziny przypłaciło życiem. Kiedy wkrótce potem odwiedziłem sentymentalne miasto mojego polskiego dzieciństwa lat trzydziestych i zamiast niego zobaczyłem Auschwitz, Niemcy zaczęli mi się kojarzyć z koszmarem.

Koszmarny ten nie opuszczał mnie nawet wtedy, kiedy obok złych Niemców zza Łaby światu prezentowano również tych dobrych na Wschodzie. Ledwo zamienili oni obóz brunatny na czerwony, a już awansowali z przykładowych uczniów na mentorów. Mając ten fakt przed oczyma, jak i widząc starych nazistów, którzy po przegranej gorącej wojnie wygrali teraz zimną, coraz trudniej było uwierzyć, że Niemcy wyciągnęli z katastrofy naukę, iż nie wiedzą i nie czynią wszystkiego lepiej niż te wszystkie narody — żydowski, słowiański i romański — z którymi nadal musieli dzielić Europę.

Cud nowego zaufania do Niemców zawdzięcza się przede wszystkim takim ludziom jak Pan, drogi Henryku. Pański język był dla ludzi mojego

pokroju nowym językiem niemieckim, początkiem historycznego odprężenia w Europie. Niemcy jak Pan, drogi Henryku, czy też Pańscy koledzy, obojętne czy mieli na imię Siegfried czy Günter, od razu pojęli, że praska wiosna miała znaczenie przełomowe, ponieważ dawała nowe szanse socjalizmowi, a przez to całemu światu. Zagrozało to jastrzębiom na Wschodzie i Zachodzie. I kiedy ci pierwsi zagrożenie to zażegnali, świat dla tych drugich był znów w porządku.

Również Niemcy tacy jak Pan podtrzymywali na duchu liczną i reprezentatywną grupę czeskich pisarzy, którzy prześladowani i zaszczuci przez dziesięć ciężkich lat bronili podstawowych wartości moralnych. Idąc za Waszym przykładem wielu innych w Niemczech — dziennikarzy, kierowników literackich teatrów, wydawców — przyczyniło się skutecznie do tego, że ci wyklęci mogli przetrwać ten okres zarówno psychicznie, jak i materialnie.

Kiedy w roku 1978 udałem się na Zachód — podróż ta bez mojej winy przekształciła się w tymczasową emigrację — zastałem nagłe zmieniły obraz Niemiec.

Strzał ostrzegawczy padł z Haunetal-Krupsis jako odpowiedź na moje starania o poparcie dla Jiří'ego Grušy, doskonałego prozaika, któremu w owym czasie miał zostać wytoczony groźny proces pokazowy z powodu jego książki. Aby

NA CAŁE SZCZĘŚCIE BYLI TACY JAK LENZ I BÖLL

poszerzyć krąg osób stale interweniujących w jego sprawie, poprosiłem o opinię czołowego pisarza młodej generacji, uważając go w zasadzie za ideologicznego sprzymierzeńca. Jego odpowiedź zaskoczyła mnie.

Oto, co pisał: „Ostatnio otrzymuję tak wiele listów od czechosłowackich kolegów, iż czasami myślę, że do tamtejszego ruchu obrony praw człowieka wkradł się jakiś agent CIA lub innej zachodniej służby wywiadowczej, gdyż ja przecież nie jestem odpowiednim adresatem. Jeśli jakiś zachodni prowokator rekomenduje Panu mnie, pisarza, sympatyzującego z DKP (Niemiecka Partia Komunistyczna w RFN – przyp. t.), i jednocześnie np. w zasadzie pozytywnie oceniającego wielkie postępy i zmiany w NRD, to musi chyba liczyć na to, że zajmę stanowisko, które zdyskredytuje mnie w ruchu komunistycznym i socjalistycznym w RFN.”

Tak, drogi Henryku, niemieckiemu pisarzowi z Haunetal-Kruspis nie przyszło do głowy, jak to się dzieje, iż w innym kraju pozytywnych prze-



Pavel Kohout (foto: dpa)

mian jakiegomuś pisarzowi grozi długoletnie więzienie za powieść; chodziło mu tylko o to, by nie utracił politycznego rozgłosu, a jego ruch nie został zdyskredytowany. Jeśli czechosłowaccy pisarze zwracali się z ludzką prośbą do zachodni-niemieckiego kolegi, to nastąpiło to chyba z poduszczeń CIA?

Na szczęście byli tacy jak Lenz i Böll, drogi Henryku, którzy zaraz przeczytali powieść Gruży i ocenili ją jako kawał świetnej literatury. Skłoniło to praskie władze do rezygnacji z dalszych przesładowań.

Po strzale ostrzegawczym nastąpiła kanonada, drogi Henryku, tym dziwniejsza, bo cicha. Człowiek z Haunetal-Kruspis miał właściwie jeszcze najwięcej odwagi. Tymczasem inni, którzy jego stanowisko uzasadniali gruntowniej, stronili od uciążliwej dla nich dyskusji przemieniając się w czarujących cenzorów.

Jedno z najważniejszych czasopism teatralnych w Niemczech zapowiedziało publikację mojego polemicznego artykułu na temat nagle wrogiego odbioru naszych sztuk. Po pewnym czasie jednak redaktor naczelny napisał do mnie: „W pierwszej chwili ucieszyłem się... Kiedy jednak raz jeszcze przeczytałem w trakcie łamania Pański artykuł, nasunęły mi się wątpliwości z powodu waszej zmasowanej krytyki pod pewnym adresem. Sprawę zbadałem. W rezultacie, zdaniem owych osób, o których Pan pisze, nie chodzi absolutnie o polityczne zastrzeżenia, które doprowadziły do negatywnego nastawienia do waszych sztuk, lecz o zastrzeżenia natury estetycznej. Proszę mnie zrozumieć, w takich okolicznościach nie chciałbym publikować Pańskiego artykułu.”

W Niemczech, jak wiadomo, wszystko, co dostatecznie głośno zabiega o rozgłos, posiada od dawna magiczną siłę przyciągania. W zatęchłym pomieszczeniu rozpanoszył się szybko demon porozumienia. Dotychczas pełni zrozumienia wydawcy, kierownicy literaccy teatrów i inni, sami nie wiedząc właściwie dlaczego, zaczęli wyklętych w Czechosłowacji pisarzy traktować z dystansem, aby nie ryzykować posądzenia ich o występowanie się CIA.

Kierownictwo literackie jednej z czołowych scen niemieckich usilnie odradzało wielkiej aktorce przyjęcia roli w mojej ponoć reakcyjnej sztuce *Maria walczy z aniołami*, czego też ona w końcu nie uczyniła. Sztuka, wystawiana w dziewięciu krajach, opisuje los wielkiej damy czeskiego teatru, której właśnie za zaangażowanie po stronie socjalizmu nie wolno od 17 lat występować na scenie. Coś takiego nazwano nagle w Pańskich Niemczech solidarnością, drogi Henryku!

Kiedy wystawienie jednej ze sztuk przemilczanego w Pradze reformistycznego komunisty Ivana Klima (w dodatku w latach młodości więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego) o mały włos również z tego powodu nie zostało stordedowane przez uważających się za postępowych mło-

dych aktorów niemieckich, poprosiłem szefa działu kulturalnego jednego z najbardziej intelektualnych czasopism wśród niemieckich tygodników, aby w otwartej dyskusji zapobiegł nadciągającemu nieszczęściu.

„Jestem redaktorem gazety” – odpowiada on na mój list – „od którego oczekuje się, iż nie zagłupuje się w jeden temat... Przede wszystkim muszę krytycznie przedstawiać tzw. wydarzenia kulturalne. Tak więc na obszerną dyskusję, tak jak ją sobie Pan wyobraża, brak jest miejsca.” I to ostatnio nazywa się w Niemczech dziennikarstwem, drogi Henryku.

STRASZLIWY BŁĄD W ROZUMOWANIU

Natomiast inna gazeta znalazła dość miejsca, całą stronę, na sprawozdanie znanego dramaturga z jego podróży do ZSSR:

„Jest pożałowania godne, że antysowiecka propaganda mówi o rzeczach, które prawdopodobnie nie mają miejsca. Świadectwem tego jest sprawa dysydentów i pozornie duże zainteresowanie nimi u nas. W Związku Sowieckim są oni tak wyizolowani ze społeczeństwa, że nie można sobie tego nawet u nas wyobrazić. Naturalnie nie znaczy to, iż są złymi pisarzami. Trzeba jednak widzieć, że czytelnicy identyfikują się z pozostałymi pisarzami, czego nie można powiedzieć o autorach dysydenckich.”

Błąd rozumowania zawarty w tym stwierdzeniu jest tak straszliwy, że dostaje się gęsiej skórki, podobnie gdy zachodnoniemieckie zakazy wykonywania zawodu porównuje się z naszymi. Ci rzekomi eksperci nie mają pojęcia, jak wysoka jest cena pozostania wiernym wyznawanej prawdy. Czescy pisarze płacą tę cenę od ponad dziesięciu lat. I jeśli ktoś z niemieckich pisarzy na ich kongresie podczas dyskusji o innej zagrożonej literaturze krzyczy, że jego językiem jest niemiecki i że nie chce być obciążany obcymi sprawami, muszę wówczas myśleć o Panu, drogi Henryku, aby nie uwierzył, że znów nadciąga stara niemiecka mania wielkości, tyle, że o innym zabarwieniu.

Kiedy po 1933 r. Lion Feuchtwanger, Stefan Heym, Jan Koplowitz, Willy Bredel, Hedda Zinner, Bruno Frank, Henryk i Tomasz Mann i inni znaleźli się zrozpaczeni najpierw w Pradze, moi poprzednicy czegoś takiego nie powiedzieli; postarali się o to, by prześladowani znaleźli azyl, dach nad głową, pracę, a przede wszystkim szacunek i przyjaźń. Literatura czeska wiernie pomagała prześladowanej literaturze niemieckiej, aż do czasu własnej zagłady.

Kiedy w sąsiednim kraju zagrożona była egzystencja jednego z najlepszych synów Europy i jej najbardziej znaczących pisarzy, przerażająca

większość niemieckich kolegów nie znalazła międy swymi żarliwymi protestami przeciwko przemocy w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej czasu ani ochoty na podobną akcję. Vaclav Havel siedział już czwarty rok w więzieniu, kiedy musiałem prosić i przekonywać ówczesnego przewodniczącego tego związku (związek niemieckich pisarzy – przyp. t.), iż jego interwencja w sprawie uwolnienia Havela na kongresie w Bułgarii nie zaszkodzi polityce odprężenia.

Kiedy zdawał mi z poważną miną sprawozdanie mówiąc, iż działacze związku literatów w Czechosłowacji nic nie słyszeli o tym przypadku, przyrzekli jednak, że Havel zostanie w ciągu dwóch miesięcy zwolniony, doprawdy nie wiedziałem, czy mam to nadal uważać za bezdenną naiwność. Krytyczny stan zdrowia Havela, jak i liczne protesty z całego świata sprawiły w pół roku później, że został on najpierw przeniesiony do szpitala cywilnego, a potem wypuszczony na wolność.

NIEMIECKIE MENTORSTWO PRZYBIERA CORAZ BARDZIEJ NA SIŁĘ

Jak to sobie wytłumaczyć, drogi Henryku, że problem ten pojawił się prawie wyłącznie w Niemczech. Po siedmiu latach pobytu na Zachodzie czuję, jak to niemieckie mentorstwo, którego się boję, przybiera coraz bardziej na siłę. Młode pokolenie nie doświadczyło totalitarnego społeczeństwa i swoje pobożne życzenia, iż „realny” socjalizm jest o wiele więcej wart niż ich ponoć zbutwiała demokracja, uznało za fakt istniejący, a jeśli ktoś popadnie z nim w konflikt, to jest sam sobie winien i staje się podejrzany.

Skołatani problemami swego świata nie są w stanie rozpoznać zasadniczej różnicy: oni, te krytyczne umysły zostałyby jako pierwsi w naszej rzeczywistości wyklęci lub jako pierwsi przystosowaliby się. A ci w Niemczech, którzy mogliby im z pewnością to wyjaśnić, nie zadają sobie trudu przeciwdziałania temu trendowi, wolą być sztandarowymi postaciami w nadziei, że tak przezwyciężą swój „midlifecrisis”. Tak, drogi Henryku, oto w imię ulepszenia Europy środkowej zostaliśmy zakrzyczani przez większość intelektualistów niemieckich uważających się za postępowych. Okrzyczano nas burzycielami marzeń i ładu, gdy tymczasem ci, którzy rzeczywiście niszczą wspólne nam wszystkim marzenie o sprawiedliwym porządku zastępującym kapitalizm, zostali obwołani zwiastunami pokoju. Okupanci i zabraniacze stali się pożądanymi partnerami postępowych Niemców kochających pokój, natomiast okupowanym po raz drugi zatkało usta i to tchórzliwie, bo w zawołany sposób. *

Tak, drogi Henryku, pisarze przemilczani w swej ojczyźnie i bratnich krajach zostali również przemilczani w zachodniemieckich „landach”, odkąd wpadli pod obustronny ostrzał. Przez tych ludzi, których uważali i uważają za naturalnych sprzymierzeńców, zostali w niewidocznym, ale dającym się udowodnić procesie napiętnowani jako dysydenci i zepchnięci w kierunku wojującej reakcji, z którą nie mieli nigdy nic wspólnego i której nigdy nie akceptowali. To całe nieszczerście unaozcniło się w czasie słynnych niemieckich dyskusji o pokoju. Ponieważ nieobecność wyklętych wołała o pomstę do nieba, znaleziono w końcu obłudne rozwiązanie dla spotkania, które odbyło się przed trzema laty właśnie tutaj w Akademii Sztuk. Organizatorzy zaprosili tylko tych, którym nie wolno było opuścić swego kraju, o czym dobrze wiadano. Zgłoszenia pisarzy emigracyjnych, którzy chcieli przyjechać w zastępstwie, pozostawiono bez odpowiedzi. O tym, że niektórzy Niemcy wstydziły się takiego postępowania, świadczy list znanej poetki z Bothel, która musiała opuścić NRD:

„Jakby nie dość było zasłepienia związku literatów, teraz Akademia Sztuk w Berlinie Zachodnim urządza spektakl, na który znowu przyjadą oficjalni urzędnicy z krajów socjalistycznych, a Biermanna, Kopielewa i Pana zapomni się zaprosić. Zaproszonym nie powinno ułatwić się zadania i należy podnieść wrzask. To absurd, ale znów znalazłam się w tym samym miejscu, gdzie trzeba było popierać Biermanna; ludzie tutaj na dłuższą metę nie wydają się cieszyć z naszej obecności.”

Krzyk protestu poetki sprawił, iż zaproszona została grupka ludzi o tych samych zapatrywaniach, tyle tylko, że na znak solidarności z niezaproszonymi zrezygnowali oni z przyjazdu. Tak oto pozbawili się możliwości poparcia sprawy, co ja, drogi Henryku, nazwać muszę pustym gestem.

Ja zaś w świętym przekonaniu, że nasz wypróbowany sojusznik Günter przedkłada nadal morale pisarza nad polityczne pertraktacje, przesłałem na jego ręce list do zjazdu z prośbą o odczytanie. Także ten list padł ofiarą nowej niemieckiej samocenzury, lecz drogi Henryku, historia w moim życiu lubi się powtarzać i tak dzięki zaproszeniu na dzisiejsze – widocznie inaczej rozumiane spotkanie – niech mi będzie wolno z trzyletnim opóźnieniem przeczytać ów krótki tekst, który niestety nic nie stracił na swej aktualności:

„Bez wątplenia utrzymanie pokoju na świecie jest dzisiaj najważniejszym wspólnym tematem. Historia uczy nas jednak, że każdą agresję poprzedza likwidacja praw obywatelskich, które stoją jej na przeszkodzie. Dlatego walka o prawa obywatelskie jest najskuteczniejszą walką o pokój. Przede wszystkim Niemcy powinni to wiedzieć.

Szkoda, że pewna grupa niemieckich pisarzy coraz bardziej przemienia się w kolegium sędziowskie, decydujące, który z ich kolegów w Europie jest godzien mówić o pokoju. Jeszcze bardziej smutne jest wykluczenie ze spotkania tych, którzy od lat prowadzą pokojową walkę z kłamstwem i niesprawiedliwością – załączkami wszelkiej agresji – za cenę zakazu publikacji, pozbawienia obywatelstwa i kar więzienia. Nie zapraszając ich na dzisiejsze spotkanie niemieccy pisarze w niebezpieczny sposób usprawiedliwiają akcje pewnych rządów przeciwko tym pisarzom. Ponieważ niemieccy koledzy tak jak politycy przedkładają strategię nad moralność, a poza tym unikają otwartej rozmowy, muszą więc pogodzić się z polityczną klasyfikacją swojego postępowania: posługują się oni ową niechlubną metodą „o nas bez nas”, dzięki której w 1938 r. znani demokraci idąc ręką w rękę z niemieckimi faszystami najpierw zgotowali tragedię Czechosłowacji, a później całemu światu.

Nie proponuję bojkotu lub innej broni zimnej wojny jako metody działania. Chodzi mi o to, by ich pokojowy, ale konsekwentny moralnie protest przekonał cenzorów i strażników więziennych środkowo-wschodniej Europy, że wroga kulturze polityka nie opłaca się, gdyż nigdzie nie znajdzie poparcia. Pisarze nie powinni zachowywać się jak politycy-amatorzy, którzy ostatecznie stają się błązami, lecz powinni niezłomnie opowiadać się za tym, co literatura zawsze brała w obronę, a więc przede wszystkim wstawiać się za przemilczanymi kolegami, obojętne, czy jest to politycznie dogodne, czy nie.”

Do starego listu świeży dodatek:

Kto rzeczowo chce ocenić moje życie, musi wiedzieć, iż przemawia tu nie antykomunista zmieniający poglądy, lecz ktoś, kto po wielkim szoku życiowym – odsłonięciu zbrodni Stalina – podjął z większością swego narodu prawie udaną próbę zbudowania socjalizmu o „ludzkiem obliczu”. Jestem człowiekiem, który – po tym jak ta próba przejściowo zniweczona przez siły wydające się obecnie tracić grunt pod nogami – przez dziesięć lat dobrowolnego zesłania zarówno w ojczyźnie, jak i tu i teraz nie wystugiwał się nigdy i nie wystuguje zwolennikom zimnej wojny. Zawsze podziwiałem świetlane strony sowieckiej historii i nowym przywódcą życzę, by ich kraj znalazł na drodze centralnie sterowanej reformy lepszą przyszłość, w czym osobiście chciałbym pomóc.

SOLIDARNOŚĆ WŚRÓD PISARZY

I stwierdzam tutaj, iż znakomici, wciąż przesładowani czeszy intelektualści w nie mniejszym stopniu opowiadają się za światem bez wojny, wyzysku i zanieczyszczenia środowiska niż gros tzw. postępowych intelektualistów Niemiec. Tyle

tylko, że posiadają oni o wiele większe polityczne i ludzkie doświadczenie, a i cena, którą płacą, jest nieporównywalnie wyższa od ceny żyjących w demokracji Niemców. I tego nie należy traktować jako głosu samotnika, lecz jako rozpowszechnione w środkowo-wschodniej Europie odczucie, iż większość niemieckich pisarzy, jak i ludzi kultury odmówiło wszelkiego poparcia walczącym o istotę sprawy. I tak postępują oni nadal, o czym świadczą puste krzesła na dzisiejszym zebraniu.

Wszystko to staje się jeszcze bardziej absurdalne, kiedy porównuje się Państwa solidarność z innymi w oddali, których problemy znaczą Państwo najczęściej tylko ze słyszenia, gdy tymczasem o naszych moście się osobiście przekonać, czego jednak prawie nigdy nie czynicie.

Przed pół wiekiem akt wojny prowadzonej z mesjańskim niemieckim opętaniem zrujnował Europę. Pan, drogi Henryku, przyczynił się w znacznej mierze do tego, że większość Niemców z czasem zrozumiąta swoje zaślepienie. Sądzę, iż Niemcy powinni znów rozważyć, czy obecnie któryś z ich pokojowych aktów prowadzonych z równie mesjańskim opętaniem nie jest w stanie zniszczyć innych wartości.

Uważałybym — a ze mną wielu — za znaczną poprawę nie tylko w Europie środkowej, gdyby owi Niemcy, których przemądrzałość jest niewspółmierna do ich znajomości rzeczy i rzeczywistości, mogli zostać uświadomieni lub przegłosowani przez takich Niemców jak Pan, najdroższy Henryku. ■

Opozycja na Węgrzech

Rozmowa z Gaborem Demszkym

Redakcja: — Jakie cele stawia sobie węgierska opozycja?

Gabor Demszky: — W odróżnieniu od polskiej nie jest ona ruchem społecznym, aktywnie działa przez cały czas zaledwie kilkudziesięciu intelektualistów. Jej trzon stanowili początkowo tzw. lewicowcy ze szkoły marksistowskiego filozofa Gyorgy Lukacsa. Później dołączyli do nich ci, którzy brali udział w rewolucji węgierskiej 1956 roku. Największy wpływ na ukonstytuowanie się opozycji jako zwartej grupy miało powstanie „Solidarności”, ale już wcześniej Polska dostarczała nam wzorów.

Pod koniec lat 70-tych powstał Latający Uniwersytet, grupa socjologów badająca problem nędzy założyła niezależną od państwa organizację pomocy najuboższym — SZETA. W tym samym czasie zorganizowano petycję w obronie uwięzionych działaczy Karty 77, pojawiły się teksty samizdatowe — w maszynopiśmie. W 1981 r. powstało pierwsze bezdebitowe pismo i wydawnictwo książkowe.

Opozycja węgierska nie ma wspólnego programu. Wytworzyła za to swoisty obieg kultural-

ny, w ramach którego prezentowane są najróżniejsze poglądy. Odwołujemy się do dawnej europejskiej tradycji politycznej, dominuje ideologia liberalno-demokratyczna. Nasze cele są dość oczywiste: chcemy, aby władzę sprawował parlament, w którym zasiedliby prawdziwi reprezentanci społeczeństwa, by prasa była wolna, a sądy niezawisłe. Mamy świadomość, że są to cele dość odległe i w tej chwili nie poderwą ludzi do działania. Musimy pamiętać, że żyjemy w kraju, który przeszedł okrutne doświadczenie 1956 roku.

— Występujecie jednak również jako rzecznicy konkretnych, bieżących spraw. Tak było w maju ubiegłego roku, kiedy zdecydowaliście się kandydować w wyborach do parlamentu...

— Nowa ordynacja dopuściła po prostu możliwość zgłaszania kandydatów z sali. Poruszali oni na zebraniach wyborczych szereg drażliwych dla władzy tematów. Byli wśród nich nie tylko ludzie identyfikujący się z opozycją — Laszlo Rajk i Miklos Tomas Gaspar — ale też niezależni pisarze, ekonomiści, rzecznicy ochrony środowiska. Mówili m. in. o nieracjonalnych decyzjach gospodarczych, o tłumieniu wolności słowa, o tragicznej i przemilczanej sytuacji mniejszości węgierskiej w Europie Wschodniej (1/5 Węgrów mieszka poza ojczyzną, w należącym do Rumunii Siedmiogrodzie, na Słowacji i w Jugosławii).

I tak biolog Janos Toth krytykował obłądny projekt wtłoczenia Dunaju w nowe koryto poprzez budowę zapory wodnej Gabčíkovo-Nagy-maros. Uzasadniał, że jego realizacja — ekonomicznie nieopłacalna — będzie katastrofą z punktu widzenia ochrony środowiska, a Budapeszt może nawet zostać pozbawiony wody pitnej (protest przeciwko budowie tamy podpisało kilka tysięcy osób, mimo to zdecydowano się na rozpoczęcie prac korzystając z udzielonych ostatnio na

ten cel przez Austrię kredytów). Ekonomista Tomas Bauer wskazywał na przyczyny stagnacji w gospodarce Węgier. Ferenc Langmar, również ekonomista poinformował o utajnianiu danych na temat poziomu życia: płaca realna w 1985 r. wynosiła tyle, co w 1974, obecnie 30 % ludności ma dochody poniżej minimum socjalnego, a 10 % poniżej minimum egzystencji. Architekt Laszlo Rajk (syn skazanego na śmierć w pokazowym procesie w 1949 r. ministra spraw zagranicznych Węgier) mówił o nieracjonalnych planach rozbudowy Budapesztu; o ograniczeniach cenzuralnych w życiu literackim. Miklos Tomas Gaspar wykazywał, że uchwały parlamentu powstają w rzeczywistości w Biurze Politycznym.

W sumie potraktowaliśmy wybory jako forum dyskusyjne, niepowtarzalną okazję do zaprezentowania się szerszej publiczności, zupełnie innej niż krąg ludzi czytających niezależne wydawnictwa. Od początku było jasne, że kandydaci spoza Frontu Narodowego nie mają żadnej szansy znalezienia się na listach wyborczych. Uważamy jednak, że odnieśliśmy w tych wyborach sukces: nasze wypowiedzi stały się sprawą publiczną. Poza tym przełamaliśmy zakłętą krąg apatii politycznej, w której tkwiło węgierskie społeczeństwo. W agitację przedwyborczą zaangażowały się setki ludzi, głównie młodych. Niektóre koła ochrony środowiska przeprowadziły akcje telefoniczne i ulotkowe, zachęcając do udziału w zebraniach z ich kandydatami. Ponad 10 tysięcy ulotek – nie pochodziły one wcale z mojego wydawnictwa – wydrukowali je sympatycy naszych kandydatów.

– Po raz kolejny sprawa węgierskiej opozycji pojawiła się na pohelsińskim Forum Kulturalnym w Budapeszcie w listopadzie i grudniu 1985.

– Helsińska Komisja Praw Człowieka, która w czasie konferencji w Madrycie zorganizowała szereg niezależnych spotkań intelektualistów m. in. z udziałem pisarzy emigrantów z Europy Wschodniej, chciała zrobić coś podobnego w Budapeszcie. Miało się więc odbyć w hotelu „Duna Intercontinental” paralelne forum na temat sytuacji pisarzy w krajach bloku sowieckiego i na Zachodzie. Przyjechali m. in. przebywający na emigracji pisarze: jugosłowiański Daniłto Kiš i czeski Pavel Kohout, a także Hans Magnus Enzensberger z RFN i Susan Sontag z USA. W ostatniej chwili Ministerstwo Spraw Zagranicznych cofnęło zgodę na wynajęcie sali twierdząc, że „forum paralelne mogłoby zaszkodzić głównym obradom”. Niezależną inicjatywę uratowała węgierska opozycja. Spotkanie odbyło się, tyle że w prywatnym mieszkaniu. To, co mówili tam węgierscy pisarze na temat oddziaływania cenzury na życie literackie w krajach Europy Wschodniej, znalazło odbi-

cie w wypowiedziach delegatów zachodnich na oficjalnej konferencji. W rezultacie jej uczestnicy nie uzgodnili wspólnego komunikatu końcowego. Był to niewątpliwie sukces węgierskiej opozycji.

– Wybory czy forum kulturalne to efektowne epizody w Waszej działalności. A jak to wygląda na co dzień?

– Pewne formy działalności opozycyjnej zamierają. Np. Latający Uniwersytet praktycznie przestał istnieć. Coraz trudniej o lokale na spotkania dla 100-150 osób, a poza tym nie jest to już tak atrakcyjne, to samo można przeczytać w wydawnictwach niezależnych. Nadal działa SZETA zbierając pieniądze i ubrania dla najbardziej potrzebujących, a jej rola przypomina w pewnym sensie charytatywną działalność polskiego Kościoła. Możemy natomiast mówić o prawdziwym rozkwicie niezależnego ruchu wydawniczego.

W latach 1979-80 wszystko ukazywało się wyłącznie w maszynopisie, nawet tak grube pozycje jak *O prawach człowieka w Europie Wschodniej*. Pierwsze nasze książki to m. in. opracowania o Październiku 1956 na Węgrzech oraz o sytuacji węgierskich mniejszości narodowych w Rumunii, Czechosłowacji i Jugosławii, a także dokumenty Karty 77, tekst Porozumień Sierpniowych i statut „Solidarności”. Prawie wszystkie te maszynopisy zostały później wydrukowane, kiedy opanowaliśmy, a właściwie kiedy opanowałem, technikę ramki i sita, która zrewolucjonizowała działalność węgierskiej opozycji. W 1981 roku odbyłem szkolenie drukarskie w Regionie Mazowsze i zaraz potem założyłem wydawnictwo AB, które prowadzi do dziś. Kiedy już było wydawnictwo, znalazły się i powielacze, i dojsca do drukarni państwowych. Wydaję w nakładach 1-2 tysięcy egzemplarzy.

W moim wydawnictwie w ciągu ostatniego półtora roku ukazało się kilkadziesiąt pozycji: powieści, tomików poezji, zbiorów dokumentów, wspomnień (m. in. relacje Węgrów z łagrów sowieckich). Z poloników – wydałem *Raport o prześladowaniach w pierwszym roku stanu wojennego* oraz książkę o Katyniu. Ostatnio opublikowane zostały stenogramy zebrań wyborczych, w których występowali nasi kandydaci. Fascynująca lektura, pokazująca dokładnie mechanizm utracania niewygodnych kandydatów na posłów i wykorzystywanie do tego „aktywu robotniczego” oraz milicji.

Od końca 1983 roku wydałem ponad 19 numerów pisma *Hirmondo* (Biuletyn Informacyjny) z wignetką wykonaną liternictwem „Solidarności”. W założeniu miał on być informacyjno-publicystycznym miesięcznikiem, ale w 1985 r. zrobił tylko pięć numerów. Początkowo *Hirmondo* koncentrowało się na wiadomościach z Polski,

ostatnie numery zajmują się już przeważnie sprawami węgierskimi.

Druga oficyna *Magyar Oktober*, prowadzona przez György Krasso, uczestnika węgierskiej rewolucji, specjalizuje się w opracowaniach o Październiku 1956. Tu ukazał się przekład *Dziennika węgierskiego* Wiktora Woroszyńskiego. *Magyar Oktober* wydał również nagrania węgierskiego radia z 1956 r. Niestety, pomysł kaset nie chwycił, nie było możliwości ich powielania. Wreszcie od niedawna istnieje wydawnictwo *Prąd*, gdzie ukazały się dotychczas trzy pozycje, m. in. 1984 Orwella.

Obraz ruchu wydawniczego na Węgrzech byłby niepełny, gdybym nie powiedział o *Beszelo* („Rozmowa”), wychodzącym od 1981 r. poważnym piśmie społeczno-politycznym, o profilu zbliżonym do polskiej *Krytyki*. Ostatni numer 13/14 ukazał się w połowie ubiegłego roku. *Beszelo*, podobnie jak inne węgierskie wydawnictwa, interesuje się problematyką polską. W specjalnym dodatku ukazały się niedawno np. we fragmentach *Miesiące* Brandysa i *Dwie ojczyzny* J. J. Lipskiego, nowy dramat Mrocha, artykuł Kołakowskiego i Jadwigi Staniszkis. W stopce redakcyjnej figuruje 5 osób, które podają swoje adresy i telefony.

- A co na to wszystko policja?

- Osobiście mam wyjątkowo dobrą sytuację, ponieważ w 1983 r. skazano mnie na pół roku w zawieszeniu na 3 lata za napaść na milicjantów - protestowałem w czasie rewizji przeciwko czytaniu prywatnego listu i pobili mnie. Teraz, gdyby złapano mnie na czymkolwiek, musieliby mnie zamknąć, a że nie chcą robić szumu wokół opozycji - od 2 lat mam spokój. Wcześniej byłem oczywiście obstawiany, fotografowany, przesłuchiwany, miałem rewizje, „nieznani osobnicy” celowali do mnie z rewolweru.

Szczególnie nękany był Laszlo Rajk, który do 1982 r. prowadził jawnie sklepik z niezależnymi wydawnictwami. Trzeba to było w końcu zdecentralizować, ponieważ stała inwigilacja policji i kary pieniężne praktycznie uniemożliwiały działalność sklepiku. Gyorgy Krasso, szef *Magyar Oktober* miał od 1984 r. dozór milicyjny, traktowali go tak ordynarnie, że w końcu dostał ataku serca i wtedy dali mu spokój. W 1984 r. wpadły

dwie maszyny *Beszelo*, ale na szczęście nikogo nie aresztowano.

- Jak widzisz perspektywę opozycji na Węgrzech? Czy tolerancja władz będzie się utrzymywać?

- Zmasowanego ataku na opozycję nie było od 1983 r., kiedy to przeprowadzono serię rewizji i przesłuchań. Obecnie konsekwentnie nie zauważa się jej istnienia. Nie przesładuje się wspierających nas ludzi, aby nie powiększył się krąg zawodowych opozycjonistów.

W ubiegłym roku poszerzono znacznie uprawnienia milicji, uchwalono też drakońską ustawę o obowiązkowym zatrudnieniu. Jak na razie nie są one praktycznie realizowane, ale w każdej chwili może się to zmienić. W węgierskim Politbiurze trwa obecnie dość ostra walka o spadek po Kadarze. On nie musi demonstrować, że ma silną rękę, bo już raz to zrobił, ale jego następcą być może będzie zmuszony do jakiegoś gestu wobec Moskwy.

Do optymistyzmu natomiast skłania fakt, że nie jesteśmy osamotnieni. W ubiegłym roku zaktywizowało się kilku znanych pisarzy; m. in. Istvan Gsurka i Gyula Fekete, oraz byłych działaczy chłopskich. Zorganizowali w Budapeszcie parę klubów dyskusyjnych pod egidą Związku Literatów, Frontu Narodowego i zupełnie nieoficjalnych. Występują przeciw cenzurze, obarczają komunistów odpowiedzialnością za upadek patriotyzmu, podstawowych wartości moralnych, za alkoholizm i kryzys rodziny. Są bardzo radykalni. Władze są autentycznie przerażone, my natomiast zyskaliśmy naturalnego sojusznika.

Rozmawiał: alex

W ubiegłym tygodniu do niezależnej drukarni w Budapeszcie wkroczyła milicja, skonfiskowano sprzęt poligraficzny i wydrukowane materiały. Zamknięto też jeden z oficjalnie zarejestrowanych klubów dyskusyjnych.

(Za: *Tygodnik Mazowsze*, nr 155, 23. 01. 1986).



Gdzie Dali spotyka Drakulę

Ceausescu umacnia pozycję niszcząc swój kraj

Nicolae Ceausescu stylizuje się na postać, która chce być tytułowana jakimś „po-rzymskim cesarzem”. W roku 1974, kiedy objął stanowisko prezydenta, rumuński szef partii zaczął używać ceremonialnej szarfy i dzierżyć złote berło. Surrealista Salvador Dali natychmiast „wysztrzelił” do Bukaresztu telegram gratulując mu nowego, królewskiego symbolu; partyjny dziennik rumuński *Scinteia* przedrukował tę depezę słowo w słowo. W styczniu br., z okazji sześćdziesiątych ósmych urodzin Ceausescu, gazety jak i funkcjonariusze partyjni obwołali Wodza „Osobistością Doskonałą”, „Geniuszem Poliglotą” i „Tytanem pośród Tytanów”. Ostatnio Ceausescu zarządził zburzenie starej, malowniczej dzielnicy Bukaresztu i 40 000 ludzi usuwało ją, aby zrobić miejsce pod wspaniałym pomnik „Ery Ceausescu”.

Rozbudowując swe imaginacje Ceausescu zniszczył gospodarkę Rumunii. Nieugięte obstając przy stalinowskich zasadach centralnego planowania i utrzymaniu wysokich nakładów na rozwój przemysłu ciężkiego, Ceausescu wystąpił z hasłem „20 lat światła”, które w rzeczywistości wpełchnęło kraj z powrotem w epokę ciemności. Posiadanie prywatnych samochodów jest w Bukareszcie zakazane, restauracje muszą być zamykane o szóstej wieczorem, a chłopów pogania się, aby zastępowali traktory końmi i wołami. „Rumuni cofają się – rzekł jeden z dyplomatów w Bukareszcie – co najmniej do XIX, a może i XVIII wieku”.

Na polu międzynarodowym ów „nieprześcigniony strateg między strategami” długi czas zręcznie lawirował między Wschodem i Zachodem. Ceausescu jest jedynym wodzem wschodnim, który zabronił manewrów wojsk Układu Warszawskiego na swej ziemi, odmówił wzięcia udziału w inwazji na Czechosłowację, jak i zignorował bojkot Moskwy w stosunku do Olimpiady 1984 w Los Angeles. Czyniąc tak rumuński przywódca zachowywał względnie dobre stosunki z Zachodem. Waszyngton utrzymuje ciągłe w stosunku do Rumunii klauzulę najwyższego uprzywilejowania, dającą możliwość prowadzenia handlu przy minimalnych taryfach. Jednakże, w miarę jak Ceausescu rozrasta się w swoim despotyzmie, stosunki zaczynają się stawać coraz bardziej napięte.

Główna przyczyna gospodarczej niedoli Rumunii tkwi w obsesyjnym uporze Wodza, by spłacić zagraniczne długi, które w roku 1982 przekroczyły 12 miliardów DM. Jego rząd zdołał już obniżyć zadłużenie do połowy i Ceausescu przyrzeka obecnie wyeliminowanie go do roku 1990.

Aby móc osiągnąć swój cel, zmuszony był eksportować wszystko – od maszyn po wotowinę; rezultaty łatwo było przewidzieć. Ostatniego roku Rumunia wyhodowała siedem milionów sztuk bydła oraz sześć milionów owiec. Ale sklepy mięsne w Bukareszcie otwarte są ledwie po kilka godzin w tygodniu i obywatela zmuszeni są opłacać stojących w kolejkach przepokniów aż do 50 dolarów – średnia tygodniowych zarobków „przeciętnego” Rumuna – aby móc mięso przynieść do domu. „Milicja Gospodarcza” patroluje ulice chcąc sprawdzić, czy aby ktoś z 23 milionów ludzi w kraju nie używa żarówek ponad 40 watowych i czy w domu nie utrzymuje ciepła wyższego niż 16,8 stopni C (54 F). Jednocześnie, w przyciemnionym świetle sklepy są cały czas obficie zaopatrzone w rumuńskiej produkcji lodówki i piecyki. „Nie możesz jeść – rzekł pewien mieszkaniec Bukaresztu – ale zawsze możesz gotować”.

Takie kafkowskie anomalie stanowią rumuńską codzienność. Dla spopularyzowania idei zwiększenia przyrostu naturalnego wprowadzono „premię” w wysokości 125 dol. za każde, po pierwszym narodzone dziecko. Państwo to wydało masę pieniędzy w latach 70-tych na budowę rafinerii i urządzeń petrochemicznych; obecnie wiele z trudem importowanych 160 tys. baryłek ropy naftowej dziennie musi zaspokoić potrzeby nadmiernie rozbudowanych rafinerii i to na poziomie dużo niższym od połowy ich wydajności. Dla wyrównania bilansu rząd zmusza wszystkie rodziny z trzema zdolnymi do pracy do wpłacania na rzecz władz lokalnych 90 dol. rocznie. Ostatniej jesieni Ceausescu zasugerował tajemniczo, iż kraj obetnie swe koszty dodatkowo – poprzez wysyłanie starych ludzi na wieś. Owa bezwzględność wywołuje raz po raz alarm na Zachodzie; człowiek, który sam ogłosił się wielbicielem Władcy Tepesa – XV wiecznego księcia Drakuli, znanego z wbijania na pale i palenia na stosach najeźdźczych Turków – Ceausescu stopniowo zacisnął żelazne kleszcze wokół swego ludu. Na każdym niemal rogu w Bukareszcie można napotkać dwu milicjantów z radijkami „walkie-talkie”, a co trzeci Rumun posądzany jest o współpracę z tajną policją państwową. Najnowszym przedmiotem rządowych szykan stały się dwa miliony etnicznych Węgrów, uskarżających się na dyskryminację. Poza tym amerykańscy duchowni żalą się, iż przesłane dla ewangelickich sekt egzemplarze Biblii zamieniono na papier toaletowy, a kościoły uległy rozspycce.

W trakcie wizyty w Bukareszcie w grudniu ub. r. Sekretarz Stanu USA George Shultz ostrzegł Ceausescu, iż dalsze prześladowania religijne mogą spowodować zniesienie klauzuli najwyższego uprzywilejowania. W odpowiedzi Rumuni wskazali na przyznanie od 1975 r. 150 000 osób prawa opuszczenia kraju. „Nam nikt nie będzie rozkazywał – powiedział przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Klauzula największego uprzywilejowania nie jest przyznawana z racji przestrzegania praw człowieka, lecz wyraźnie ma służyć rozwojowi emigracji; pod tym względem mamy duże osiągnięcia”.

Trudy rozwoju Rumunii popchnęły ją gospodarczo w pobliże sowieckiej orbity. Na ten rok Moskwa zaoferowała swemu nie zrównoważonemu sprzymierzeńcowi – jak się ocenia – 36 milionów baryłek ropy naftowej. Sprzeczności pomiędzy partnerami bloku wschodniego nadal trwają. Wśród uporczywych pogłosek, że Ceausescu cierpi na raka prostaty, ZSSR rozbudowuje swe nadzieje na bardziej posłusznego następcę. Ceausescu ma jednak własną koncepcję. Początkowo faworyzował on swego syna Nicu (lat 35) z myślą o sukcesji; z chwilą gdy Nicu okazał się bardziej play-boyem niż działaczem partyjnym, żona Ceausescu, Elena wysunęła się na czoło. Jest ona obecnie członkiem (pełnoprawnym) KC Partii, zastępcą premiera oraz nadzorczynią policji bezpieczeństwa. Podczas gdy Ceausescu stara się umacniać własną dynastię, wielu jej poddanych trwa w strachu, iż przyjdzie im oddziedziczyć jedynie schyłek i upadek Imperium Rumuńskiego.

(Tłum. a. best)
(Time, nr 13, 31 marca 1986)

**CHCESZ POMÓC
PODZIEMIU W KRAJU?**

**NIE OBCY JEST CI
LOS WOLNEGO SŁOWA
W POLSCE?**

**ZOSTAŃ CZŁONKIEM
WSPIERAJĄCYM
„TOWARZYSTWA
SOLIDARNOŚĆ”**

UNH-

**United
Human
Organisation
-bep-
Verlag AG**



UWAGA!

Wyjątkowo atrakcyjna oferta dla wszystkich
myślących o usamodzielnieniu się!

Dynamiczna firma międzynarodowa wiodąca na rynku w branży: esoteryka, parapsychologia i management, poszukuje jeszcze kilku partnerów z dużą inwencją twórczą. Informacje odnośnie szczegółów uzyskacie Państwo pod adresem:

UNH-bep-Verlag AG,
z.H. Arkadiusz Kazimierczyk,
Thurgauerstr. 40
CH-8050 Zürich
tel. biuro: (01) 302 16 26
tel. prywatny: (054) 65 21 38

albo pod poniżej podanymi adresami:

Niemcy Zachodnie
UNH - GmbH
CP - Tower
Hamburger Allee 2-10
D-6000 Frankfurt/Mein 90
tel: (069) 77 30 42

Austria
UNH-bep-Verlag
Ernst König
Fernkursleiter
Schörghof 332
A-3311 Zeillern
tel. (07472) 6 13 71

Wielka Brytania
-bep-publications Ltd.
46/47 Pall Mall
London, SW 195 JG
England

Pieczeń rzymska

WATYKAŃSKA „OST-POLITIK” – NIE BARDZO ŚWIEŻA HISTORIA?

1. Czytelnicy „Poglądu” wiedzą, a może tylko domyślają się, że Sordello nie jest zawodowcem, gotuje, a raczej pichci sam, i to najczęściej nie w porach posiłku, ale sporadycznie, czasem w środku nocy, gdy męczy go bezsenność albo wilczy apetyt. Lubi być w kuchni sam; przy świetle płynącym z otwartej lodówki – a więc i w niejakim chłodziu – zabiera się do kucharzenia. Czasem kończy się to podaniem do stołu, do druku, kiedy indziej potrawa razem z talerzem ląduje w koszu na śmieci.

2. Gdyby nie list pani Jadwigi Filarskiej z Elbląga do *Polityki* (nr 7, strona 2), schowana kiedyś, na pięć minut – razem z warzywami na najniższej półce lodówki – historia nadawałaby się do kubka. Pani Filarska pisze z Elbląga: *Oglądałam zakończenie Kongresu Intelktualistów i czułam ogromny niedosyt z powodu całkowitego braku zainteresowania tym Kościoła katolickiego w Polsce. Dzisiaj uczestniczyłam dwa razy w nabożeństwie, czekając na list pasterski, na modły wiernych zainaugurowane przez kapłana. Daremnie. Modlimy się o różne rzeczy, niekoniecznie związane z potrzebami ducha, modlimy się za prześladowanych przez reżym studentów itd. Ale o pokój i pomyślność obrad? Pani Filarska deklaruje się jako wielbielka księdza Kudelskiego, „którego drukowaliście parę tygodni temu”; ona również, jak ów odważny kapłan uważa, że tego wszystkiego, co myśli *powiedzieć z ambony nie mogę*.*

3. Nie zamierzam natrząsać się z 76-letniej obywatelki Elbląga. Przeciwnie, jestem jej wdzięczny, że dzięki listowi w *Polityce* przypomniałem sobie, iż mam w lodówce surowiec na kolejną pieczeń. Pobiegnę na gwałt do kuchni, wdarcem się do elektrycznej spiżarni i zabrałem do reanimacji surowca. Czytelnik osądzi, czy się udało; jeśli nie on sam, zrobi to z przyjemnością młody medyk, który nie mogąc znaleźć pracy wśród żywych, najął się do prosektorium. Zobaczymy.

4. Albowiem pani Filarska poruszyła temat, który – z Rzymu widać inaczej. Kościół katolicki w Polsce rzeczywiście, o ile mi wiadomo, nie zajmował się styczniowym Kongresem Intelktualistów; co innego tzw. centrala, czyli Watykan. Dla czego Kościół w kraju zignorował reżymową imprezę, wolno się tylko domyślać. Sądzę, że wy-

ciągnięto wnioski z nieostrożności Księdza Prymasa, tzn. z następstw, jakie może mieć wypowiedź w sprawie dla władzy niezbyt istotnej, aby cofnąć się miała jeśli nie przed fałszerstwem, to przynajmniej przed rozdmuchaniem tejże wypowiedzi do granic wytrzymałości materiału. O niemiłej przygodzie kardynała Glempa donosiło Biuro Prasowe Episkopatu Polski (por. np. *Tygodnik Powszechny* nr 4 z br.): w rozmowie z profesorem Ozdowskim, wicemarszałkiem Sejmu PRL, Ksiądz Prymas zapytany: *Czy mogę pozdrowić uczestników Forum Myśli Katolicko-Społecznej?* odpowiedział: *Tak, proszę pozdrowić, po czym z Życia Warszawy dowiedział się, że jego rozmówca na prośbę Prymasa Polski kardynała Józefa Glempa przekazał uczestnikom wyrazy uznania i szacunku oraz życzenia, aby pokój był drogowskazem odrodzenia moralnego Polaków...*

5. W roli wicemarszałka Sejmu PRL wobec Papieża wystąpił profesor Bogdan Suchodolski. Wystosował on za pośrednictwem ministra Jerzego Kuberskiego *uprzejmy list z datą 31 grudnia 1985, w którym poinformował o Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata, jaki odbędzie się w Warszawie z udziałem licznych przedstawicieli świata nauki, sztuki i kultury* * Suchodolski nie ograniczył się do – suchej informacji: *jako przewodniczący komitetu organizacyjnego wyraził pragnienie, aby Jego Świątobliwość zwrócił się ze słowami zachęty do tych, którzy wezmą udział w warszawskim kongresie. Pierwsze, co przychodzi do głowy, to zdumienie z powodu tupetu organizatorów Kongresu, którzy nie krępują się podjąć próby wciągnięcia w swą inicjatywę Watykanu i osobiście samego Papieża.*

6. Zdumienie jednak budzi również fakt, że na ten list odpowiedziano; oraz – jak odpowiedziano. Podpisany pod watykańską odpowiedzią arcybiskup Achille Silvestrini, sekretarz Rady d/s Publicznych Kościoła (a więc czegoś w rodzaju MSZ-tu), nie ogranicza się do zdawkowych grzeczności. Jak widzieliśmy z cytowanych wcześniej fragmentów, przytacza – biorąc zapewne za dobrą monetę – pewne elementy listu Suchodolskiego (bo skąd by wiedział, że w warszawskim Kongresie wezmą udział „liczni przedstawiciele świata nauki, sztuki i kultury”? sam by na to nie wpadł chyba!). Od siebie – czy od Papieża? – dodaje różne – typowo włoskie zresztą – uprzejmości i ukłony, które dla polskiego czytelnika są wszakże niestrawne! Oto co arcybiskup pisze dalej: *Miło mi przekazać Panu, z upoważnienia Papieża, wyrazy*

* Cytuję za polską wersją listu, nadaną przez Radio Watykańskie 23 stycznia 1986.

uznania dla treści sformułowanych we wspomnianym liście. Potem następuje najbardziej chyba miły warszawskiej władzy fragment, gdzie mówi się, że *Ojciec Święty ze szczególną troską śledzi wszelkie szlachetne wysiłki na rzecz sprawiedliwości i pokoju w świecie oraz zachęca do nich* (doskonale się wśród tych wysiłków lokuje również warszawski Kongres, czemu nie?); na zakończenie zaś czytamy, że *Jego Świątobliwość, składając życzenia, by wspomniany kongres przyczynił się skutecznie do umocnienia nowych relacji opartych na prawdziwej i rzeczywistej solidarności międzynarodowej oraz na owocnym dialogu, prosi Pana Profesora o łaskawe przyjęcie załączonego egzemplarza Orędzia na XIX Światowy Dzień Pokoju z jego własnoręcznym podpisem.*

7. Słowa te brzmią dość dziwnie co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze odnosi się wrażenie, że arcybiskup Silvestrini – który nie dalej jak w końcu października ubiegłego roku skromnie oświadczył podczas konferencji prasowej dla dziennikarzy akredytowanych przy Watykanie, że dyplomacja Stolicy Apostolskiej, pomimo obiektywnych trudności, uważana jest ciągle za najlepszą w świecie – nie wie, do jakiego kraju pisze. Jakie nadzieje na umocnienie rzeczywistej międzynarodowej solidarności wiązać można z reżymem, który w ciągu jednej nocy załatwił własną, wewnątrzkrajową „Solidarność”, a swemu laureatowi Nagrody Nobla – do tego Pokojowej! – przypomina, że nie jest „intelektualistą”, więc nie ma co marzyć o wejściu na salę obrad? Na jakim świecie żyje arcybiskup Silvestrini? Czyżby tzw. watykańska „Ostpolitik” oznaczała wstydliwą chorobę, ukrywaną za ciemnymi okularami? W takim razie – niech ktoś prowadzi ociemniałego! Radio Watykańskie, decydując się po czterech dniach od zakończenia Kongresu zapoznać swoich słuchaczy z tekstem listu – pisanego 15 stycznia br.! – dodaje, że był on pisany w języku włoskim. Chodźmy również głosi, że... Papież o niczym w ogóle nie wiedział! Kto uwierzy, że tego typu korespondencja prowadzona jest za plecami Polaków kiedy: a/ w liście w sposób jawny mówi się o stosunku Papieża do warszawskiego kongresu, b/ w watykańskim Sekretariacie Stanu zatrudnieni są polscy księża – chyba po to właśnie, by wkroczyć do akcji przy takich akurat okazjach. A może nie?

8. Jeśli nie, gotów jestem wyjąć drugi zestaw pytań. Po drugie bowiem – powołując się na pisma Papieża na temat pokoju watykański dyplomata zdaje się zapominać, że w tekstach tych wyraźnie jest mowa o tym, że nie wszystkie wysiłki na rzecz pokoju są „szlachetne”, nie mówiąc już o tym, że w podarowanym Suchodolskiemu Orędziu na XIX Światowy Dzień Pokoju Papież nie ukrywa swoich zastrzeżeń wobec takich ustrojów,

jak ten, co obecnie panuje w Warszawie. A zatem – brak koordynacji, pośpiech, czy – co?

Żeby nie być gołosłownym, zacytuję kilka fragmentów wspomnianego orędzia. W rozdziale drugim, zatytułowanym „Zagrożenie pokoju” Jan Paweł II pisze: *Wszędzie tam, gdzie istnieje niesprawiedliwość, nawet jeśli w chwili obecnej nie ma konfliktu zbrojnego, staje się ona faktyczną przyczyną i potencjalnym zarzewiem nieporozumienia. W każdym wypadku pokój jako wartość w pełnym znaczeniu może współistnieć z niesprawiedliwością.* Uwagę bardziej konkretną znajdujemy w rozdziale trzecim: *„Przewycięzenie aktualnej sytuacji”: Niektórzy uważają, że obecna sytuacja jest stanem naturalnym i nieuniknionym; że stosunki międzyludzkie i międzypaństwowe ma charakteryzować stały konflikt. Ten doktrynalny i polityczny pogląd zostaje wprowadzony w życie w takim modelu społeczeństwa i systemie stosunków międzynarodowych zdominowanych przez współzawodnictwo i antagonizm, w którym zwycięża strona silniejsza. Pokój zrodzony z takiego poglądu może być jedynie „kompromisem”, zasugerowanym przez zasadę „Realpolitik”, i jako „kompromis” dąży nie tylko do usunięcia napięć na drodze sprawiedliwości i równości, ile do opanowania różnic i konfliktów w celu utrzymania pewnej równowagi, pozwalającej bronić interesów dominującej grupy. Jasną jest rzeczą, że „pokój” zbudowany i utrzymywany na niesprawiedliwości społecznej i sporach ideologicznych nigdy nie stanie się prawdziwym pokojem dla świata. Taki „pokój” nie może usunąć podstawowych przyczyn napięć światowych, ani też nie może dać światu takiej wizji i takich wartości, które by mogły znieść podziały na linii Północ-Południe i Wschód-Zachód. Wśród remediów na aktualny stan rzeczy, Papież wymienia „drogę solidarności i dialogu”: *Jest to jedynie możliwa droga. Stosunki polityczne, społeczne i kulturalne winny być przepojone takimi wartościami, jak solidarność i dialog, co z kolei wymaga wymiaru instytucjonalnego w formie specjalnych organizmów wspólnoty światowej, czuwających nad dobrem wspólnym wszystkich krajów* (rozdz. 4).*

Wolno wątpić, czy Jan Paweł II za organizm wspólnoty światowej, zdolny czuwać itd. – uważa akurat Kongres Intelektualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata, zorganizowany przez Suchodolskiego i Skę w jaruzelskiej Warszawie.

9. Dał się jednak o tym przekonać Jerzy Urban, a wraz z nim wszystkie PAP-y, Życia Warszawy i Trybuny. Bo to, że treść listu arcybiskupa Silvestriniego została podana do wiadomości publicznej – najpierw w Watykanie, a następnie siłą rzeczy w Warszawie – zawdzięczamy im właśnie. Radio Watykańskie odezwało się tylko dlatego, że

Polska Agencja Prasowa podała ostatnio nie odpowiadającą prawdzie wiadomość – rozpowszechnioną przez radio i prasę polską – jakoby Ojciec Święty Jan Paweł II miał przesłać wyrazy uznania dla (...) Kongresu Intelektualistów. Ponadto rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban powiedział, że – cytujemy – „idee warszawskiego kongresu poparł również Jan Paweł II w postaniu wystosowanym przez Sekretarza Stanu Stolicy Apostolskiej” – koniec cytatu. Gdyby więc Urban nie przesolił, nie pomylił Silvestriniego z Casarolim – byłoby wszystko cacy! Do wielu pytań, jakie już sobie zadaliśmy, dochodzi jeszcze jedno: dla-

czego władzom PRL nie przyszło od razu do głowy list opublikować w całości i potem dopiero bawić się w komentarze, hulać i się weselić?

10. Oczywiście, całe to odgrzewanie nieświeżych pieczeni nie miałyby dziś sensu, gdyby nie to, że do Rzymu wybiera się generał Jaruzelski i strasznie chce się zobaczyć z Papieżem. Dobrze by było, gdyby najpierw spotkali się arcybiskup Silvestrini z profesorem Suchodolskim. Na płaszczyźnie walki o pokój, np. w Monte Carlo i w pięciu rundach.

SORDELLO

Jerzy Hoffmann

Sprawy polskie – spotkanie w ratuszu Schöneberg

Dwa razy uczestniczyłem już w spotkaniu działaczy partii wolnych demokratów z przedstawicielami polskich organizacji zachodniobermberskich. Dwa razy cieszyłem się, że do takiego spotkania dochodzi i dwa razy opuszczałem ratusz Schoeneberg rozczarowany. Ważny i obszerny temat opieki i zainteresowania partii FDP sprawami polskimi, problemami i bolączkami mieszkających tu 12 tysięcy Polaków rozplitwał się w retoryce partyjnych działaczy, w uporczywym krążeniu wokół tych samych nierozwiązywalnych spraw, pozwoleń na pracę czy prawa pobytu, w nieprzygotowanych i chaotycznych na ogół wystąpieniach reprezentujących poszczególne organizacje i stowarzyszenia przybyłych. 13 grudnia 1985 dr Lange starał się przekonać mnie, że Polacy znajdujący się tu z przyczyn, jak to określił – „gospodarczych”, nie mogą liczyć na pomoc władz, że wprowadzenie obowiązku składania wniosków azylowych w stosunku do przybywających tu po 1 czerwca 1985 obywateli polskich było pilną koniecznością i że trudna sytuacja na rynku pracy nie pozwala na rychłe pozytywne załatwienie pozwoleń na działalność zarobkową. O tym wszystkim wiedzieliśmy już przecież od dawna. Wiemy jednak także, że sprawy te są tak proste nie są.

Poza kilkoma dowcipami na temat dawnych wypowiedzi senatora Finka i działalności senatora

Lummera sprawą naprawdę godną zainteresowania były uwagi polityków FDP na temat konieczności skoordynowania działań i wzajemnego porozumienia się polskich organizacji i stowarzyszeń. Trudno bowiem władzom Berlina Zachodniego zorientować się w subtelnych różnicach charakteryzujących programy działań poszczególnych zrzeszeń i trudno rozmawiać z każdym z nich z osobna. Ta sprawa wydaje się rzeczywiście być bardzo słuszną i pilną. W czasie drugiego spotkania w dniu 18 marca br., poza powtórzonymi i znanymi już z poprzedniego zebrania uwagami, dr Lange poinformował tym razem o wiele skromniejszą liczbę przybyłych o sprawie, jaka wzbudziła ostatnio zaniepokojenie w środowisku polskim. Mianowicie o tzw. przymusowym zawróceniu do PRL kilku osób narodowości polskiej, stwierdzając, że według uzyskanych informacji, osoby te, którym udowodniono niedozwolone wykonywanie pracy „na czarno”, nie wyraziły zgody na złożenie wniosków azylowych i dobrowolnie opuściły Berlin Zachodni.

Przy okazji dr Lange wystąpił z ostrzeżeniem pod adresem, jak stwierdził, znacznej liczby obywateli polskich, którzy wchodzą w kolizję z prawem (np. handel towarami podejrzanego pochodzenia na tzw. „pchlích targach”, lub zabroniony przewóz do Polski nieujawnionych towarów), co jest w konsekwencji przyczyną komplikacji prawnych i utraty przez Polaków prawa do pobytu.

Do bardziej interesujących fragmentów expose dr Lange należała niewątpliwie sprawa nabierającej rumieńców działalności „Centrum Polskiego” (przy czym oświadczył z przykrością stwierdzić muszę, że nic mi o niej nie wiadomo, z czego mógłbym wnioskować, że rozwija się ona w warunkach raczej konspiracyjnych) i rokująca nadzieję możliwość skoordynowania działań poszczególnych organizacji polskich, o czym prelegent został wstępnie przez ich przedstawicieli poinformowany.

Na uwagę środowiska polskiego zasługuje przede wszystkim poruszony problem tych z mieszkających tu stale Polaków, którzy motywując swój pobyt przyczynami politycznymi, jednocześnie kursują ruchem wahadłowym między Berlinem Zachodnim a PRL, co wiarygodność ich stwierdzeń zdecydowanie podważa. Ci Polacy – stwierdził z naciskiem raz jeszcze dr Lange – nie mogą też liczyć na pomoc i opiekę władz, których przyczyny natury gospodarczej nie interesują. Każdy natomiast prześladowany lub zagrożony z racji swych przekonań politycznych obywatel polski na pomoc i ochronę w myśl obowiązującego w Republice Federalnej Niemiec prawa azylowego liczyć z całą pewnością może. W sytuacji bezbarwnego raczej przebiegu także i tego drugiego spotkania na szczególne uznanie zasługuje rzeczowe i bardzo zdecydowane wystąpienie przedstawiciela zachodniobermberskiego „Caritasu”, mecenasa Wobbe.

Stwierdził on, że obecność Polaków w Berlinie Zachodnim uzasadniona jest historycznie i politycznie, a państwo niemieckie ma wobec przebywających tu i przybywających Polaków szcze-

gólne i specjalne zobowiązania moralne. Jako prawnik zna on z własnej praktyki także przykłady niesprawiedliwego i krzywdzącego traktowania Polaków. Mecenas Wobbe oświadczył też, że „Caritas” dba jako organizacja katolicka o sprawy polskie szczególnie intensywnie. Wezwał on polityków partii Wolnych Demokratów do równie zdecydowanego udziału w pomocy i starannego przeanalizowania problemów związanych z obecnym statusem mieszkających tu Polaków. Wystąpienie to wywarło duże wrażenie. Uderzało jednocześnie rzeczowością i humanitaryzmem, troską o los ludzi żyjących z konieczności z dala od swej ojczyzny i w niełatwych przeważnie warunkach materialnych.

Jeżeli także tym razem opuszczałem ratusz Schöneberg z uczuciem pewnego rozczarowania, odnosiło się to przede wszystkim do biorących udział w spotkaniu Polaków. Ich lepsze przygotowanie i zdecydowanie w przedstawianiu problemów, konsekwentniejsza polemika z niektórymi niesłusznymi uwagami i sformułowaniami organizatorów. Przemyślane i konkretne wnioski byłyby tu bardzo pozytywne. ■

notatki

NAGRODA DLA POLSKICH DZIENNIKARZY

ARD – największa niemiecka instytucja radiowo-telewizyjna od kilku już lat wyróżnia – w ramach Fundacji im. Kurta Magnusa – nagrodami pieniężnymi pracowników radia prowadzących działalność dziennikarską, będącą – zdaniem ARD – dobrą kontynuacją pracy niemieckich dziennikarzy. W roku 1986 nagrodę tę przyznano parze dziennikarzy polskich – Jadwidze Żeleszkiewicz i Wacławowi Stawnemu, którzy od ponad 3 lat współpracują na stałe z Wolnym Radiem Berlin (Sender Freies Berlin).

W uzasadnieniu pisma skierowanego przez SFB do jury Fundacji Magnusa czytamy m. in.: „Wolne Radio Berlin przedstawiło do tegorocznej nagrody Fundacji Magnusa dwuosobowy zespół dziennikarski. Jest to pewnego rodzaju odstępstwo od zasad regulaminu, uzasadnione jednakże faktem, iż zarówno przygotowywanie tekstów audycji, jak i ich reżyseria są w tym wypadku zawsze wspólnym dziełem obojga dziennikarzy i wkładu ich pracy nie da się rozdzielić. Wacław Stawny dał się poznać jako reżyser, radzący sobie nawet z trudnymi zadaniami. Przykładem może tu być audycja zatytułowana *Pieśń o zamordowanym*

żydowskim narodzie. Współpraca Wacława Stawnego i Jadwigi Żeleszkiewicz obejmuje również inscenizacje dzieł autorów niemieckich, jak także audycje o tematyce niemieckiej. Przykładem tego typu działań może być chociażby dwuczęściowy program dotyczący sytuacji chorych na epilepsję w Berlinie Zachodnim”.

Nagrodzonym dziennikarzom gratulujemy.

(zet)

„MAZUREK” NIE JEST UBECKĄ PROWOKACJĄ.

Mazurek – to nowy magazyn dla Polaków za granicą, w formacie A-4, o objętości 36 stron, w cenie 20 austriackich szylingów (tj. około DM 3,-), którego pierwszy numer wyszedł przed kilka tygodni w Wiedniu, wywołując niesamowite wzburzenie wśród tamtejszej emigracji politycznej. W austriackiej stolicy mówi się, że to ubecka prowokacja, bo ktoś inny mógłby finansować czasopismo złożone techniką foto-setową na komputerach kosztujących dziesiątki tysięcy dolarów oraz odbite na maszynach drukarskich o tzw. „głębokim druku”, a ponadto posiadające siedem stron doprawdy wspaniałych kolorów, którymi nie może się poszczycić żadne PRL-owskie czasopismo, a co dopiero emigracyjne gazetki. To, że

Mazurek jest apolityczny, nie stanowi również dowodu na potwierdzenie tezy o prowokacji. Powiedzmy sobie szczerze, przecież większość Polaków na emigracji jest również apolityczna. Nakład w wysokości 15.000 egzemplarzy nie powinien też nikogo szokować. Nowojorski *Nowy Dziennik* Wierzbiańskiego ma podobno więcej i nie jest uważany za ubeckie czasopismo. Również fakt, iż *Mazurek* posiada korespondenta w Warszawie, którym jest niejaki Jacek Koleśny, o niczym nie świadczy. Ilu korespondentów ma *Kultura* albo *Pogląd*? Z tą różnicą, że *Mazurek* mówi o tym otwarcie nie bawiąc się w głupią konspirację. Całostronicowe ogłoszenie oficjalnego przedstawiciela Banku PeKaO w Austrii też nie może być uznane za wystarczający dowód powiązań z władzami PRL: *Nowy Dziennik* np. drukuje także ogłoszenia różnych „przedstawicielstw”. Ostatecznym dowodem nie-ubeckości *Mazurka* powinna być stopka redakcyjna, w której czytamy, że jest on własnością niejkiej Haliny Heppe, a więc osoby prywatnej. Dodatkowym argumentem na rzecz „ubeckiej neutralności” nowego magazynu mogłaby być osoba Ryszarda Gizowskiego, dotychczasowego kolportera *Poglądu* w Wiedniu. Niniejszym jednak podaję, że zrezygnowaliśmy ze współpracy z nim.

A Kolegom z Polsko-Austriackiego Klubu Informacyjnego „Sierpień '80” dziękuję za przesłanie tego interesującego czasopisma oraz informację odnośnie działalności „wolnościowych” organizacji emigracyjnych w stolicy Austrii.

(Redaktor)

ZJEDNOCZENIE POLSKICH UCHODźCÓW W NIEMCZECH ROZWIJA SKRZYDŁA

Nowy Zarząd Główny Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Niemczech z siedzibą w Monachium wybrany w ub. roku po prawie 2-letnich walkach frakcyjnych zapowiada w piśmie okólnym z dnia 1.03.1986 roku, że wkrótce przystąpi do wydawania aż trzech czasopism: *Komentarze* mają informować o bieżących sprawach organizacyjnych oraz publikować opinie Prezydium Zarządu Głównego, *Biuletyn Informacyjny* ma jako miesięcznik publikować komunikaty, sprawozdania oraz artykuły prasowe. Ponadto w przygotowaniu – jak informuje prezes płk. Rudnicki – znajduje się miesięczna gazetka, która jeszcze nie posiada nazwy. Propozycje co do nazwy gazetki można nadsyłać na adres:

Verband Polnischer Fluechtlinge, Postfach 400148, 8000 Muenchen 40.

Okólnik informuje, że „kopiowanie, powielanie, przedruk całości lub części bez pisemnej zgo-

dy biura prasowego ZG ZPU jest wzbroniony i naruszenie tego prawa kierowane będzie na drogę sądową”. W piśmie mówi się jeszcze: „W celu uniemożliwienia ewentualnego naśladownictwa lub stosowania tzw. fałszywek, każdy egzemplarz wydawanych na powielacz *Komentarze* i *Biuletynu Informacyjnego* stemplowany będzie w prawym dolnym rogu małą pieczętką okrągłą z orłem z koroną i napisem: Zarząd Główny ZPU, odcisniętą czerwonym tuszem.” *Komentarze* i *Biuletyn* mają być bezpłatne. Cena miesięcznej gazetki bez tytułu nie została jeszcze ustalona.

Prężnym działaczom ZPU życzę wspaniałych osiągnięć na niwie wydawniczej. A dla nowej gazetki proponuję tytuł „Złoty Róg”.

(Redaktor)

(P.S. Czy przy stemplowaniu gazetki nie byłby pomocny złoty sygnet od Wałęsy, którym upoważnił on jednego z lubelskich działaczy „Solidarności” do generalnego reprezentowania podziemia na Zachodzie? – zecer).

Listy do redakcji

Ewa Maria Slaska
Berlin Zachodni

Berlin, 02. 04. 86.

Szanowny Pan Redaktor
dwutygodnika „Pogląd” Edward Klimeczak!

W związku z decyzją o przerwaniu druku fragmentów powieści György Dalosa pt. „1985”, jako jedna z osób, które dokonały jej przekładu na język polski oraz jako upoważniona przez autora do reprezentowania go, uprzejmie proszę o zamieszczenie na łamach „Poglądu” poniższego wyjaśnienia.

Wybór został dokonany w ten sposób, by w sześcioro odcinkach dać czytelnikowi przegląd zarówno różnorodnej tematyki powieści, jak jej konstrukcji i treści. Z tego względu przerwaniu druku po czterech częściach radykalnie zabuza odbiór książki. Jednocześnie zaś pragnę przypomnieć i Panu, i Czytelnikom, że György Dalos należy do czołwki twórców niezależnej kultury na Węgrzech, a jego powieść „1985” ukazała się w tłumaczeniach: na niemiecki w Rotbuch Verlag, na francuski w Edition Maspero i na angielski w wydawnictwie Pantheon Books w USA; w ubiegłym roku wydano ją również w wydaniu podziemnym na Węgrzech.

Intencją autora było, aby w imię solidarności między społeczeństwami bloku wschodniego, jego książka – tak już popularna na Zachodzie – ukazała się również po polsku. Mając to na uwadze Dalos zrezygnował z jakiegokolwiek honorarium za druk swojej książki po polsku, czy to we fragmentach, czy też w całości. Powodowani tą samą intencją tłumacze „1985” na polski, również zrezygnowali z honorarium za swoją pracę.

Publikacja fragmentów tej powieści w „Poglądzie” była pierwszą prezentacją twórczości Dalosa polskim czy-

telnikom, twórczości – dodajmy – cieszącej się dużą popularnością na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech (w tej chwili Rotbuch Verlag przygotowuje wydanie kolejnej, czwartej już książki Dalosa po niemiecku). Z dużą przykrością przyjęłam więc fakt, że gest węgierskiego autora spotkał się z tak nieprzychylnym przyjęciem przez redakcję „Poglądu”.

Z poważaniem
Ewa Maria Ślaska

P. S. Do Pańskiej wiadomości. Z uwagi na szacunek dla autora, którego aktualnie reprezentuję, informuję, że jeżeli list ten nie ukaże się na łamach „Poglądu”, przekazać go do wiadomości i wykorzystania innym czasopiśmie polskim ukazującym się na Zachodzie.

Od redaktora: Wszystko to prawda, droga Ewo! (bo przecież byliśmy na Ty?) Ale cóż ja temu winien, że György Dalos mi się...znużył. A innych czasopism na Zachodzie się go. Brr!

**OSWIADCZENIE
KOMITETU GŁÓWNEGO
POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
W NIEMCZACH**

Komitet Główny PPS w Niemczech wyraża zaniepokojenie faktem, że Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa nie znalazła dostatecznej ilości środków finansowych na utrzymanie audycji robotniczej w jej dotychczasowej formie.

Komitet Główny zaniepokojony jest szczególnie faktem, że zrezygnowano z popularnych, trafiających do słuchaczy i pozytywnie ocenianych w Kraju audycji przygotowanych przez Bogdana Żurka, stoczniowca, uczestnika strajków w roku 1976 i 1980, znanego działacza NSZZ „Solidarność” ze Stoczni Gdańskiej.

Z żalem odnotowujemy fakt odejścia od trafnej koncepcji audycji – by do robotników o sprawach robotniczych, mówił robotnik. Jako przedstawiciele polskiego nurtu socjaldemokratycznego na emigracji ze zdziwieniem zauważamy, że trudności finansowe RWE dotknęły właśnie autora audycji robotniczych.

Za Komitet Główny
Jacek Kowalski
przewodniczący

Stuttgart, dn. 7. 04. 1986

Szanowny Panie Redaktorze,
miło mi Pana powiadomić, że nareszcie formalności stało się zadość. W Stuttgarcie mamy oficjalnie zarejestrowane Polskie Towarzystwo Kulturalne. 27-lutego br. Registergericht Bad Caunstałt zarejestrowała Polnischer Kulturverein in Baden-Württemberg e. V.

Towarzystwo nasze działało nieformalnie od ok. pięciu lat organizując wystawy polskiego malarstwa i rzeźby, wernisaże, odczyty, koncerty oraz spotkania i dyskusje. Organizowano również – ciesząc się powodzeniem zwłaszcza wśród rodzin – spotkania przy ognisku.

Obecnie w formalnie zarejestrowanym statucie Towarzystwo stawia sobie za cel przede wszystkim pielęgnowanie i rozwijanie kultury polskiej i polskich tradycji narodowych na obczyźnie. A ponadto Towarzystwo chciałoby popierać powstające na Zachodzie dzieła twórców kultury polskiej oraz służyć radą i pomocą zamieszkałym w Badenii-Wirtembergii Polakom w zakre-

sie kultury polskiej. Całkiem niedawno, bo styczniu br., gościliśmy Podsekretarza Stanu w Rządzie Polskim na emigracji w Londynie, prof. dr Zygmunta Szkopiaka. Prof. Szkopiak mówił m. in. o działalności Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie.

W najbliższej przyszłości planujemy zwiedzanie ośrodków emigracyjnych kultury polskiej w Szwajcarii, takich jak Muzeum Polskie w Rapperswil czy Polskiego Muzeum Historycznego w zamku Muri pod Bernem. Myśleliśmy też o zorganizowaniu szkółki polskiej dla dzieci. Chcielibyśmy również otworzyć Bibliotekę Polską. Na początek mają planowany jest w Stuttgarcie koncert polskiej muzyki dawnej oficjalnie inauguracyjny działalność Towarzystwa.

Łączę wyrazy szacunku
Grażyna Białowąs

LWÓW OPISANY GŁOWĄ I SERCEM

„Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy (jedną połową myśli ku przeszłości wrócić) i przeszłość jako obraz ściemniały i płowy pięten pobladłych twarzy – ku słońcu obrócić”.

Dr Czesław Halski, muzykolog wolnego polskiego świata, pochylił się nad przeszłością i ku słońcu pamięci odwrócił obraz drogiego naszego sercem miasta, ożywił pobladłe twarze czasów swej młodości.

Jest to opowieść patetyczna tematem, chociaż pisana językiem prostym, całkowicie patosu pozbawiona. Pomyślana jako wspomnienie o „Polskim Radiu Lwów”, wybiega jednak poza granice zakreślone tytułem i ukazująca całą panoramę po trzykroć szlachetnego miasta*.

Dr Halski pisał swoją opowieść głową i sercem: jest to istna kopalnia szczegółów biograficznych osób, które przeważnie już od nas odeszły, zarazem urzekająca kroniką niezliczonych dykteryjek, epizodów, anegdot. Zadziwiająca pamięć autora pozwala mu dosłownie cytować dialogi sprzed pół wieku, drobniaki oddaje z wzurządzającą precyzją, na przykład przy opisie rynku bez pudła wylicza wszystkie rodzaje kasz na straganach, z mamątygą (tak!) włącznie.

Ale miasto to nie tylko ludzie, ale również „bramy, domy i świątynie”. Ze szczerym wzruszeniem czytalem jego piękne słowa poświęcone katedrze ormiańskiej, najintymniejszej z trzech katedr Lwowa. Ujęło mnie wyznanie autora, że właśnie w jej ciszy i atmosferze szukał odpoczynku dla swych myśli. Do jego znakomitego opisu nawy katedralnej dodam od siebie, że po lewej stronie nawy namalował prof. Rosen swe arcydzieło: fresk o św Odolonie, „dusz zmarłych patronie”. A w kopuście kaplicy za głównym ołtarzem patrzyło na nas 12 apostołów; do jednego z nich pozował Rosenowi mój ojciec, również Czesław, któremu zacytował Halski poświęca wiele ciepłych słów.

„Wesoła Lwowska Fala”. Hej, ża się kręci. Słuchała jej cała Polska. Szczepciu i Tońciu; radca Stronc, emerytowany woźny magistratu, któremu „Najjaśniejszy Pan” cesarz Franciszek Józef podał (przez pomyłkę) rękę – zawsze gotów do wypicia małego piwa w barze, „jeżeli Marcelku będzie grzeczny”. Piosenki, które utkwiły w pamięci jak żadne inne: „Życzakowskie Tango”.

„Kamień na kamieniu... Stolik za stolikiem, za stolikiem stolik, a za tym stolikiem siedzi ankoholik”. Albo: „W dzień deszczowy i ponury /z cytadeli idą chmury/ sze-

* Czesław Halski: „Polskie Radio Lwów”. Nakładem Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn 1985. Funtów szterlingów 7.50

regami lwowskie dzieci/ idą tułać się po świecie/ bowiem grozi wrog ponury/ gdzieś od granic Czarnogóry..." piosenka przyjęta w spadku po 13-tych pułku piechoty austriackiej. Ilekroć przyjeżdżałem do Lwowa z rumuńskich Czerniowic, istotną częścią moich rozmów z ojcem były jego entuzjastyczne relacje z ostatnich programów „Wesołej Fali”.

Ludność Lwowa stanowiła mozaikę narodowościową, jak o tem świadczą trzy katedry, dodajmy: i cerkiew włoska i kaplica Boimów. Autor słusznie podkreśla wielokulturowość miasta, ale grupie politycznie najważniejszej, Ukraincom, poświęca uwagi raczej marginesowe. A przecież piękno ukraińskie na polskim Lwowie było niezaprzeczalne. Sam autor cytuje Polaka, kłócaącego się po ukraińsku. Nie mógł nie wspomnieć o walkach z Ukraińcami o polskość miasta. W książce są dwie fotografie katedry facińskiej. Przypomnijmy, że w jej murach tkwił pociąg armatni, opatrzony wyjaśniającą tabliczką: „Ex obidione Ruthenorum”. A nad miastem górowała piękna katedra Św. Jura.

I tutaj nasuwa się nad wyraz ważne pytanie: są znaki na ziemi i na niebie (zwłaszcza na niebie), że rozlewająca się jak plama brudnej oliwy Rosja Sowiecka zostanie wreszcie odepchnięta. I co wówczas? Czy znowu weźmiemy się z Ukraińcami za łyb o Lwów? Zmora tej wizji przesładuje mnie od lat. Swego czasu (w roku 1976) wydało mi się, że znalazłem naiwne może, ale zawsze rozwiązanie: opracowałem zarys statutu Lwowa, „miasta przyjaźni polsko-ukraińskiej”. Reakcja naszej i ukraińskiej trony na ten projekt jest pouczająca, chociaż nie budująca. Jedynym, który zdecydował się na jego umieszczenie, był ś.p. Wacław Zagórski. Jerzy Giedroyc w ogóle odmówił umieszczenia, „nawet jako artykułu dyskusyjnego”. Józef Łobodowski westchnął: „... nie te czasy”. Natomiast Ukraińcy nie chcieli w ogóle na ten temat rozmawiać. Dwukrotnie w redakcji umiarkowanej „Suczastni” argumentowałem z dr Boghdanem Kordiukiem i Iwanem Koszeliwem, zresztą bardzo miłymi ludźmi, którzy jednak o rezygnacji z wyłączenia praw do Lwowa nawet słyszeć nie chcieli, a moją uwagę, że przecież Lwów jest dzisiaj miastem sowieckim, a nie ukraińskim, puścili mimo uszu.

Czy jest to jednak inne rozwiązanie, lepsze od mojego?

Wojciech Krzyżanowski

Praca dr. Halskiego została pięknie wydana – jak wszystko, co wychodzi z Oficyn Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków. Przystępna cena zachęci wielu z Polaków, nawet młodszego pokolenia, do jej zakupienia.

KRONIKA EMIGRACYJNA

WŚRÓD POLONII SZWAJCARSKIEJ
RÓWNIEŻ WRZE

Jak nas poinformował w dniu 20.3.1986 prezes Związku Organizacji Polskich w Vevey w Szwajcarii pan Marian F. Respond „ciagle te same osoby dążą do podważenia współpracy i jedności wysiłków wśród polskich organizacji w Szwajcarii”. W związku z tym prezydium ZOP wydało oświadczenie, w którym czytamy, że są „rozsy-

łane elaboraty” atakujące „przy użyciu kłamstw” „nie-mal wszystkich działaczy polonijnych w Szwajcarii”. Prezydium ZOP – mówi się w oświadczeniu – nie zamiera polemizować z wywodami owych elaboratów, które dyskredytują szwajcarską Polonię.

Jak wiadomo, chodzi m. in. o ulotkę „Nie tędy droga do wolnej Polski”, w której działacze grupujący się wokół byłego rzecznika prasowego ZOP, dr. Aleksandra Łuczaka, ostro skrytykowali konszachty niektórych aktywistów polonijnych z reżymowymi agendami, takimi jak „Orbis” i „LOT”. Zarzucono im współpracę z oficjalnymi przedstawicielstwami PRL w Szwajcarii. Szczególnie ostro zaatakowano Towarzystwo „Dom Polski” w Zurychu, które otwarcie współpracuje z PRL-owskimi przedstawicielstwami, torpedując wszelkie akcje niepodległościowe, jak np. list protestacyjny w związku z zamordowaniem ks. Popiełuszki. Nie oszczędzono również lubianej kiedyś przez wielu Polaków i redagowanej od lat przez Tadeusza Wojnarskiego „Naszej Gazetki”. Jej redaktora – jak twierdzą niekierownicy – całkowicie opuścił instynkt polityczny, bowiem zarówno on jak i Towarzystwo „Dom Polski” podjęli współpracę z nowo powstałym w Wiedniu czasopiśmie „Mazurek”. Samo zaś Towarzystwo „Dom Polski” jawnie współpracuje z urzędnikiem „Orbis”, Edim Chrobotem, który „jako oficjalny agent na Szwajcarię załatwia oprócz lotu i kwater (w PRL – przyp. red.) również potrzebne wizy oraz udziela informacji o wszystkich przepisach dotyczących wymian pieniędzy, paszportów” itd. (Szwajcarska gazeta „Die Vorstadt” z dn. 21 lutego 1986). W tej sytuacji w Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii nastąpił rozłam. Z członkostwa Towarzystwa „Dom Polski” zrezygnowało kilka osób.

Antyreżymowi działacze Związku Wolnych Polaków w Szwajcarii. (Adres tymczasowy: Postfach 2013, CH-8033 Zurich) wydali ostrzegawcze „Żółte Kartki”, w których bez pardonu piętnują działaczy, wchodzących w PRL-owskie komitety. W ulotce tej nazywa się „Mazurka” wprost „gadzinówką”.

Jak tak dalej pójdzie, to w Zurychu zapanują „stosunki monarchijskie”, tzn. swady i właśnie regulować będą miejscowe sądy i policja. A ręce z zadowolenia zacierać będą władze PRL. Udała się im przecież kolejna prowokacja.

(Redaktor)

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

„Gesellschaft Solidarität” e.V.	lub
„Pogląd”	Postscheckkonto
Sparkasse der Stadt Berlin West	586 90-102
Konto Nr 122 001 238 2	BLZ 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postscheckamt
	1000 Berlin (West)

Na fundusz wydawniczy	
1. Arnt Gestenberger, Berlin	DM 50,-
2. Robert Fedorowicz, Hamburg	DM 25,-
Na „Solidarność” w kraju	
3. Andrzej Zapart, Tolik	DM 20,-
Na Towarzystwo „Solidarność”	
4. Andrzej Golec, Luenen	DM 24,-
5. Bronisław Golec, Luenen	DM 24,-
6. Robert Fedorowicz, Hamburg	DM 125,-
7. Beziemiennie z Oldenburu	DM 20,-
8. Drayton Timothy, Frankfurt	DM 27,-
	DM 200,-

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

ZNACZKI I BANKNOTY Z PODZIEMIA

Do nabycia
w „Pogładzie”



CENY ZNACZKÓW

J. Piłsudski DM 7,-
M. B. Częstochowska DM 5,-
M. B. Ostrobramska DM 5,-
Św. Jerzy DM 5,-

CENY BANKNOTÓW

ks. Popiełuszko DM 10,-
Jan Paweł II DM 10,-



TOWARZYSTWO

SOLIDARNOŚĆ

§ 7 STATUTU TOWARZYSTWA

Członkiem wspierającym może być każda osoba fizyczna i każda osoba prawna. (...) Wnioskodawca podaje wysokość rocznej składki. (...)

Po wpłynięciu wniosku nowo zgłoszony kandydat otrzyma pisemne zawiadomienie o przyjęciu do Towarzystwa „Solidarność”, oraz okresowo informacje o działalności Towarzystwa. Jeżeli zadeklarowana i

wpłacona zostanie składka przekraczająca o DM 20.- cenę prenumeraty, członek wspierający otrzymuje dwutygodnik „Pogląd” bezpłatnie oraz inne publikacje wydawnictwa po niższej cenie.



GESELLSCHAFT
„SOLIDARNOSC”

Postfach 62 02 24
D-1000 Berlin 62

Do Przewodniczącego Towarzystwa „Solidarność”

Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa „Solidarność” jako członka wspierającego.

Imię i nazwisko:

Adres:

.....

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

.....

Podpis

IMPRESSUM

Verleger - Wydawca
Gesellschaft Solidarność e.V.
Gesslerstr. 10, D-1000 Berlin 62

Redaktor odpowiedzialny

Edward Klimczak

Adres redakcji

Postfach 62 02 24

D - 1000 Berlin 62

Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci
i kolporterzy

AUSTRALIA - Andrzej Lewan-

dowski, 905/32 Diamond Street,

Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

DANIA - Roman Śmigieński, Ka-

stelwaj 5, 3tv, 2100 Copenhagen

0, Tel. 01/425184;

FRANCJA - Krystyna Szewczuk,

143, rue Etienne Poulet, 69400

Villefranche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA - Krzysztof Kasprzyk,

46 Fuller Ave., Toronto, Ontario

M6R 2C3; Marek Przykowski,

4760 Cote des Neiges, Montreal

P.Q. H3V 1G3, Tel. 514/73559-

74;

NORWEGIA - Paweł Gajowni-

czek, Linderbergsgasse 32b, 1068

Oslo;

RFN - Eucja Abramowicz,

Schniederbergstr. 135, 4532 Met-

tingen, Tel. 05452/3878; Andrzej

Baranowski, Riesengbergstr. 1,

5300 Bonn 1; Stanisław Brodnic-

ki, Zum Luftschacht 17, 4600

Dortmund 15, Tel. 0231/374673;

Anna Cykowska, Hammersteinstr.

1, 3000 Hannover 1, Tel. 0511/-

624038; Anna Janiszewska, Ham-

burg, Tel. 040/458261; Andrzej

Janiszewski, Suedstr. 8, 5100

Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy

Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring

54, 8000 Muenchen 83, Tel. 089-

6371213; Lech Jarmuła, Post-

fach 601203, 2000 Hamburg 60;

Zygmunt Kuciej, Emdenerstr. 9,

6230 Frankfurt 80, Tel. 069/383-

975; Jan Kustasz, Engelbert Str.

85, 5760 Arnsberg, Tel. 02932/-

22798; Tadeusz Leś, Wienerstr.

307a, 7000 Stuttgart 30, Tel.

0711/8567415; Marek Polwiński,

Bachemerstr. 27, 5000 Koeln 41,

Tel. 0221/407161; Mirosław Suf-

lika, Wilhelm Bauman Str. 51,

4830 Gutersloh, Tel. 05241/27-

730; Waldemar Tymoszuik, Alster

Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

Jacek Wyrwiak, Brusselsstr. 11,

5300 Bonn 1, Tel. 0228/678379;

SZWECJA - Tadeusz Karolak,

Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08-

7421457;

USA - Piotr Całka, 4855

W 119th, Alap 60658 III, Tel.

312/5972096; Mirosław Marecki,

P.O. Box 605a, Holand, MI 494-

32, Tel. 616/3966207; Tamara

Sochacka, 3198 Trowbridge,

Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/-

8711686; Andrzej Wiśniewski,

713 N. Rockwell //c, Oklahoma

City, O.K. 73127;

WIELKA BRYTANIA - Solidari-

ty with Solidarity, 7 Quintin Av.,

ondon SW20 8LD, Tel. 01/673-

4456;

„Pogľad” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. - zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zblżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogľad” - „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia	2,5 \$A
Austria	30 ÖS
Belgia	85 bfr
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	2,5 \$
Wielka Brytania	1,2 £

PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna	DM 27,-
półroczna	DM 52,-
roczna	DM 85,-
Kraje europejskie:	
półroczna	DM 54,-
roczna	DM 90,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 72,-
roczna	DM 120,-
Australia:	
półroczna	DM 82,-
roczna	DM 140,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogľad”

Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BZL 100 500 00

lub

Postcheckkonto

586 90 - 102

BLZ 100 100 10

Postcheckamt

1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Juergen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogľad redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Poglad, Postfach 620224,
1000 Berlin 62

W najbliższych tygodniach ukaze się nowość wydawnicza „Poglądu” – Witolda Wirpsy „Polaku, kim jesteś?” Zamówienia już dziś można nadsyłać na adres redakcji. Przewidywana cena – DM 25,-. „Książka ta powstała swego czasu z myślą o czytelniku cudzoziemskim – było to w dodatku dość dawno – pierwsze wydanie „Polaku, kim jesteś?” w języku niemieckim ukazało się w roku 1971 w Lucernie. A jednak z czystym sumieniem polecam ją czytelnikowi polskiemu – teraz, w roku 1985. Polecam ją czytelnikowi polskiemu, ale nie każdemu. Nie polecam jej przywiązanemu do znanych stereotypów polskości, takiemu, który w książce ze słowem „Polak” w tytule szukać będzie potwierdzenia tego, do czego jest przyzwyczajony od dziecka i co może nawet zawiera jakąś prawdę, ale tak banalną, że nie warto się nią zajmować, tym bardziej zaś takiemu, któremu wyidealizowana polskość służy do wywyższania się nad innymi, który swój „kompleks polski” (usprawiedliwiony skądinąd kolejami losu narodowego – wszyscy go w jakimś stopniu dźwigamy) przerobił na ksenofobię, zapiekłą złość i zasklepienie, na wieczną obolałość, wystawianie na pokaz ran i zdraśnięć, pretensje do całego świata o spadające na Polskę plagi. Taki czytelnik książki Wirpsy nie przyjmie i nie zrozumie, co najwyżej pograży go ona w głuchej irytacji. Polecam ją takiemu czytelnikowi polskiemu, który lubi myśleć – i którego ciekawi myślenie innych, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, kiedy podąża innymi drogami niż jego myślenie. Takiemu, który się nie gorszy i nie oburza ani na oryginalny przewód myślowy, ani na przytoczone fakty, który nie sądzi, że w dziedzinie myślenia o własnym narodzie powinno być przestrzegane jakiegokolwiek tabu, uważa natomiast, że z myślenia zawsze coś dobrego wyniknie, choć to dobro nie musi się od razu zmaterializować w czymś uchwytym i policzalnym”. (Z przedmowy Wiktora Woroszyńskiego)